REDAGUJE PROFESOR JAN ŻARYN

wSIECI

CENA 9,90 zł (w tym 8% VAT)

Nr 8 (63)
SIERPIEŃ 2018

wSIECI HISTORII

MIESIĘCZNIK O POLSCE, HISTORII I KULTURZE

WSTRZĄSAJĄCY PAMIĘTNIK SANITARIUSZKI Z POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

MĘSTWO'44

INDEKS 297127 ISSN: 2300-6803

Na wakacje dołącz do Sieci Przyjaciół

Zamów subskrypcję:

na **1** miesiąc

~~19,99 zł~~ **tylko 9,99 zł**

koszulka
RED IS BAD™
o wartości 103 zł

biała lub czarna do wyboru

na **12** miesięcy

159,99 zł **+ prezent!**

www.SiećPrzyjaciół.pl

eprasa.pl 77c6269fd8

WYCIECZKI – UCIECZKI W PRL

Jestem na tyle stary, że mogę z młodszymi czytelnikami „wSieci Historii" podzielić się niektórymi (proszę wybaczyć, że wybranymi i ocenzurowanymi) moimi przygodami okołowakacyjnymi z epoki PRL.

Dawno, dawno temu – w moim przypadku od lat 70. XX w. – jeździliśmy na wakacje za pomocą autostopu. Ta forma podróżowania miała znamiona organizacyjne i spontaniczność jednocześnie. Niektórzy zdobywali bowiem specjalne książeczki autostopowicza, w których znajdowały się kupony oddawane kierowcom (głównie wg mojej pamięci zbieraczami byli kierowcy samochodów ciężarowych). Posiadacze książeczek machali nimi, stojąc rankami i wieczorami przy polskich drogach. Ja nigdy nie miałem takiej książeczki, a jednak jeździłem (wraz z przyjaciółmi) po całej Polsce.

W pamięci utrwalił mi się w sposób szczególny mój pierwszy prywatny wypad na Zachód. Było lato 1979 r. W czerwcu był w Polsce papież Jan Paweł II. Ale chciałem więcej i więcej. W lipcu wystąpiłem o paszport, a po jego otrzymaniu ostatecznie pod koniec sierpnia 1979 r. dostałem wizę wjazdową do Włoch, tzw. tranzytową, czyli na pięć dni. I pojechałem. Najpierw pociągiem dojechałem do Wiednia, bo można było wtedy bez wizy znaleźć się w tym państwie – między Wschodem a Zachodem położonym. Mieszkali tam wówczas w Wiedniu moja kuzynka Krysia i jej znajomi. Panowie ciężko pracowali na czarno, a w nocy prowadzili polsko-polskie rozmowy. Nie mogli wracać, bo mieli ciągle za mało pieniędzy, a nie mieli ich więcej, bo ciągle prowadzili polsko-polskie rozmowy, mocno zakrapiane. Opuściłem ich. Najlepiej było łapać okazję na stacjach benzynowych. Miałem plecak z dużym namiotem i polską flagę. Najpierw dojechałem do Klagenfurtu. Potem zatrzymał się młody Włoch, który przyjechał do Austrii tylko po to, by tu wziąć benzynę – bo tańsza. Wracał do domu, tuż za granicą austriacko-włoską; dzięki temu na granicy nikt nas nie zatrzymał, a zatem moje pięć dni nigdy się nie zaczęły! Kolejne etapy podróży miały ten sam scenariusz. Flaga polska, zatrzymuje się samochód, a ja jadę do papieża Polaka. Wsiadaj! Po kilku dniach spędzonych w Wenecji ruszyłem dalej. Był wtorek. Tak dojechałem do Rovigo, małego miasta położonego między Padwą a Bolonią. Była godz. 20–21. Zatrzymał się samochód, w środku korpulentny, łysawy kierowca i grupka wesołych dzieci upaćkanych pizzą. – Wspaniałe dzieci – mówię. – A nie, to nie moje; jestem proboszczem w pobliskiej parafii, nic wielkiego. Kościółek z XII w. – odparł. A ja swoje, że Polak, że papież, że jadę do Rzymu, na środową audiencję. – A to pan nie zdąży! – powiedział. Pożegnał się z dziećmi, które trafiły do rodziców, i pojechaliśmy do niego, do parafii. – Idź pan spać, a ja pana obudzę! – obiecał. Zostałem obudzony bodaj o 3.00 nad ranem. – Mam dla pana bilet, zawiozę pana na stację i zdąży pan do Rzymu. Pociąg przyjeżdża do Rzymu o 8.00 – wyjaśnił. Jakże byłem szczęśliwy, że jestem Polakiem!

W środę rano dojechałem zatem do Wiecznego Miasta i trafiłem bez trudu do Corda Cordi. Pierwszą osobą, którą poznałem, był ks. Kazimierz Przydatek, jezuita, wspaniała postać polskiego Kościoła. Znamy się do dziś, choć już dawno go nie widziałem. Mam nadzieję, że żyje i czuje się dobrze. Wtedy w 1979 r. papież mianował go opiekunem polskich pielgrzymów. Mieliśmy nie lada przywilej, chyba dedykowany jedynie młodym. Otóż w Prima Porta na obrzeżach Rzymu znajdowało się pole namiotowe, a Polacy mogli tam rozbić się za połowę ceny. Resztę płacił Watykan. Po audiencji środowej, podczas której stałem w wielkim tłumie na placu przed bazyliką św. Piotra, pojechałem zatem, by rozbić namiot i odpocząć. A gdzie tam! Natychmiast zjawił się ks. Kazimierz Przydatek z pytaniem: – Panie Janie, jest pan sam, a ma pan taki duży namiot. Ja mam tutaj pielgrzymkę z Warszawy, nocują w autobusie. Jest im niewygodnie. Czy dwóch–trzech chłopaków może pan przyjąć do siebie?.

I tak noc spędziłem z kolegami z Warszawy. Byli to studenci z SGGW, należeli do chóru, który śpiewał papieżowi podczas środowej audiencji. Byli wzruszeni, wspominali. Papież z nimi rozmawiał.

A jak wróciłem do Polski? Oczywiście autostopem. Z Polakami z Lublina, których poznałem na Prima Porta.

JAN ŻARYN

FOT. ANDRZEJ WIKTOR

Autopromocja

eprasa.pl 77756269fd8

wSIECI HISTORII

SPIS TREŚCI

NR 8 (63) SIERPIEŃ 2018

27 JESZCZE PRZED I WOJNĄ ŚWIATOWĄ W KONSTANCINIE ZBUDOWANO STO WILLI. URZĄDZALI SIĘ TU BOGACI PRZEMYSŁOWCY, PRAWNICY, LEKARZE, ARTYŚCI – PRZYPOMINA PIOTR OTRĘBSKI

45 ORYGINALNY DZIENNIK ANONIMOWEJ SANITARIUSZKI Z POWSTANIA WARSZAWSKIEGO. NIE JEST ZBYT OBSZERNY, ALE JEGO TREŚĆ WYWIERA NA CZYTELNIKU OGROMNE WRAŻENIE – UJAWNIA PRZEMYSŁAW BENKEN

3 GŁOS NACZELNEGO
JAN ŻARYN

W STULECIE NIEPODLEGŁOŚCI

10 OSTATNIE BITWY LEGIONISTÓW
KRZYSZTOF JABŁONKA

13 OSSENDOWSKI – POLAK I OBYWATEL ŚWIATA
GRZEGORZ SZYMBORSKI

WEHIKUŁ CZASU

16 SIERPIEŃ
MICHAŁ KOMUDA

KALENDARZ AGAD

20 PRZENIESIENIE KARD. JERZEGO RADZIWIŁŁA DO DIECEZJI KRAKOWSKIEJ 10 SIERPNIA 1591 r.
JACEK KROCHMAL

FELIETONY

34 PAPIEŻ Z WARSZAWY
GRZEGORZ GÓRNY

57 1932 – ROK NARODZIN SYSTEMÓW KORPORACYJNYCH
PAWEŁ SKIBIŃSKI

61 PRZESTRZEŃ WOLNOŚCI
MAREK JUREK

71 W UE ZAOSTRZA SIĘ WALKA KLASOWA...
RYSZARD CZARNECKI

71 ODDECH TEJ ZIEMI
PIOTR SKWIECIŃSKI

83 NADZIEJA SŁOWA
PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI

83 TAJEMNICA OPACTWA
GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

84 REGLAMENTACJA
ANTONI DUDEK

84 PÓŹNY KONIEC ZIMNEJ WOJNY
PAWEŁ KOWAL

98 MIASTO POKOJU
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

TEMAT MIESIĄCA

22 OGARY POSZŁY W LAS...
BARTŁOMIEJ GRUDNIK

25 WĄSKOTORÓWKĄ DO LETNISKA DLA BOGACZY
PIOTR OTRĘBSKI

28 SPUMONI
WALDEMAR ŻYSZKIEWICZ

31 BABKA KRÓLA LESZCZYŃSKIEGO
JERZY DĄBROWSKI

32 WIEDEŃSKIE WAKACJE
ZOFIA JANKOWSKA

BITWA MIESIĄCA

35 PANIOWCE, 21 SIERPNIA 1688 r.
ZBIGNIEW HUNDERT

DUSZA KONTUSZA

38 FEDOR PROSKURA-SUSZCZAŃSKI – PRAWOSŁAWNY PARLAMENTARZYSTA I LIDER SEJMIKOWY
HENRYK LITWIN

ZDARZYŁO SIĘ

41 GUERNICA – JAK NAPRAWDĘ BYŁO
ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI

45 „MAMO, BARDZO BOLI. PA!" – PAMIĘTNIK SANITARIUSZKI Z POWSTANIA WARSZAWSKIEGO
PRZEMYSŁAW BENKEN

48 LAGER IN KONSTANTYNOW
ANNA JAGODZIŃSKA

51 ISLAMSCY REKRUCI
WOJCIECH OSIŃSKI

54 CZERWONE KRAWATY NA MSZY
ADAM DZIUROK

PRASPORT

58 SB NA TROPIE HENRYKA KASPERCZAKA
GRZEGORZ MAJCHRZAK

TERYTORIUM

62 WOJNA O TATRY
MAREK SKALSKI

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA; ARCHIWUM AUTORA; MNW/WILCZYŃSKI KRZYSZTOF

72 JUŻ PIERWSZE WIĘKSZE BATALISTYCZNE SCENY JÓZEFA BRANDTA ZWRÓCIŁY UWAGĘ ZARÓWNO PARYŻA, JAK I MONACHIUM, W KTÓRYM MALARZ STAŁ SIĘ OSOBĄ BARDZO ZNANĄ I CENIONĄ – PISZE JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

POLITYKA HISTORYCZNA

66 JUDEOPOLONIA – FAKT, A NIE MIT
MACIEJ GLOGER

WŁADCZYNIE

70 AGNIESZKA, ŻONA WŁADYSŁAWA II
MAREK BARAŃSKI

ZIEMIAŃSTWO

72 OBYWATEL ZIEMSKI JÓZEF BRANDT HERBU PRZYSŁUGA
JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

PEŁNA KULTURA

76 JÓZEF BRANDT. WIERNY POLSCE I HISTORII
ANDRZEJ WĄSOWSKI

78 PIĘĆ MINUT „SKRZYDLATEGO ZWYCIĘZCY"
RENATA WĄSOWSKA

80 W KRĘGU KLIO
RAFAŁ ŁATKA

82 WOJNA NA EKRANIE
KAROL MAZUR

PUPILE HISTORII

86 TROCHĘ OSIOŁ, TROCHĘ LEW
MAGDALENA SZCZEPANIAK

CZYM STRZELAĆ

87 NASTĘPCA LEGENDY
KACPER GROCHOCKI

DIABEŁ NIE MÓGŁ

88 PRZYJACIÓŁKA ORZESZKOWEJ
JOANNA PUCHALSKA

SZLACHETNE ZDROWIE

90 DOLE I NIEDOLE RATOWNICTWA MEDYCZNEGO
KRZYSZTOF ŻARYN

TAJEMNICE ARCHIWUM AKT NOWYCH

92 TRANSATLANTYK „PIŁSUDSKI"
KATARZYNA WYSOCZYŃSKA

NAC PREZENTUJE

93 AKCJA NA STO MILIONÓW
ŁUKASZ KAROLEWSKI

ZE ZBIORÓW MPW

94 AKCJA „ROZPOZNAJ"
MICHAŁ TOMASZ WÓJCIUK

HISTORIA OKŁADKI

96 POWSTAŃCZY SZPITAL
MICHAŁ KORSUN

OPOWIEŚCI IPN

99 POCZĄTEK KOŃCA – LATO 1988 r.
KATARZYNA ADAMÓW

eprasa.pl 77c6269fd8

wSIECI HISTORII

ISSN 2300-6803

www.wsieci.pl
Redaktor naczelny: Jan Żaryn
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Karpowicz, Małgorzata Żaryn
Sekretarz redakcji: Krzysztof Kotowski
e-mail: redakcja@fratria.pl, tel. (22) 616 36 00
ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa

Stali współpracownicy:
Marek Barański, Ryszard Czarnecki, Antoni Dudek, Kacper Grochocki, Grzegorz Górny, Marek Jurek, Tomasz Karpowicz, Michał Komuda, Jarosław Kossakowski, Paweł Kowal, Jacek Krochmal, Henryk Litwin, Rafał Łatka, Piotr Mazurek, Joanna Puchalska, Gabriela Sierocińska-Dec, Paweł Skibiński, Andrzej Skwarczyński, Piotr Skwieciński, Magdalena Szczepaniak, Piotr Zaremba, Krzysztof Żaryn, Agnieszka Żurek oraz IPN, MPW, AGAD, AAN i NAC

Współpracownicy:
Jarosław Czubaty, Jerzy Dąbrowski, Iza Galicka, Grzegorz Grabski, Adam Hlebowicz, Zbigniew Hundert, Michał Janik, Piotr Kardela, Janusz Kotański, Artur Kubaj, s. Małgorzata Krupecka, Sebastian Ligarski, Agnieszka Łuczak, Piotr Łysakowski, Grzegorz Majchrzak, Łukasz Michalski, Waldemar Mierzwa, Wojciech Osiński, Tomasz Panfil, Andrzej R. Potocki, Maria Radożycka-Paoletti, Marcin Schirmer, Ewelina Steczkowska, Grzegorz Szymborski, Krzysztof Tarka, Przemysław Wajngertner, Jakub Witczak

Dyrektor artystyczny:
Michał Korsun, michal.korsun@fratria.pl

Studio graficzne:
Andrzej Skwarczyński (kierownik)
andrzej.skwarczynski@fratria.pl,
Maciej Majtczak, Lidia Słowikowska,
Projekt graficzny: Michał Korsun
Fotoedycja:
Ewa Falkiewicz, ewa.falkiewicz@fratria.pl,
Anna Łabęcka, ania.labecka@fratria.pl,
Obróbka zdjęć: Tomasz Kieras

Wydawca:
Fratria sp. z o.o.
prezes: Romuald Orzeł
ul. Legionów 126-128,
81-472 Gdynia
redakcja@fratria.pl, www.fratria.pl

Druk: LSC Communications Europe

Prenumerata wydania papierowego:
tel. (22) 616 15 70
www.wsieci.pl
prenumerata@fratria.pl
Regulamin oraz warunki prenumeraty na stronie www.wsieciprawdy.pl
Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia,
w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe od wysyłki oraz rodzaj prenumeraty
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej oraz na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem:
801 800 803 lub 22 717 59 59
– czynne w godzinach 7^{00}–18^{00}.
Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Dyrektor ds. Rozwoju Biznesu:
Katarzyna Marchewka
katarzyna.marchewka@fratria.pl
Biuro Reklamy:
reklama@fratria.pl
Paulina Kąkol – paulina.kakol@fratria.pl
Wojciech Kopacz – wojciech.kopacz@fratria.pl

Kolportaż:
kolportaz@fratria.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Copyright © Fratria Sp. z o.o. Wszystkie prawa zastrzeżone (włącznie z tłumaczeniem na języki obce). Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Ogłoszenia i reklamy nie stanowią materiału pochodzącego od Wydawcy. Bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

OKŁADKA:
PROJEKT: MICHAŁ KORSUN, FOT.: ANDRZEJ WIKTOR, SCENOGRAFIA: JAN NAŁĘCZ (REKO.WAW), CHARAKTERYZACJA: JOANNA WASILEWSKA, AKTORZY: ADRIANNA CHLEBICKA, PATRYK WALCZAK, STANISŁAW ŚWIERK

PODZIĘKOWANIA DLA JANA NAŁĘCZA ZA UDOSTĘPNIENIE WNĘTRZA SCHRONU ORAZ MICHAŁA KĘPIŃSKIEGO Z WYPOŻYCZALNI RETRO-PASJE ZA UŻYCZENIE KOSTIUMÓW NA POTRZEBY SESJI.

Doroczne Nagrody Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

W czerwcu wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego, prof. Piotr Gliński przyznał doroczne nagrody dla osób, które w sposób szczególny przyczyniły się do rozwoju, upowszechniania i ochrony kultury. Laury są przyznawane w 18 kategoriach. Wśród nagrodzonych w tym roku znaleźli się m.in. Bronisław Wildstein i Elżbieta Cherezińska (literatura), Emilian Kamiński (upowszechnianie kultury), Piotr Bernatowicz (sztuki wizualne), Marta Walczak-Stasiowska (kultura ludowa), Andrzej Szczerski (ochrona dziedzictwa kulturowego), Ryszard Peryt (muzyka), Alicja Helman i Pierre Zalewski (ochrona dziedzictwa kulturowego za granicą). Nagrodę im. Tomasza Merty „Między literaturą a historią" otrzymał Bohdan Urbankowski. Nagrodą za całokształt twórczości został uhonorowany Jan Englert.

FOT. PIOTR LIWIC

Trzeci etap II edycji Olimpiady Historii Polski na Ukrainie 2017/18

W dniach 1–3 lipca odbywał się trzeci etap drugiej edycji Olimpiady Historii Polski na Ukrainie 2017/18. Do Warszawy na dwuetapowy egzamin przyjechała z Ukrainy grupa 14 finalistów z opiekunami. Olimpiada to bezprecedensowe przedsięwzięcie organizowane przez Fundację Wolność i Demokracja w porozumieniu z Polskim Towarzystwem Historycznym. Projekt był dedykowany polskiej młodzieży szkolnej, zamieszkałej i uczącej się na terenie Ukrainy. Jego celem jest popularyzacja wiedzy o historii Polski, rozwijanie zainteresowań historycznych oraz tworzenie warunków do pogłębiania umiejętności uczniów, a także do kształtowania i umacniania świadomości historycznej młodzieży, a poprzez to wspieranie polskiej tożsamości na Ukrainie. Motywacją do udziału są nie tylko atrakcyjne nagrody rzeczowe, w tym trzydniowy pobyt w Warszawie, ale przede wszystkim indeks na jeden z polskich uniwersytetów państwowych. Pierwszy i drugi etap tej edycji Olimpiady odbył się 11 listopada 2017 r. w 11 ukraińskich miastach. Do trzeciego etapu Komitet Główny Olimpiady pod przewodnictwem prof. Krzysztofa Mikulskiego zakwalifikował 14 uczestników. Olimpiada jest organizowana w ramach projektu Fundacji WiD „Biało-czerwone ABC. Program rozwoju polskiej edukacji na Ukrainie", współfinansowanego przez Senat RP w ramach sprawowania opieki Senatu Rzeczypospolitej Polskiej nad Polonią i Polakami za granicą.

Upamiętnienie rocznicy śmierci „Orlika"

24 czerwca w Rykach odbyły się obchody 72. rocznicy śmierci mjr. Mariana Bernaciaka ps. Orlik. Rozpoczęły się one od mszy św. z udziałem Kompanii Reprezentacyjnej Sił Powietrznych w kościele pw. Najświętszego Zbawiciela, podczas której nastąpiło złożenie jako wotum Krzyża Srebrnego Orderu Wojennego Virtuti Militari nadanego mjr. „Orlikowi" w 1945 r., wydanego przez Kancelarię Prezydenta RP, a 1 czerwca wręczonego rodzinie bohatera przez szefa Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych. Następnie miało miejsce otwarcie Izby Pamięci mjr. Mariana Bernaciaka „Orlika" w siedzibie MGCK w Rykach. Uroczystości zakończył koncert patriotyczny z udziałem Leszka Czajkowskiego i Pawła Piekarczyka. Organizatorami obchodów byli burmistrz Ryk oraz Koło Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej w Rykach. Honorowy patronat nad uroczystościami objął prezydent RP Andrzej Duda.

Powitanie oddziału AK mjr. Mariana Bernaciaka „Orlika" wkraczającego do Ryk podczas Akcji „Burza", 1944 r.

FOT. IPN

Konferencja o ludobójstwie na Wołyniu

25 czerwca w auli Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie miała miejsce konferencja naukowa „Ludobójstwo na Kresach Południowo-Wschodnich: aspekt eklezjalny i teologiczny". Obrady rozpoczęło wystąpienie prof. Marii Dzielskiej. Następnie referaty wygłosili: ks. prof. Franciszek Longchamps de Berier, ks. prof. Józef Marecki, dr Leon Popek, prof. Włodzimierz Osadczy, prof. Andrzej Zięba. Kolejnym elementem programu był przedpremierowy pokaz filmu dokumentalnego „Niedokończone msze wołyńskie" w reż. Tadeusza Arciucha i Macieja Wojciechowskiego. Wydarzenie zakończyło się uroczystą mszą św. w intencji duchowieństwa wołyńskiego i ludności cywilnej w katedrze wawelskiej. Organizatorami sesji były: Komisja Wschodnioeuropejska PAU, oddział krakowski IPN, Muzeum Armii Krajowej im. gen. Augusta Emila Fieldorfa „Nila" w Krakowie i Stowarzyszenie Stanica Kresowa. Patronatu honorowego udzielili jej metropolita krakowski abp Marek Jędraszewski i poseł do Parlamentu Europejskiego prof. Ryszard Legutko.

eprasa.pl 77c6269fd8

POD PATRONATEM „wSIECI HISTORII”

XXII Międzynarodowy Festiwal Organowy Lublin – Czuby

100. rocznica odzyskania przez Polskę niepodległości i 40. rocznica rozpoczęcia pontyfikatu Jana Pawła II to główne motywy przewodnie XXII Międzynarodowego Festiwalu Organowego Lublin – Czuby, który rozpoczął się 27 czerwca w kościele pw. św. Rodziny i potrwa do połowy października. Inaugurację projektu uświetnił koncert jubileuszowy Zespołu Pieśni i Tańca „Mazowsze” im. Tadeusza Sygietyńskiego, któremu patronował prezydent RP Andrzej Duda. Okazją do tego wydarzenia była 70. rocznica powstania zespołu. W trakcie festiwalu zaprezentowane zostaną także: koncert słowno-muzyczny „Juliusz Słowacki – ulubiony poeta marszałka Józefa Piłsudskiego” z udziałem m.in. Jerzego Treli i Wojciecha Treli, koncerty ukazujące polską muzykę wokalną z utworami m.in. Fryderyka Chopina, Stanisława Moniuszki, Ignacego Jana Paderewskiego oraz polską muzykę instrumentalną, a także chóralną. Nie zabraknie też koncertów religijnych, w tym „Ave Maria w muzyce”. Do nauczania św. Jana Pawła II nawiązywać będzie koncert z 29 sierpnia, zatytułowany „To jest moja Matka, ta Ojczyzna! – Jan Paweł II”. Wystąpi w nim m.in. Alicja Węgorzewska. Do przesłania papieskiego nawiąże także koncert „Do Was, młodych, należy przyszłość”, w którym wystąpi archidiecezjalny chór chłopięco-męski Pueri Cantores Lublinenses pod dyrekcją ks. Attila Honti. Natomiast w październiku odbędzie się koncert „Jan Paweł II w Lublinie w 100-lecie KUL” w wykonaniu solistów, chóru i orkiestry Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej I i II st. im. Karola Lipińskiego w Lublinie. To finałowe widowisko będzie hołdem dla stuletniej działalności naukowej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Wydarzenie artystyczne odbywa się w ramach ogólnopolskiego projektu „Zrozumieć Niepodległą”, który został wpisany w oficjalnym programie wydarzeń rocznicowych „Niepodległa” i jest realizowany w ramach ogólnopolskich obchodów 100. rocznicy odzyskania niepodległości. Dyrektorem festiwalu jest Robert Grudzień. Więcej informacji o przedsięwzięciu można znaleźć na stronie internetowej www.grudzien.pl.

FOT. SHUTTERSTOCK

Dni Braterstwa Polsko-Węgierskiego

Od 28 lipca do 5 sierpnia na Węgrzech odbędą się Dni Braterstwa Polsko-Węgierskiego. Z tej okazji nad Dunaj uda się 40-osobowa grupa dam i rycerzy historycznych z Polski, odtwarzających okres panowania Stefana Batorego i początek XVII w. Przez cały pobyt polska delegacja będzie gościć u węgierskich huzarów w obozowisku historycznym nad samym brzegiem Dunaju, u podnóża wyszehradzkiego zamku. Najważniejszy akcent wyprawy to obchody Dnia Braterstwa w Budapeszcie, który będzie celebrowany w ostatnią niedzielę lipca. Odbędzie się wówczas piknik historyczno-kulturalny i obozowisko polskiego oraz węgierskiego rycerstwa w symbolicznym miejscu stolicy Węgier – tuż obok pl. Bohaterów. W ten sposób rycerze z Polski, wraz z przyjaciółmi węgierskimi, chcą uczcić wieki wielkiej przyjaźni i braterstwa między naszymi narodami. Dodatkowymi okazjami ku temu są zbliżające się Święto Wojska Polskiego, a także rocznica stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości oraz 170. rocznica wybuchu powstania na Węgrzech przeciw Habsburgom z ważnym udziałem Polaków. Podczas uroczystości przypominane będą najciekawsze oraz najważniejsze momenty i postaci naszej wspólnej historii, w tym Stefan Batory i Józef Bem. Poza Budapesztem polskie rycerstwo weźmie również udział w uroczystościach w Wyszehradzie, Domos, Parkanach, Esztergom, a także w Wiedniu. Dni Braterstwa zostały objęte honorowym patronatem przez ambasadora RP na Węgrzech Jerzego Snopka. Wydarzenie jest organizowane przez węgierski regiment huzarów z Esterhazy i polską fundację Hussar przy wsparciu Ministerstwa Obrony Narodowej i Wojska Polskiego.

eprasa.pl 77c6269fd8

FOT. NAC

Kompania Strzelców Podhalańskich maszeruje Alejami Ujazdowskimi do Belwederu, 1929 r.

POD PATRONATEM „wSIECI HISTORII"

Góralskie drogi do Niepodległości

Góralskie drogi do Niepodległości to zaplanowana na 18–22 lipca impreza rowerowa wpisująca się w obchody 100-lecia odzyskania niepodległości naszego kraju. Ma ona na celu przypomnieć wkład górali w walki od pól Grunwaldu, przez wąwóz Homole, fronty I i II wojny światowej, powstanie antykomunistyczne, aż po „Solidarność". Rajd będzie trwał cztery dni. Trasa wyprawy będzie prowadzić spod Grobu Nieznanego Żołnierza w Warszawie, poprzez Mokotów, gdzie uczestnicy zatrzymają się, aby zapalić znicz pod murami Muzeum „Żołnierzy Wyklętych" i Więźniów Politycznych PRL. Kierując się na południe, poprzez Piaseczno, bocznymi drogami województwa mazowieckiego dotrą do

miejscowości Końskie, gdzie spędzą noc. Drugiego dnia pojadą w kierunku Jędrzejowa, by w tej miejscowości przeciąć słynną drogę Pierwszej Kadrowej, która maszerowała w swym wypadzie na Kielce. Przecinając Puszczę Niepołomicką, rajd skieruje się następnie na Wieliczkę. Trzeci dzień rozpocznie się od zdobycia górującej nad Wieliczką i Krakowem Chorągwicy, na której znajduje się jedna z najstarszych wież telewizyjnych w Polsce. Kierując się na Dobczyce, rowerzyści wkroczą na szlak 10. Brygady Kawalerii. Jadąc drogami starej zakopianki do Lubnia, przez Kasinę, Rabkę-Zdrój, Rabę Wyżną, Pyzówkę, uczestnicy oddadzą hołd żołnierzom mjr. Józefa Kurasia „Ognia". Rajd zakończy się na Rynku w Nowym Targu. Organizatorami są grupa rowerowa Bez Hamulców z Warszawy, która łączy pasję z historią, oraz Fundacja „2 Koła" z Nowego Targu. Współorganizatorami są: 5. Batalion Strzelców Podhalańskich z Przemyśla oraz Fundacja „Pamięć i Wolność" z Waksmundu.

POD PATRONATEM „wSIECI HISTORII"

III edycja projektu edukacyjnego „Seanse w Jasnej"

Od września 2018 r. do czerwca 2019 r. Fundacja Willa Jasny Dom wspólnie z Oddziałowym Biurem Edukacji Narodowej IPN w Warszawie będzie realizować III edycję projektu edukacyjnego „Seanse w Jasnej". Celem inicjatywy jest rozpowszechnianie wiedzy na temat historii aresztu Głównego Zarządu Informacji Wojska Polskiego, mieszczącego się w kamienicy przy ul. Świerszcza 2 w warszawskiej dzielnicy Włochy oraz propagowanie wiedzy na temat polskiego podziemia niepodległościowego. Projekt zostanie zrealizowany poprzez pięć cyklicznych spotkań, w trakcie których pracownicy OBEN IPN w Warszawie wygłoszą prelekcje, którym towarzyszyć będą seanse filmowe. Uczestnicy „Seansów w Jasnej" będą mieli również możliwość obejrzenia filmu „Ciemna strona Jasnego Domu", wystawy „Krzyk murów" oraz zwiedzenia zabytkowych piwnic Willi Jasny Dom. Projekt zostanie zainaugurowany 13 września. Kolejne spotkania są planowane na 6 grudnia br. i 14 lutego oraz 11 kwietnia i 13 czerwca 2019 r.

„wSieci Historii" w Radiu Warszawa...

27 lipca (piątek) o godz. 13.30 Radio Warszawa oraz miesięcznik „wSieci Historii" zapraszają na wspólną audycję. Gościem Ewy Pietrzak będą członkowie redakcji pisma.

...i w Radiu dla Ciebie

4 sierpnia 2018 r. (sobota) o godz. 13.00 w Radiu dla Ciebie red. Wojciech Marczyk będzie rozmawiał z członkami redakcji miesięcznika.

eprasa.pl 77c6269fd8

Toruń: powstanie Muzeum im. św. Jana Pawła II

Na mocy umowy podpisanej pomiędzy Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego a Fundacją Lux Veritatis w Toruniu powstanie Muzeum „Pamięć i Tożsamość" im. św. Jana Pawła II, które będzie prowadzone wspólnie przez obie te instytucje. Placówka będzie prezentować ponad 1000-letnią historię chrześcijańskiej Polski ze szczególnym uwzględnieniem nauki św. Jana Pawła II i jej oddziaływania na losy Polski, Europy i świata. Szczególnym zadaniem muzeum będzie upowszechnianie wyników badań naukowych dotyczących postaw Polaków wobec Żydów podczas II wojny światowej. Będzie tam eksponowane m.in. 40 tys. relacji świadków gromadzonych przez toruński ośrodek od 1995 r. „Muzeum wypełni istotną lukę w naszej ofercie muzealnej, która wciąż w niedostatecznym stopniu obejmuje zarówno aksjologię Jana Pawła II, jak i kwestie relacji polsko-żydowskich w czasie II wojny światowej" – skomentował podpisanie umowy wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego, prof. Piotr Gliński. „Muzeum »Pamięć i Tożsamość« to ma być dobra lekcja dla umysłu i serca [...]. My mówimy po polsku dzięki tym wszystkim, którzy na przeróżne sposoby o to dbali. Aż krew przelewali. Ta nasza kultura – my niesiemy to w sobie, dlatego takie muzeum. To ma być też wychowawcze, aby pokazać przykład, piękne wzorce" – mówił natomiast o nowej placówce o. dr Tadeusz Rydzyk CSsR, dyrektor Radia Maryja. Toruńskie muzeum dołączy do blisko 50 instytucji kultury, które MKiDN współprowadzi z innymi podmiotami, w tym stowarzyszeniami i fundacjami.

Autor rubryki: Piotr Mazurek

AUTOPROMOCJA

POLECAMY

TELEWIZJA W POLSCE PL

BARYKADA

– MAGAZYN KRYMINALNY, CZYLI POLICJA, SŁUŻBY I MAFIA OD KULIS

PONIEDZIAŁEK
o godz. 12.27

OGLĄDAJ TELEWIZJA W POLSCE PL W CYFROWY POLSAT NA POZYCJI 196

eprasa.pl 7760289d8

OSTATNIE BITWY LEGIONISTÓW

DWIE OSTATNIE BITWY ODDZIAŁÓW LEGIONOWYCH W CZASIE I WOJNY ŚWIATOWEJ, STOCZONE W 1918 r., Z CZASEM STAŁY SIĘ MITAMI ZAŁOŻYCIELSKIMI ARMII W NIEPODLEGŁEJ JUŻ II RZECZYPOSPOLITEJ

KRZYSZTOF JABŁONKA

BÓJ POD RARAŃCZĄ 15–16 LUTEGO 1918 r.

Rarańcza, wieś na Bukowinie, w obwodzie czerniowieckim (dziś Radkiwcy, Ukraina karpacka), zapisała się w dziejach Polski i polskiej walki o niepodległość w czasie I wojny światowej dwukrotnie: bitwami w dniach 16 czerwca–14 sierpnia 1915 r. oraz nocą z 15 na 16 lutego 1918 r. Tu interesuje nas drugie z tych starć.

Żołnierze Polskiego Korpusu Posiłkowego byli naturalną i personalną kontynuacją II Brygady Legionów. Nie poszli oni w ślady swych kolegów z I i III Brygady Legionów, którzy odmówili przysięgi wierności „obu Cesarzom" i woleli pójść za druty, do obozów internowania.

Co innego polski korpus, który niebezpiecznie przedłużał trwanie Polaków w przegranym już obozie Państw Centralnych. Aby zerwać tę więź, oliwy do ognia dolali sami zaborcy. Sprowokowani dumną postawą pozostałych brygad legionowych postanowili przeciw Polakom poprzeć narodowe dążenia pozostałych narodów dawnej Rzeczypospolitej: Litwinów, Białorusinów i Ukraińców, którzy najwcześniej ogłosili niepodległość. „Hallerczycy", czyli zwolennicy gen. Józefa Hallera (nie mylić z Błękitną Armią we Francji), nie mieli żadnego wyboru, gdyż jako poddani cesarza Karola Habsburga trafiliby do regularnej armii austriackiej anonimowo, jak ich koledzy, zesłani potem na front włoski już w początkach 1918 r. Iskrą, która zapaliła pokłady nienawiści do Austrii, była jej polityka wobec pogranicza polskiego, zwanego Ziemią Chełmską i południowym Podlasiem. Teren ten, usilnym staraniem wrogiej katolicyzmowi i Polakom rosyjskiej Cerkwi prawosławnej, został oddzielony w 1913 r. od Kongresówki i przyłączony bezpośrednio do guberni wołyńskiej państwa carów. Zajęcie tych terenów przez Niemców w sojuszu z Austriakami i czasowy ich podział w 1915 r. między zaborców przyjęto jako małe wyzwolenie spod okupacji caratu. Teraz powracała sprawa legalnej władzy Polaków, potwierdzonej Aktem 5 listopada 1916 r. o wskrzeszeniu Królestwa Polskiego, przynajmniej w jego autonomicznych granicach z 1815 r.

FOT. NAC

Polski Korpus Posiłkowy – pozycje pod Rarańczą. Powyżej: budowa okopów przez saperów II Brygady Legionów, 1918 r.

Rozczarowanie postawą Józefa Piłsudskiego i słuchających go Polaków spowodowało, że władze Wiednia i Berlina gotowe były postawić na państwo ukraińskie, istniejące prawnie od ogłoszenia aktu niepodległości i całkowitego jego oderwania się od Rosji z dniem 9/22 stycznia 1918 r. Uznanie tego państwa pociągnęło za sobą konieczność zawarcia odrębnego pokoju niż z Rosją, co nastąpiło 9 lutego 1918 r. na konferencji w Brześciu Litewskim. W zawartej tam tajnej klauzuli, która szybko stała się jawna, państwo Habsburgów zobowiązywało się wydzielić z obszaru Galicji i Bukowiny jej część ukraińską w odrębny kraj koronny, a ponadto przyłączyć do Ukraińskiej Republiki Ludowej obszar Chełmszczyzny i południowego Podlasia. Tego było już za wiele nawet najbardziej zagorzałym zwolennikom wierności Austrii. „W tym dniu – jak zapisano – zgasła gwiazda Habsburgów na polskim firmamencie".

Zawrzało też w Polskim Korpusie Posiłkowym. Szybko zrodził się pomysł jakiejś demonstracji zbrojnej, która by oprotestowała zaistniałą sytuację. W swych „Pamiętnikach" Marian Kantor-Mirski podaje, że rozważano liczne scenariusze wydarzeń: przedarcie się przez Rosję do Chin i przez Pacyfik na front zachodni, dookoła świata; albo przejście pod protektorat Rumunii lub wejście do Galicji i wywołanie tam powstania antyaustriackiego. Wreszcie rozformowanie się i wejście w struktury podziemnej Polskiej Organizacji Wojskowej, działającej również na wschodzie. Ostatecznie wybrano wariant bardziej realistyczny, chociaż ryzykowny: przebicie się przez zamarły od listopada front do II Korpusu Polskiego przy armii rosyjskiej, operującego na terenie Mołdawii. Zwłaszcza że Mołdawia właśnie 24 stycznia ogłosiła (po raz drugi) swoją niepodległość na terenie dawnej guberni besarabskiej między Prutem a Dniestrem.

13 lutego 1918 r. gen. Józef Haller zwołał naradę swojego sztabu. Podjęto wtedy decyzję o przedarciu się przez front. Od złożonej Austrii przysięgi udzielił wszystkim absolucji niezawodny ks. Panaś, argumentując, że na skutek wiarołomstwa państw centralnych wszelka wierność traci sens i przestaje obowiązywać. Wtedy Haller stwierdził „lepszy głupi czyn niż bezczynność". Wydał odezwę „Do Narodu Polskiego", w której stwierdził, że „obowiązek żołnierski nakazał nam iść tam, gdzie powstaje Polska Siła Zbrojna, skoro w kraju dla nas możliwość budowania jakiejkolwiek armii ustała". W ostatnim akcie protestu odesłał cesarzowi Karolowi wszystkie otrzymane dotychczas ordery i odznaczenia austriackie. Przyznać trzeba, że ten czyn najbardziej obraził i upokorzył Austriaków. Nazwali to „polską niewdzięcznością".

14 lutego 1918 r. wydano ostatnie rozkazy do wymarszu w stronę linii frontu pod pozorem czterodniowych ćwiczeń polowych, które miały być zasłoną dymną przed wykryciem „buntu" przez dowództwo austriackie. Niestety Austriacy spodziewali się takich działań ze strony wojsk polskich i wysłali w ich stronę oddział żandarmerii.

Wieczorem 15 lutego, ok. 18.00 w stronę linii frontu wyruszyła pierwsza partia polskich żołnierzy. Były to oddziały 2. Pułku Legionów. Już po kilku godzinach natknęły się na wysłanych przeciw nim żołnierzy 53. Pułku Piechoty austriacko-węgierskiej, złożonego w większej części z Chorwatów, którym powiedziano, że jeńcy rosyjscy wzniecili bunt i rabując, uciekają do swojego kraju. „Gdybyśmy wiedzieli, że to wy, Polacy, tak samo jak my pod przymusem służący w armii zaborców, nigdy byśmy na was broni nie podnieśli" – zeznał jeden z Chorwatów w polskiej niewoli, zanim skonał z ran. Polacy bowiem przy pierwszym starciu roznieśli pułk Chorwatów w perzynę i rozbroili do cna, jak to wspomina chorąży Marian Kantor-Mirski.

W tym czasie dogonił legionistów z 2.pułku zapasowy pułk 3., idący z dalszych leży zimowych. Po drodze minął tabory i artylerię, które miały problem z przekroczeniem torów kolejowych. Wkrótce po nich nadjechał austriacki pociąg pancerny i odciął całkowicie taborom drogę ucieczki. Legioniści zostali bez zaopatrzenia, bagaży, a co najważniejsze – bez kuchni i ciepłej strawy. Dała znać o sobie artyleria austriacka, słynna z prowadzenia celnego ognia. Padły pierwsze polskie ofiary w ludziach i koniach. Cały transport, artyleria i tabory sanitarne musiały się poddać – żołnierze trafili pod sąd w Huszcie Maramoszu za zdradę. Groziła im wszystkim kara śmierci. Ostatecznie w obliczu totalnego rozpadu państwa cesarz Karol niemal ostatnim aktem prawnym ułaskawił zbuntowanych Polaków już w październiku 1918 r. Zdążyli jeszcze wziąć udział w czynnym rozbrajaniu wojsk austriackich w Galicji i na ziemi cieszyńskiej.

W starciu z Chorwatami i od pocisków artylerii odnotowano16 zabitych, ok. 50 było bardziej lub lżej rannych, 3 tys. dostało się do niewoli. Skierowano ich na front włoski lub do więzień. Przedarło się 1,6 tys. żołnierzy oraz cały korpus oficerski złożony z ok. 100 oficerów. Przeciwnikiem ich był 8. Korpus austriacki gen. Ferdinanda Kosaka.

Okopy frontowe w większości były pozbawione jakiegokolwiek wojska. Największą przeszkodę stanowiły zasieki z drutu kolczastego. Wtedy żołnierze zaczęli ściągać płaszcze, przykrywali nimi drut kolczasty i przechodzili na drugą stronę. Przedstawiali obraz przerażający. Głodni, bez zapasów pobranych z austriackich magazynów, byli zdani na łaskę dowództwa sowieckiego, które nie było im przychylne i brało początkowo za wkraczających do Besarabii Rumunów. Dziwili się, skąd tu Polacy. Jedyną nadzieję stanowił II Korpus, który działał legalnie w ramach armii rosyjskich na tym froncie. Dzięki działaczowi POW Tadeuszowi Hołówce i jego kontaktom doszło szybko do spotkania z dowództwem II Korpusu w Kamieńcu Podolskim, gdzie dotarł Haller, a w Jampolu doszło do połączenia obu Korpusów Polskich, które odtąd walczyły już po jednej stronie, stronie państw Ententy przeciw Państwom Centralnym.

Tak połączony korpus przedarł się pod Kaniów, gdzie rozpoczął rozmowy ze zbliżającymi się od zachodu Niemcami. Znaczenie przebicia się pod Rarańczą podsumował Józef Haller w rozkazie wydanym do żołnierzy 15 marca 1918 r. z okazji połączenia się z II Korpusem: „Na dawnych kresach Rzeczypospolitej, na wolnej ziemi Ukrainy łączą się po raz pierwszy oddziały wojskowe dwu zaborów, dając przykład i wzywając naród polski do skonsolidowania się celem odbudowy Ojczyzny. Uzyskanie tego celu niech się stanie bodźcem do intensywnej naszej pracy i wysiłków, do osiągnięcia dążeń naszych, a marzeń ojców naszych, wkroczenia w ziemię ojczystą, stworzenia i utrzymania Wolnej i Niepodległej, Całej Polski".

BÓJ POD KANIOWEM 11 MAJA 1918 r.

Korpus Hallera przedarł się przez Mohylów Podolski do Jampola, gdzie czekały na niego oddziały II Korpusu. Odbyła się podniosła uroczystość połączenia wojsk z obu zaborów. Już jako jedna formacja ruszył dalej. Opodal w Czeczelniku część II Korpusu oddzieliła się i ruszyła na poszukiwanie III Korpusu gen. Henninga. Reszta przez Berszadę »

eprasa.pl 77c6269fd8

Stanisław Bagieński, „Bitwa pod Kaniowem"

FOT. M. LASYK/REPORTER

i Humań dotarła do wielu wsi oddalonych 10 km na zachód od Kaniowa. Już wkrótce pojawili się w okolicy Niemcy jako sojusznicy Ukrainy Dnieprzańskiej. Weszli oni w pertraktacje z dowództwem polskim, żądając rozbrojenia. Było to już po drugim traktacie brzeskim zawartym z Rosją 3 marca 1918 r. Polaków uznano za element naruszający jego postanowienia. 6 maja 1918 r. gen. Zierhold przesłał dowództwu II Korpusu ultimatum: trzy godziny na złożenie broni i rozformowanie się. Niemcy byli tak pewni swej „siły perswazji", że w całkowite osłupienie wprawił ich opór Polaków i odmowa, z jaką się spotkali. Dlatego ok. 23.30 wycofali ultimatum, tłumacząc pokrętnie, że zaszło nieporozumienie, a jednocześnie pod Kaniów zaczęli ściągać posiłki z frontu coraz dalej idącego na wschód – zajęto w tym czasie Kijów.

W nocy z 10 na 11 maja zaatakowali jednostki polskie od strony zachodniej. 1. szwadron 6. pułku ułanów rozlokowany w Kutelewce dał się zaskoczyć i został całkowicie rozbity. Jeden z ułanów, choć ranny w rękę, zdołał dotrzeć do Masłówki i zaalarmować dowództwo o ataku Niemców. W Potoku przez zaskoczenie wpadła w ręce Niemców cała bateria artylerii. Odcięty został od reszty 6. pułk strzelców, odtąd Kaniowskich, i cała Legia Oficerska. Do świtu nastąpiła jednak pełna koncentracja w rejonie wsi Jemczycha. Legia Oficerska śmiałym atakiem odbiła z niewoli sztab 5. dywizji, który wycofał się do Masłówki. O świcie Niemcy zaatakowali Kozin. Około 9.00 dwa szwadrony z 6. pułku dowodzone przez płk. Sochaczewskiego przeprowadziły brawurową szarżę na niemiecką piechotę. Jak wspomina jeden z uczestników: „Dużo piechurów zginęło od cięcia szabel, reszta rzuciła się w nieładzie do ucieczki, do niewoli dostało się ok. 50 Niemców, 2 ckm-y i spora ilość broni ręcznej przy własnych stratach 1 zabitego i 5 rannych ułanów". Obaj prowadzący szarżę dowódcy K. Lenartowicz i W. Cieśliński w wolnej Polsce otrzymali za nią Krzyże Virtuti Militari V klasy.

Płk Orlik-Łukoski stoczył krwawy bój na ulicach Kozina. Jego 4. kompania została otoczona pod cerkwią i wezwana do złożenia broni, ale jej dowódca kpt. Brandys bronił się jednak do końca. Walki przeniosły się do innych wsi na wschodzie pierścienia, którym Niemcy otoczyli Polaków. Brygada artylerii ze wsi Szandry otworzyła ogień na pozycje koncentrujących się Niemców pod Kozinem i Masłówką. Od 10.00 trwała walka pozycyjna w zamkniętym czworoboku długości 15 km. Niemcy ostrożnie omijali Polaków, nie prowokując już dalszych starć.

Wieczorem oddziałom polskim zabrakło amunicji i musiały się poddać. 12 maja 1918 r. Korpus złożył broń i został rozformowany. Straty obu stron były pokaźne. Świadczy to o zaciętości bitwy i że była to prawdziwa bitwa pozycyjna w pełnym tego słowa znaczeniu. Niemców, według ich zapisów, padło 1,5 tys. zabitych i rannych, Polaków niespełna 900. Wzięto do niewoli 3 tys. żołnierzy i 250 oficerów. Drugie tyle zdołało na różne sposoby zbiec i uniknąć niewoli, w tym gen. Józef Haller. Aby zataić przed Niemcami ucieczkę dowódcy, jego oficerowie uczestniczyli gremialnie we mszy za jego „duszę", niosąc pustą trumnę na cmentarz. Generał przedzierał się przez obszar ogarniętej rewolucją Rosji i przez Moskwę dotarł do Murmańska. Tam czekał na niego już brytyjski krążownik HMS „Edynburg", który z pośpiechem dowiózł go na czas do portu w Hawrze, aby jeszcze nocnym pociągiem zdążył jako sojuszniczy generał dojechać do Paryża i wziąć udział w defiladzie sił sprzymierzonych na Polach Elizejskich w Paryżu 14 lipca 1918 r.

Znaczenie boju pod Kaniowem tak podsumował marszałek Piłsudski: „Bój ten, w chwili największych zwycięstw Niemców na zachodzie (druga bitwa nad Marną) i wschodzie, miał ogromne znaczenie polityczne i moralne dla całego narodu polskiego, jako protest orężny przeciw przemocy okupantów, jedynej podówczas, niezależnej Polskiej Siły Zbrojnej".

Bitwę pod Kaniowem, ostatnią bitwę legionistów, upamiętnia odznaka pamiątkowa Związku Kaniowczyków, a na Grobie Nieznanego Żołnierza widnieje na jednej z płyt napis: „Kaniów 11 maja 1918", 6. pułk ułanów zaś nosił odtąd dumną nazwę Ułanów Kaniowskich. Poległych, ze względu na pozostawienie tego obszaru w Rosji sowieckiej, nigdy nie sprowadzono do Polski, jak bohaterów spod Rokitnej i Rarańczy.

eprasa.pl 77c6269fd8

POLAK I OBYWATEL ŚWIATA

FERDYNAND ANTONI OSSENDOWSKI JAKO AMBASADOR DIALOGU KULTUR UCZYNIŁ PEWNIE DLA POLSKI WIĘCEJ NIŻ NIEJEDEN DYPLOMATA MSZ W CAŁYM DWUDZIESTOLECIU MIĘDZYWOJENNYM

GRZEGORZ SZYMBORSKI

Kim był naprawdę Ferdynand Antoni Ossendowski? Chemikiem, naukowcem, dziennikarzem, doktorem, profesorem, fałszerzem, politykiem, tajnym emisariuszem, hochsztaplerem, białym partyzantem, współpracownikiem japońskiego wywiadu, podróżnikiem myślicielem, filozofem, literatem zarabiającym krocie, działaczem społecznym, myśliwym, geografem, autorem światowych bestsellerów, ekspertem, filantropem, scenarzystą, redaktorem, konspiratorem, handlarzem? Oszustem czy kryształowym człowiekiem? Chyba wszystkim po trochu. Barwną, renesansową postacią. Człowiekiem wyjątkowego formatu. Wszechstronność zainteresowań, zdolności, talent, ambicja, żyłka awanturnicza, skłonność do intryg – wszystko to razem tworzyło mieszaninę piorunującą. Niech inne narody go nam zazdroszczą". Tymi oto słowy niedawno zmarły Witold Michałowski rozpoczął swoją biograficzną opowieść o Ferdynandzie Antonim Ossendowskim – niezwykłym człowieku, który dokonał wielkiego dzieła promocji odrodzonej Rzeczypospolitej poza jej dopiero co ustanowionymi granicami.

Spadkobierca rozbiorowej niedoli

Rzeczony ambasador polskości urodził się w 1876 r. w Lucynie p. Witebskiem. Osiem lat później jego rodzina przeniosła się do Kamieńca Podolskiego. Już w trzeciej klasie gimnazjum przetarł literackie szlaki. Skłonny do fantazji, omal nie utracił stypendium, kiedy w jednym ze szkolnych wypracowań opisał swój rodzinny dom jako wyimaginowany olbrzymi, arystokratyczny pałac. Ród jego rzekomo wywodził się ze szlachty. Przodkowie Ossendowskiego stawać mieli »

Ferdynand Ossendowski podczas ekspedycji do Gwinei (trzyma ręce w kieszeni), 1926 r.

FOT. NAC

eprasa.pl 77c6269fd8

» w szeregach niesławnych w Rosji lisowczyków. Kto zatem sięgał do książek tego pisarza, zainteresowany następnie także sylwetką autora, wejrzeć mógł w historię zniewolenia Polski na przykładzie typowej rodziny kresowej, szczycącej się ponadto tradycją służby w czasach najodleglejszych, bo przedrozbiorowych.

Młodemu Antosiowi wróżono karierę pisarza lub prawnika. Zainteresowania naukami ścisłymi wzięły jednak górę i tak wstąpił na wydział matematyczno-przyrodniczy Uniwersytetu Petersburskiego. Od tego momentu rozpoczął przeplataną karierę naukowo-literacką. Uczestniczył w ekspedycjach nad Don, Dniestr, Jenisej i jezioro Bajkał. Dotarł do Japonii, Chin oraz Indii. Wyprawa do ostatniego z krajów zwieńczona została książką „Chmura nad Gangesem", która przyniosła uznanie petersburskiego Towarzystwa Literackiego i ofertę tłumaczenia pracy na język angielski.

Młodzieńcze lata oraz dalsza kariera naukowa Ossendowskiego w carskiej Rosji stanowiły doskonałą ilustrację losów Polaka, który dzięki swym talentom był w stanie zajść całkiem wysoko w państwie carów. Do momentu gdy państwo to faktycznie należało do carów.

Demaskator socjalizmu

Kiedy losy Polski w latach 1919–1920 rozstrzygały się nad Wisłą, Ossendowski przebywał na Syberii u boku białych partyzantów. Próbował porozumieć się z polskimi placówkami dyplomatycznymi, by przekazać skreślone przez siebie raporty o stanie politycznym Rosji sowieckiej. Wojna domowa w Rosji i okrucieństwo bolszewizmu, których był świadkiem, uczyniły z niego zagorzałego antykomunistę. Dał temu wyraz, publikując fabularyzowaną biografię Lenina. Ossendowski należał do pierwszych, którzy – jak pisał Witold Michałowski – „ośmielili się uderzyć w mit, w symbol, w legendę, w bożyszcze i idola milionów ogłupiałych z głodu i nędzy biedaków z całego świata". Opowieść o wodzu rewolucji niemal natychmiast po polskim wydaniu w 1930 r. została przetłumaczona na większość języków europejskich. Była odczytywana obszernymi fragmentami przez radio. Choć nie była wolna od uproszczeń, publikacja przeciwstawiała się wyidealizowanemu wizerunkowi kreowanemu przez ich propagandę. Opisując zbrodnicze zaplecze bolszewików i upowszechniając na Zachodzie ich prawdziwy wizerunek, Ossendowski stał się dla Sowietów wyjątkowo niewygodny. Dość powiedzieć, że natychmiast po wkroczeniu Rosjan do Polski w 1945 r. funkcjonariusze NKWD poszukiwali jego grobu, by mieć absolutną pewność, że ten znienawidzony przez nich człowiek już nie żyje.

„Kandydat" do Nagrody Nobla

W okresie Bożego Narodzenia 1933 r. jedna z warszawskich księgarń wystawiła planszę z mapą Europy otoczoną wizerunkami najpoczytniejszych polskich pisarzy. Nie mogło zabraknąć tam Andrzeja Struga, Stanisława Przybyszewskiego ani niekwestionowanego lidera, jakim był Henryk Sienkiewicz. Widniał tam także wizerunek Ossendowskiego. Był drugim po autorze „Quo vadis" polskim pisarzem, który doczekał się wielkiej światowej sławy. Należał do autorów otrzymujących najwyższe honoraria. Jego książki przełożono 140 razy na 19 języków. Najpoczytniejsze, w tym bestseller „Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów" wydany w USA w 1922 r., ukazały się w języku esperanto, a nawet z wykorzystaniem alfabetu Braille'a. Uznany za twórcę nowego gatunku literackiego – romansu geograficznego – był na ustach krytyków z całego świata. Jedną z książek Bernard Shaw oceniał następująco: „Polski autor wprowadził do literatury nowy powiew, łącząc fantazję pisarską z głęboką wiedzą, poczuciem artystycznej miary i humanitarnym duchem

FOT. NAC

Ferdynand Ossendowski (pierwszy z lewej) z żoną Zofią (druga z lewej) na wczasach w Jugosławii, 1931 r.

Zachodu". Francuski dziennik „L'Intransigeant" zamieścił opinię, że „jeżeli Ossendowski przeżył lub widział to wszystko, co opisuje, należy mu się nagroda wszystkich towarzystw geograficznych, jeżeli zaś utwory są dziełem wyobraźni, powinno mu się przyznać Nagrodę Nobla". Tym sposobem nazwisko Polaka przebiło się do światowej kultury popularnej. Angielski dziennik „The Times" przyrównywał książki Ossendowskiego do twórczości Josepha Conrada, Jacka Londona czy Rudyarda Kiplinga. Nazywany był „polskim Karolem Mayem". Francuski poeta Paul Valéry ochrzcił polskiego podróżnika mianem „Robinsona Crusoe XX w.".

Krytyka, zazdrość i ataki

Stawiany w krzyżowym ogniu zachwytów i naukowej krytyki Ossendowski odpierał zarzuty nieścisłości opisów przyrodniczych swych wypraw do Azji i Afryki. W listopadzie 1924 r. w paryskim lokalu Les Nouvelles Littéraires zorganizował spotkanie z francuską śmietanką towarzyską i naukową, tłumacząc, że jego publikacje nie mają charakteru naukowego. Po latach, przy okazji kolejnych wspomnień z afrykańskich wojaży tak sformułował ideę przyświecającą jego twórczości: „Nie daję ściśle naukowych opisów swoich podróży, bo chodzi mi o to, aby nie tylko specjaliści, lecz jak najszerszy ogół czytelników dowiedział się o tym, com widział, słyszał, badał. Sama forma moich utworów dla popularyzacji wiedzy krajoznawczej w szerokim tego słowa znaczeniu jest najbardziej odpowiednia". Podejście to sprzyjało upowszechnianiu jego dorobku, a tym samym promocji Polski. Z pewnością nawet dla gorzej wykształconych Europejczyków i Amerykanów na początku XX w. termin „Polska" mógł brzmieć równie egzotycznie, co opisywane przez Ossendowskiego ludy i plemiona Azji i Afryki, skoro Polacy przez stulecie pozostawali tylko jedną z setek nacji ciemiężonych butem Romanowów.

Ossendowski chwalony był na łamach fachowych czasopism, np. londyńskiego „The Geographical Journal", wiedeńskiego „Antroposa" czy paryskiego „Journal Asiatique". Szczególne wyróżnienie stanowiły pozytywne wzmianki w tym pierwszym periodyku – oficjalnym organie Królewskiego Towarzystwa Geograficznego, które nie zwykło chwalić cudzoziemskich autorów.

Ciekawą kartę z działalności Ossendowskiego stanowi jego polemika z po-

eprasa.pl 77c6269fd8

FOT. NAC

Warszawskie mieszkanie Ferdynanda Ossendowskiego

dróżnikiem Svenem Hedinem, autorem pracy zatytułowanej „Ossendowski und die Wahrkeit" („Ossendowski i prawda"). Pozostający w cieniu Polaka Szwed zarzucał kłamstwa swemu koledze po piórze. Z odsieczą Ossendowskiemu przyszli amerykański dziennikarz Lewis Palen i niemieccy wydawcy jego prac. W 1925 r., w momencie rozpoczęcia wojny celnej między Polską a Rzeszą, przedstawiciele weimarskiego świata kultury brali w obronę Polaka przed napastliwym autorem. Wydana we Frankfurcie nad Menem książka „Um Ferdinand Ossendowski" zawierała zbiór recenzji i pochwalnych opinii na temat dorobku ich polskiego współpracownika.

Od Mongolii po USA

Kiedy podróżnik brylował już w świecie nauki i kultury, Sorbona przypomniała sobie o swoim absolwencie. W 1923 r. francuskie Ministerstwo Oświaty i Sztuk Pięknych wydało duplikat dyplomu doktora nauk Antoniego Ossendowskiego, przyjętego w poczet członków Akademii. Polski autor doczekał się własnego biogramu w „Encyclopaedia Britannica" jako „officier d'Academie". Pojawił się również w „Historii mongolskiej rewolucji" prof. Badzaryna Szyrendyba, prezesa Mongolskiej Akademii Nauk. W przedmowie do biografii Ossendowskiego ambasador z tego odległego kraju Ganbaatar Adiya zwrócił uwagę, że jednym z celów polsko-mongolskiej współpracy powinna być pielęgnacja pamięci o naszym rodaku. Określał go mianem nietuzinkowej i kontrowersyjnej postaci, do dziś owianej legendą na azjatyckich stepach.

Szczyt światowej popularności Ossendowskiego przypadł na początek lat 30. O tym, ile uczynił dla promocji Polski w świecie, niech świadczą anegdoty z epoki. Na łamach bardzo poczytnego tygodnika „Świat" ukazać się miał dowcip: „W małym miasteczku w USA ktoś pyta miejscowego obywatela, czy wie coś o Polsce. Pada odpowiedź: »O tak! U nas wszyscy znają nazwiska Paderewskiego, Poli Negri i Ossendowskiego«". Jan Kiepura miał z kolei opowiadać w Krynicy, jak to podczas pobytu w Australii na pytanie, jakie znane są publiczności nazwiska współczesnych wybitnych Polaków, pewien marynarz wymienić miał tylko dwa: „Kiepura i Ossendowski".

Ekspert na usługach ojczyzny

Mniej więcej do momentu wybuchu I wojny światowej Ossendowski pozostawał czynnym naukowcem, znanym w Rosji geografem i chemikiem. Przebywając na Syberii, dwukrotnie pełnił funkcje sekretarza władywostockiej filii Towarzystwa Geograficznego. W czasie konfliktu wcielał się w rzecznika praworządności i publikował broszury piętnujące postępowanie państw centralnych, oskarżając je o pogwałcenie prawa międzynarodowego i zwyczajów wojennych. Jego teksty nagłaśniały przypadki ludobójstwa. W 1922 r., już po „powrocie" do Polski, oferował Wydziałowi Wojennego Przemysłu Sztabu Generalnego pomoc przy organizacji fabryk chemicznych. Przedstawiał się jako specjalista chemii węgla, wybitnymi znajomościami w USA i Japonii. Wojsko nie przystało jednak na jego propozycję. Także artykuły i odczyty sporządzane na zlecenie wydawnictwa Bellona o tytułach takich jak: „Chiny jako państwo militarystyczne", „Stany Zjednoczone i polityka europejska", „Imperium Japońskie dziś i jutro", nie znalazły należytego zainteresowania wśród rodaków. Autorytet Ossendowskiego był doceniany raczej za granicą. Swego czasu berlińska gazeta „National Zeitung" nawet zamieściła tekst Polaka o znaczeniu wyprawy Norwega Roalda Amundsena na biegun południowy.

Choć przyjmowany z rezerwą w ojczyźnie (sam pisał, że źle czuł się w Warszawie), został po latach zaproszony do szczytnego projektu. Wydawnictwo Polskie Rudolfa Wegnera zaproponowało mu napisanie książki stanowiącej kompendium wiedzy o Polsce. Praca adresowana zarówno do Amerykanów, jak i tamtejszej Polonii miała być zaprezentowana na wystawie w Nowym Jorku w 1939 r. Książka o wiele mówiącym tytule „Polska to wielka rzecz" nigdy niestety nie powstała. Stanowiłaby wisienkę na torcie, na który złożyło się całe twórcze życie Ossendowskiego. Jako członek Towarzystwa Polsko-Francuskiego, Polsko-Jugosłowiańskiego, Wzajemności Międzynarodowej, Międzynarodowego Towarzystwa Antropologicznego, dekorowany orderami francuskiej Legii Honorowej i Palmą Akademicką, zapraszany przez francuskie Ministerstwo Kolonii do Afryki, uczynił dla promocji Polski więcej niż niejeden zawodowy dyplomata we fraku i cylindrze.

eprasa.pl 77c6269fd8

Sierpień

MICHAŁ KOMUDA

1 VIII 1404 W Kamieńcu Podolskim król Władysław Jagiełło odebrał hołd lenny od hospodara Mołdawii, Aleksandra Dobrego. W konsekwencji tego aktu mołdawskie wojska wspierały Polskę podczas trzech kolejnych konfliktów z zakonem krzyżackim.

Władysław Jagiełło po bitwie pod Grunwaldem

2 VIII 1934 Stefan Starzyński objął urząd Tymczasowego Prezydenta Miasta Stołecznego Warszawy.

3 VIII 1775 Caryca Katarzyna II wydała manifest informujący o ostatecznym zlikwidowaniu serca kozaczyzny, Siczy Zaporoskiej. W jego myśl zabroniono również używania samej nazwy Kozacy zaporoscy.

6 VIII 1942 Janusz Korczak i Stefania Wilczyńska wyruszyli wraz ze swoimi podopiecznymi z Domu Sierot w ostatnią drogę na Umschlagplatz.

9 VIII 1864 W Kamionku pod Warszawą urodził się jeden z ojców Niepodległej, lider ruchu narodowego i mąż stanu, Roman Dmowski.

11 VIII 1892 W Błoniu przyszedł na świat późniejszy dowódca 2. Korpusu Polskiego i Naczelny Wódz, gen. Władysław Anders.

12 VIII 1914 Ok. godz. 11 do Kielc wjechał 12-osobowy patrol konny Władysława Beliny-Prażmowskiego, który na dzień dokonał zajęcia miasta. Trzy godziny później wmaszerowała piechota wraz z Józefem Piłsudskim. Kielce okazały się jednak nieufne wobec niepodległościowej akcji, a wśród ich mieszkańców przeważała obawa o kontrakcję ze strony zaborczych władz rosyjskich.

13 VIII 1873 W Jurczycach w Małopolsce urodził się jeden z twórców niepodległej Polski, Kawaler Orderów Orła Białego i Virtuti Militari, gen. Józef Haller.

14 VIII 1018 Tysiąc lat temu odbył się triumfalny wjazd księcia Bolesława Chrobrego i jego zięcia Świętopełka do zdobytego Kijowa. To w jego trakcie wg relacji Galla Anonima polski władca miał symbolicznie uderzyć swoim mieczem o Złotą Bramę.

eprasa.pl 77c6269fd8

7 VIII 1560

Na terenie północno-wschodnich Węgier urodziła się Elżbieta Batory, siostrzenica przyszłego króla Polski Stefana Batorego. Choć źródła podkreślają jej wyjątkową inteligencję, wiedzę i urodę, krewna naszego monarchy przeszła do historii jako jedna z najbardziej demonicznych kobiet w dziejach.

Wywodząca się z potężnego rodu, Elżbieta została wydana za mąż za hrabiego Franciszka Nádasdyego, który większą część życia spędził na wojnie z Turkami. Oprócz waleczności słynął również z okrucieństwa, m.in. wobec swoich poddanych. Być może pod wpływem męża często samotna Elżbieta zaczęła miewać napady szału, a najdrobniejsze pomyłki służek karała w okrutny sposób. Zadawanie fizycznego bólu młodym kobietom miało jej sprawiać przyjemność. Po przedwczesnej śmierci męża sadystyczne skłonności Elżbiety się pogłębiły, a ona sama przeniosła się do górskiego zamku w Čachticach. To w tamtejszych murach godzinami miała w wyjątkowo okrutny sposób torturować służące i chłopki, a lochy i okoliczne lasy zaczęły się zapełniać zwłokami ofiar. Ostatecznie w 1610 r. Elżbieta na polecenie króla została pojmana i zamknięta w odosobnieniu, w którym zmarła. Jej osoba obrosła krwawą legendą porównywalną z tą, która przylgnęła do hospodara Włada III, zwanego Drakul. Obok wspomnianych zarzutów warto jednak zaznaczyć, że pozycja Elżbiety na Węgrzech była niewygodna zarówno dla jej dłużnika, króla, jak i Habsburgów. W tym świetle zagadkowe pozostaje to, że hrabina przez kilka lat przetrzymywania w odosobnienia nie doczekała się procesu, a żaden ze świadków podobno nie widział jej zbrodni osobiście.

15 VIII 1917

W Lozannie Roman Dmowski założył Komitet Narodowy Polski, który niebawem został uznany przez państwa zachodnie za oficjalną reprezentację odradzającego się państwa polskiego. Jego szeroko zakrojone działania dyplomatyczne, ale również militarne sprawiły, że Polska znalazła się w obozie, który wygrał I wojnę światową.

Utworzony w Szwajcarii komitet został przeniesiony do Paryża, który stał się jego siedzibą. W kierownictwie organizacji zasiedli: jej inicjator Dmowski, a także Stanisław Kozicki, Ignacy Jan Paderewski, Erazm Piltz, Jan Emanuel Rozwadowski, Marian Seyda i Maurycy Zamoyski. Komitet do końca roku został uznany kolejno przez Francję, Wielką Brytanię, Włochy oraz Stany Zjednoczone. Po przybyciu nad Sekwanę latem 1918 r. do KNP dołączył również gen. Józef Haller. On też stanął na czele podporządkowanej komitetowi Wojska Polskiego we Francji – Błękitnej Armii. Jej żołnierze, będący ochotnikami, walczyli u boku sił zbrojnych zwycięskiej Ententy. Ważnym sukcesem politycznym było uznanie Błękitnej Armii za samodzielną armię sojuszniczą. Oceniając jej rolę, Dmowski pisał: „Posiadanie armii, stojącej u boku sprzymierzonych, było jedyną naszą legitymacją do tytułu sprzymierzonego, a co za tym idzie, do udziału w konferencji pokojowej". Najważniejszym sukcesem komitetu było uzyskanie poparcia ze strony państw zwycięskiego obozu do utworzenia po wojnie niepodległej Polski z dostępem do morza. Członkowie KNP, Dmowski i Paderewski, dopełnili swojej misji, skutecznie reprezentując interesy Polski na konferencji pokojowej w Paryżu.

19 VIII 1893

W Warszawie przyszedł na świat jej przyszły prezydent i gospodarz Stefan Starzyński. Jego pracowitość, ofiarność oraz oddanie sprawie do dziś pozostają wzorem tego, w jaki sposób należy służyć społeczeństwu.

Jeszcze podczas edukacji zaangażował się w działalność Polskiej Partii Socjalistycznej, za co był aresztowany przez carskie władze. Mimo to miesiąc przed wybuchem I wojny światowej zdołał obronić dyplom w dzisiejszej Szkole Głównej Handlowej. Wraz z rozpoczęciem konfliktu Starzyński trafił do I Brygady Legionów. Po odzyskaniu niepodległości zgłosił się do służby w odrodzonym Wojsku Polskim. Walczył z Ukraińcami i bolszewikami. Wraz z podpisaniem traktatu ryskiego został skierowany do Delegacji Polskiej Komisji Mieszanej Reewakuacyjnej i Specjalnej w Moskwie. Po powrocie do kraju pracował m.in. w Ministerstwie Skarbu oraz był posłem Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem. »

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA (2X), NAC, ZBIORY FUNDACJI NARODOWEJ IM. ROMANA DMOWSKIEGO

eprasa.pl 77c6269fd8

Sierpień

17 VIII 1939

W Warszawie w wieku 66 lat zmarł represjonowany przez ówczesne władze Wojciech Korfanty. Był głównym architektem przyłączenia po I wojnie światowej Śląska do Polski i do dziś jest uznawany za jednego z najwybitniejszych śląskich polityków.

20 VIII 1943

W trakcie nocnej akcji na niemiecki posterunek w Sieczychach poległ legendarny komendant warszawskich Grup Szturmowych, ppor. Tadeusz Zawadzki „Zośka".

24 VIII 1923

Józef Piłsudski podczas wykładu wygłoszonego w Wilnie odniósł się do zajęcia tego miasta przez Wojsko Polskie w 1919 r. Podjęte wówczas decyzje tłumaczył w następujący sposób: „Zasady federacji nie da się zastosować na tych ziemiach. [...] Zresztą nie widziałem tutaj tych, którzy by do tej federacji chcieli przystąpić. [...] Ja stałą swą wytyczną miałem – stworzenie faktów dokonanych, aby później otrzymać uznanie de iure".

25 VIII 1918

Sto lat temu w Berlinie przyszła na świat późniejsza agentka wywiadu Komendy Głównej Armii Krajowej Zofia Rapp-Kochańska „Marie Springer". Wykonując swoje misje, dzięki wdziękowi, elegancji i sprytowi wielokrotnie skutecznie przemierzała tereny III Rzeszy.

29 VIII 1535

Wojska polsko-litewskie dowodzone przez hetmana Jana Tarnowskiego po miesięcznym oblężeniu zdobyły ruską twierdzę Starodub.

31 VIII 1939

W swoim dzienniku minister spraw zagranicznych Włoch Galeazzo Ciano odnotował ostatnie godziny przed wybuchem II wojny światowej. Odnosząc się do otrzymanego z Berlina komunikatu dotyczącego niemieckich „propozycji" skierowanych do polskich władz, napisał: „Złożono propozycje, a jednocześnie oświadcza się, że są one nieaktualne już w chwili ich przedłożenia. Zatem wszelka dyskusja jest zbyteczna. [...] O godzinie 24 [Massimo] Magistrati poinformował mnie, że w Berlinie rozprowadza się bezpłatne dzienniki z nagłówkiem »Polska odmówiła«. Atak już się zaczyna".

eprasa.pl 77c6269fd8

» Jednak jego życiowa misja miała się dopiero rozpocząć wraz z objęciem latem 1934 r. stanowiska komisarycznego prezydenta Warszawy.

Starzyński pełnienie tej funkcji rozpoczął od drastycznego ograniczenia wydatków i biurokracji, które pociągnęło za sobą redukcję liczby zatrudnionych pracowników miejskich. Dzięki podatkom i kredytom zdołał pozyskać dodatkowe fundusze dla realizacji swojej wizji rozwoju Warszawy. Wcielone w życie inwestycje dotyczyły kanalizacji, sieci elektrycznej i gazowej, budowy nowych osiedli oraz mieszkań, rozbudowy sieci tramwajowej, zakładania parków i remontowania już istniejących obiektów, szpitali oraz ulic. Co ciekawe, już wówczas zbudowano nadwiślańskie bulwary w celach rekreacyjnych, gdzie stanął pomnik warszawskiej Syrenki. Rozpoczęto również przygotowania do budowy metra, które miało się składać aż z siedmiu linii. W celu redukcji kosztów i bezrobocia uruchomiono projekt robót publicznych. Warto podkreślić, że powyższe, pobieżne zestawienie dotyczy zaledwie pięcioletniego okresu rządów Starzyńskiego w Warszawie, brutalnie przerwanego przez katastrofę II wojny światowej. Prezydent jeszcze w przededniu napaści rozpoczął przygotowywanie miasta do walki i zbiórkę funduszy na zakup uzbrojenia. W trakcie heroicznej obrony stolicy stał się jej głosem i symbolem. To wówczas w jednym ze swoich przemówień powiedział: „Chciałem, by Warszawa była wielka. Wierzyłem, że wielka będzie. Ja i moi współpracownicy kreśliliśmy plany wielkiej Warszawy przyszłości. I Warszawa jest wielka. [...] nie za sto lat, lecz dziś Warszawa broniąca honoru Polski jest u szczytu swej wielkości i sławy!". Starzyński pozostał w swoim mieście do końca. Niemcy aresztowali go 27 października 1939 r. Choć Służba Zwycięstwu Polski podjęła przygotowania do jego uwolnienia, prezydent z obawy o możliwy odwet na ludności cywilnej ze strony okupanta odmówił udziału w ucieczce. Stefan Starzyński został stracony najprawdopodobniej w grudniu 1939 r. Miejsce jego pochówku do dziś jest nieznane.

30 VIII 1944

Powstańcy z Batalionu „Czata 49" rozpoczęli realizację specjalnej misji bojowej. W jej ramach mieli dokonać desantu kanałowego na niemieckie tyły i ściągając na siebie uwagę wroga, odciążyć główne uderzenie realizowane przez żołnierzy Starówki.

Po południu w sztabie mieszczącym się w kościele św. Jacka na Starym Mieście odbyła się odprawa. Szczegóły ryzykownego planu przedstawił ppłk Jan Lamers „Florian" w obecności dowódcy Grupy Północ, płk. Karola Ziemskiego „Wachnowskiego". Wspomniany desant kanałowy miał być częścią wielkiej operacji, mającej na celu przebicie się ze zniszczonej Starówki i wyprowadzenie z jej ruin powstańców, rannych i umęczonej ludności cywilnej do znajdującego się w dużo lepszym położeniu Śródmieścia. Ok. godz. 20 na pl. Krasińskich ponad setka uzbrojonych i obciążonych amunicją powstańców z Baonu „Czata 49" rozpoczęła mozolne schodzenie do kanału. Jeden z nich por. Zygmunt Jędrzejewski „Jędras" w wydanej po wojnie książce „Od września do września" wspominał: „Wszedłem pierwszy raz w życiu do kanału. Z miejsca uderzył mnie paskudny smród. W błyskach latarek zobaczyłem dość dużą komorę pod włazami. Zaskoczyła mnie jej znaczna głębokość". Aby nie pogubić się w ciemnościach, wszyscy powstańcy trzymali się liny. Dodatkowo w trakcie, jak się okazało, bardzo powolnej i męczącej wędrówki w gęstych ściekach, w niektórych miejscach musieli przez długi czas iść w pozycji pochylonej, uważając jednocześnie, by nie zamoczyć uzbrojenia. W konsekwencji kolumna do celu dotarła z godzinnym opóźnieniem. Niestety od tego momentu wszystko już miało się toczyć niezgodnie z planem. Wbrew posiadanym informacjom z kanału na powierzchnię prowadziły nie trzy włazy, ale zaledwie jeden. Pierwsi wychodzący z przerażeniem odkryli, że na znajdującym się na górze pl. Bankowym, który miał być pusty, wszędzie śpią niemieccy żołnierze. Mimo to podjęto próbę wyjścia na zewnątrz. Wśród pierwszych, którzy zajęli pozycje na powierzchni, była m.in. drużyna por. Jana Byczkowskiego „Cedry". Z kolei znajdujący się jeszcze na dole por. „Jędras" zapamiętał te dramatyczne wydarzenia w następujący sposób: „Nagle usłyszałem odgłos strzału na górze. Zaraz potem rozpętała się na placu gwałtowna strzelanina. [...] Odtrąciłem prących ku drabince i gdy wychyliłem się z włazu, podmuch wybuchu zrzucił mnie na dół. Nim zastanowiliśmy się, co robić, do włazu wszedł ciężko ranny od »Cedry« i krzyknął: »Cedro« zabity. Wielu zabitych i rannych. Niemcy ostrzeliwują właz". Skrajnie niekorzystna sytuacja zmusiła powstańców do przerwania desantu i wycofania się. Nie tylko nie zdołali wykonać zadania i ponieśli straty, ale również znaleźli się w pułapce pod niemieckimi pozycjami. Wszyscy się obawiali, że Niemcy wrzucą do kanału granaty lub wleją benzynę i podpalą ścieki. Dodatkowo tempo tego przerażającego odwrotu było spowolnione przez zmęczenie oraz transportowanie rannych. Ostatecznie skrajnie wyczerpana grupa desantowa zdołała bezpiecznie dotrzeć do Śródmieścia. Jej żołnierze wyszli na powierzchnię po blisko 20 godzinach kanałowej tułaczki.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA, NAC (2X), MPW

eprasa.pl 77c6269fd8

PRZENIESIENIE KARDYNAŁA JERZEGO RADZIWIŁŁA DO DIECEZJI KRAKOWSKIEJ

10 sierpnia 1591 r.

JACEK KROCHMAL

Burzliwe były pierwsze lata panowania króla Zygmunta III próbującego pogodzić utrzymanie dziedzicznego tronu protestanckiej Szwecji z rządami w Rzeczypospolitej, w której elekcyjny król był władcą katolickim. Jego marzenia o koronie szwedzkiej były tak silne, że skłoniły go do myśli o porzuceniu korony polskiej na rzecz arcyksięcia Ernesta Habsburga.

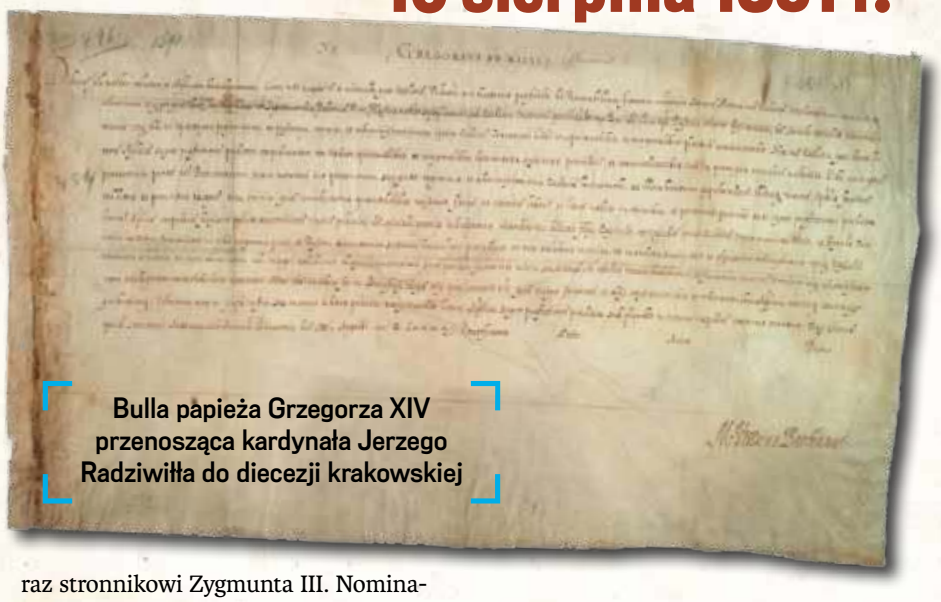

Bulla papieża Grzegorza XIV przenosząca kardynała Jerzego Radziwiłła do diecezji krakowskiej

Rokowania te utrzymywano w tajemnicy, a ich ujawnienie doprowadziło do konfliktu z kanclerzem wielkim koronnym i zarazem hetmanem Janem Zamoyskim. Kanclerz storpedował te plany, jednak ze starcia z królem nie wyszedł zwycięsko. Na nowego monarchę Zamoyski chciał przeforsować kandydaturę Andrzeja Batorego (1563–1599), bratanka zmarłego króla Stefana. Z zamierzeń tych nic nie wyszło, ale spór króla z kanclerzem niespodziewanie wpłynął na obsadę biskupstwa krakowskiego. Od 5 kwietnia 1591 r. pozostawało ono opróżnione po śmierci sędziwego Piotra Myszkowskiego. Już wcześniej postanowiono, że jego następcą zostanie kandydat kanclerza, biskup warmiński, kardynał Andrzej Batory, który 26 lutego 1590 r. otrzymał od Zygmunta III nominację na koadiutora krakowskiego z prawem następstwa po śmierci biskupa ordynariusza. Ustalenia te stały się jednak nieaktualne w związku z konsekwencjami zatargu Zamoyskiego z królem, który postanowił osłabić pozycję kanclerza i uniemożliwić jego protegowanemu objęcie prestiżowego i bogatego biskupstwa krakowskiego. Król anulował więc nominację Batorego i nadał ją biskupowi wileńskiemu, kard. Jerzemu Radziwiłłowi (1556–1600), niedawnemu zwolennikowi elekcji Habsburga, a teraz stronnikowi Zygmunta III. Nominacja ta była nagrodą za polityczną woltę Radziwiłła, ale miała też precedensowe znaczenie w stosunkach Korony i Litwy, naruszając zasadę zakazującą nadawania Litwinom biskupstw w Koronie (obowiązującą też koroniarzy w Wielkim Księstwie). Decyzję królewską wkrótce usankcjonował papież Grzegorz XIV, wydając 10 sierpnia 1591 r. bullę translacyjną przenoszącą kard. Radziwiłła z diecezji wileńskiej do krakowskiej. Sprawa obsady biskupstwa krakowskiego stała się elementem rozgrywki dyplomatycznej między Rzeczpospolitą a cesarstwem i Szwecją. Jej ofiarą padł Andrzej Batory, który skrzywdzony w awansie upatrywał wroga w Jerzym Radziwille. Spór między kardynałami załagodził nuncjusz Germanik Malaspina, a wkrótce Batory powrócił do łask królewskich, otrzymując dochodowe opactwo w Czerwińsku.

Zwraca uwagę młody wiek obydwu purpuratów, którzy godności kościelne i kapelusze kardynalskie pozyskali we wczesnej młodości. Ich awanse naruszały reguły trydenckiej reformy Kościoła. Najwyraźniej jednak udzielający im dyspensy papieże wyżej cenili zdobycie poparcia młodych magnatów do walki z reformacją. Sam Batory długo zwlekał z przyjęciem święceń kapłańskich – nawet po uzyskaniu godności kardynalskiej, ciągle licząc na objęcie władzy w Siedmiogrodzie, Radziwiłł był zaś cennym nabytkiem Kościoła, katolickim konwertytą, który porzucił kalwinizm silnie zakorzeniony w jego rodzie.

Jerzy Radziwiłł był synem Mikołaja Czarnego i Elżbiety z Szydłowieckich. Został wychowany i wykształcony przez nauczycieli kalwińskich w Wilnie i Nieświeżu. Osierocony w młodości dorastał pod opieką starszego brata, Mikołaja Krzysztofa Sierotki, oraz jezuitów pragnących doprowadzić młodych Radziwiłłów do konwersji na katolicyzm. Dokonała się ona 11 kwietnia 1574 r., gdy bracia złożyli katolickie wyznanie wiary. Ten kontrreformacyjny sukces, połączony z potężną pozycją rodu Radziwiłłów, otworzył przed Jerzym drogę do błyskawicznej kariery kościelnej. Już 17 grudnia 1574 r. uzyskał zgodę na objęcie koadiutorii wileńskiej z prawem następstwa po śmierci

eprasa.pl 77c6269fd8

bp. Waleriana Protasewicza. Papieskie brewe było połączone z dyspensą dla Radziwiłła, który biskupem koadiutorem został w wieku zaledwie 18 lat, a dodatkowo do niedawna był jeszcze wyznawcą kalwinizmu. Jednocześnie Grzegorz XIII nakazał młodzieńcowi uzupełnienie studiów w zakresie filozofii i teologii katolickiej. Jerzy Radziwiłł odbył je w rzymskim Collegium Romanum, gdzie zawarł wiele znajomości i przyjaźni. Dalszą karierę poświęcił służbie państwu i Kościołowi. W 1581 r. objął diecezję wileńską, w następnym roku został królewskim namiestnikiem w Inflantach, w 1583 r. uzyskał nominację kardynalską, a od 1591 r. był biskupem krakowskim. Jako legat papieski w 1592 r. błogosławił zaślubinom króla Zygmunta III z Anną Habsburżanką. Był świetnym administratorem zarówno jako gubernator Inflant, jak i biskup wprowadzający reformę trydencką w obu podległych sobie diecezjach. Cieniem na jego rządach kładzie się działalność kontrreformacyjna powodująca liczne konflikty z protestantami. U schyłku 1599 r. kard. Radziwiłł wyruszył do Rzymu, by wziąć udział w obchodach Jubileuszowego Roku 1600. W drodze do Wiecznego Miasta zachorował. Zmarł w Rzymie 23 stycznia 1600 r. Został pochowany w jezuickim kościele Il Gesu, gdzie nabożeństwo żałobne celebrował jego wieloletni przyjaciel – kard. Robert Bellarmin.

FOT. KAROL ZGLIŃSKI

Wydarzyło się w sierpniu

18 sierpnia 1291 r.
Książę polski Przemysł II ponawia zwolnienie od powinności poddanych klasztoru cystersów w Lądzie

15 sierpnia 1584 r.
Henryk, król francuski i polski, poleca swemu skarbnikowi dokonanie wypłaty pieniędzy

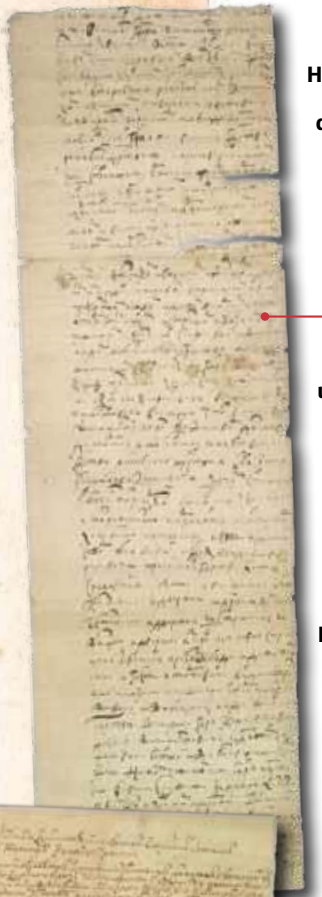

27 sierpnia 1610 r.
Relacja z przebiegu soboru moskiewskiego, na którym uchwalono wybór królewicza Władysława Wazy na cara

5 sierpnia 1684 r.
Bulla papieża Innocentego XI zapraszająca carów Iwana i Piotra do antytureckiego sojuszu z cesarzem Leopoldem, królem Janem III i dożą weneckim

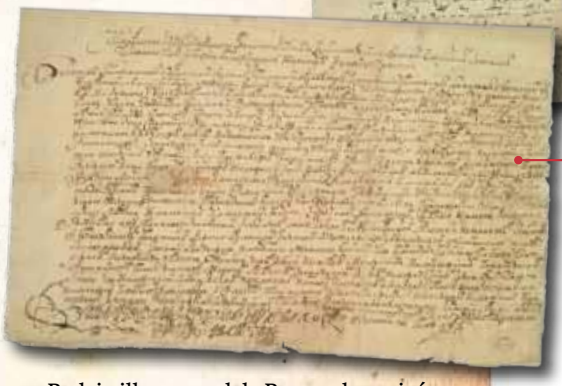

18 sierpnia 1704 r.
Uniwersał hetmana wojsk zaporoskich Iwana Mazepy zabraniający Kozakom grabieży dóbr księcia Janusza Korybuta Wiśniowieckiego

20 sierpnia 1776 r.
Cesarzowa Maria Teresa zatwierdza układ o zmianach granicznych między Galicją a Rzecząpospolitą

eprasa.pl 77c6269fd8

OGARY POSZŁY W LAS...

POLOWANIA STANOWIŁY NIEODŁĄCZNĄ CZĘŚĆ KULTURY SZLACHECKIEJ, KULTURY RZECZYPOSPOLITEJ

BARTŁOMIEJ GRUDNIK

Polowania, które dzisiaj stały się tematem przepychanek politycznych, są bardzo głęboko zakorzenione w polskiej tradycji narodowej. I choć obecnie tylko garstka z nas poluje, to myślistwo stanowi składową część naszego mitu narodowego. Nie bez kozery Adam Mickiewicz w „Panu Tadeuszu" opisał łowy jako element życia codziennego dworu w Soplicowie, a Stefan Żeromski rozpoczął swoją powieść „Popioły" od słów: „Ogary poszły w las".

Jędrzej Kitowicz w „Opisie obyczajów za panowania Augusta III", odnotował: „Mężczyźni najwięcej bawili się polowaniem, które wszędzie każdemu po cudzych kniejach tak wolne było jak po swoich własnych; i nikt nie mógł zabraniać polowania sąsiadowi, a choćby i zza dziesiątej granicy przybylcowi, plądrującemu po swoich kniejach i polach. [...] Po odbytym myślistwie w wieczorne chwile bawili się Polacy rozmowami o szczęściu polowania, kuflem i kartami albo też warcabami lub kościami".

W literaturze

Myślistwo nieodłącznie wiąże się z balladą, opowieścią, anegdotą. Wielu pisarzy w swej twórczość poruszało temat polowań. Michał Kryspin Pawlikowski, sam pisarz, dziennikarz i myśliwy, uważał, że „Trzeba by księgę napisać, aby wyliczyć wszystkie pola aktywności łowieckiej poza polowaniem. Tu wymienię jako przykład jedynie trzy dziedziny: literaturę piękną i naukową, malarstwo i słownictwo".

Ja wymienię dwu pisarzy, którzy opisywali przypadki z „życia wzięte". Wśród nich Henryk Ciecierski, podlaski szlachcic, pośród wielu barwnych opowieści o podlaskich i nie tylko, oryginałach wspominał postać leśnika „rześkiego staruszka" – Pietrka, który towarzyszył autorowi „Pamiętników" podczas jednego z polowań. Pietrek był szlachcicem, powstańcem styczniowym, który po wygaśnięciu irredenty samotnie, kryjąc się po lasach, dalej prowadził wojnę z Moskalami. A strzelał dobrze i oszczędnie, również jako myśliwy. Jak opisuje Ciecierski „[...] strzelając do kozłów, a kuli nie chcąc tracić, taki zawsze wybierał moment, w którym kozioł koło drzewa stał lub przechodził. Kozła zabiwszy, kulę z pnia wydłubywał, młotkiem deformację poprawiał i znowu pakował do lufy".

Nieco innej natury wspomnienia przynosi autobiograficzna powieść bardzo znanego przedwojennego podróżnika i pisarza, Ferdynanda Ossendowskiego „Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów". Autor opisuje swoją ucieczkę z opanowanej przez rewolucję Rosji do Polski. Przed bolszewickimi siepaczami ukrywał się m.in. w syberyjskiej tajdze, gdzie musiał przeżyć srogą zimę. Mając karabin i 300 naboi, polował, żeby przeżyć. Ale czasami polował, żeby nie zginąć. Na przednówku jego lokum zaatakował niedźwiedź. Trafiony trzema kulami padł: „Mój sąsiad ważył jakieś dwieście–dwieście pięćdziesiąt

FOT. NAC

eprasa.pl 77c6269fd8

funtów i był bardzo... smaczny. Żywiąc się jego mięsem, dożyłem do czasu, kiedy ziemia wyschła, rzeki stały się możliwe do przebycia [...]".

Groźby upaństwowienia

Ossendowski powracający do Polski okrężną drogą przez pół Azji zapewne nie myślał o problemach, z jakimi zmagały się władze młodego państwa. Tymczasem w Polsce rozpoczęto reformy, których celem była modernizacja i scalenie trzech różnych, pod wieloma względami, dzielnic. Jednym z ważnych problemów była struktura posiadanej ziemi, w tym obszarów leśnych. W uchwale sejmowej z 10 lipca 1919 r. pojawiła się zapowiedź reformy rolnej, której częścią miała być również nacjonalizacja lasów: „Wszystkie lasy [...] z wyjątkiem lasów gminnych i drobnych przestrzeni prywatnych, nienadających się do gospodarki państwowej – przechodzą na własność państwa [...]".

Blady strach padł na niektórych. „Bezpośrednio wskutek działań wojennych ucierpiało łowiectwo w równym stopniu w byłym zaborze rosyjskim i austrjackim; najmniej zaś w pruskim. Ale nie obejdzie się na tem. Kres ostateczny położy niewątpliwie reforma rolna, o ile wczas cudowna jakaś okoliczność nie usunie grożącego niebezpieczeństwa, przejmującego czarnemi myślami niejednego miłośnika fauny leśnej" – straszył niejaki pan Szyba z Wielkopolski w referacie poświęconym reformie właśnie.

Na szczęście dla pana Szyby i innych zaniepokojonych z powodu braku porozumienia w Sejmie (skąd my to znamy) do realizacji uchwały nigdy nie doszło. Również kolejna próba reformy rolnej, podjęta w ferworze walki z bolszewicką nawałą w lipcu 1920 r., spaliła na panewce. Na przeszkodzie stanęła konstytucja marcowa, która skutecznie zabezpieczała nienaruszalność własności prywatnej.

Pomimo braku reformy państwo polskie stało się posiadaczem znacznej liczby gruntów, w tym lasów, które zostały przejęte z rąk władz państw zaborczych. Aby wspomóc słabą gospodarkę młodego państwa, w 1924 r. powołano do życia przedsiębiorstwo Polskie Lasy Państwowe, którego zadaniem było „prowadzenie gospodarki w lasach państwowych". Zyski z wycinki drzew i sprzedaży drewna (a Lasy Państwowe stały się zarządcą ogromnych połaci lasów; w 1934 r. LP zarządzały ponad 3,3 mln ha) trafiały do budżetu państwowego.

Pojawienie się państwa jako właściciela i gospodarza lasów budziło u współczesnych różne opinie. Jan Borowski na łamach wileńskiego „Gdzie to gdzie zagrały trąbki myśliwskie", wprost krytykował gospodarowanie przez państwo lasami, przedkładając własność prywatną. „Polując tej zimy na drapieżniki [...], miałem możność sprawdzić, jak beznadziejnie puste są nasze lasy rządowe. Gospodarki łowieckiej nie było tu wcale, kłusownictwo tu musi kwitnąć, skoro użytkowa zwierzyna: dzik, sarna, rozmnożona i otoczona opieką w sąsiednich lasach prywatnych, starannie unika położonych w bezpośredniem sąsiedztwie lasów rządowych, nie czując się tam widocznie dostatecznie bezpieczną. [...] Lasy rządowe, zwłaszcza znajdujące się w tak korzystnych warunkach terenowych, jak Ilskie, winny stać się ostoją, rozsadnikiem zwierzyny, gdyby były należycie zagospodarowane pod względem łowieckim, bo stanowią przeważnie większe kompleksy, w zasadzie są otoczone opieką rządową i nie mają służebności, które stoją na przeszkodzie należytej rozmnoży zwierzyny w lasach prywatnych. A jednak wieje od nich beznadziejną pustką...".

W PRZEDWOJENNEJ POLSCE BYŁO GDZIE I NA CO POLOWAĆ. ZA DZIKIE ZWIERZĘTA ŁOWNE UZNANO ŻUBRY, WILKI, RYSIE, ŻBIKI, KOZICE I NIEDŹWIEDZIE

Prawo łowieckie

Kolejną zmianę przyniosło ujednolicone prawo łowieckie w 1927 r., które zachowywało świętą zasadę, że „[...] polowanie jest związane z własnością gruntu i należy do właściciela gruntu". Prawo dawało właścicielom gruntów o powierzchni ciągłej nie mniejszej niż 100 ha możliwość utworzenia własnego obwodu łowieckiego. W związku z tym również na terenach Lasów Państwowych powstały obwody łowieckie.

Na marginesie trzeba przyznać, że w przedwojennej Polsce było gdzie i na co polować. Za dzikie zwierzęta łowne uznano żubry, wilki, rysie, żbiki, kozice i niedźwiedzie. Niewątpliwie wpływ na to miało bogactwo borów wschodnich Karpat czy puszcz: Rudnickiej, Naliboc-kiej, Białowieskiej oraz przepastnych rozlewisk Prypeci na Polesiu.

To, o czym dziś zapominamy, to fakt, że przed wojną nie istniał praktycznie system ochrony przyrody, jaki znamy obecnie, a pierwsze parki narodowe utworzono w Polsce dopiero w 1932 r. Dlatego mogą nas dziwić takie opinie jak te głoszone przez Michała Kryspina Pawlikowskiego w felietonie „Filozofia łowiectwa": „[...] właśnie myśliwy i nawet jedynie myśliwy jest powołany do roli opiekuna przyrody żywej. Łożę duże koszta na utrzymanie zwierzyńca i straży łowieckiej wcale nie dlatego, abym pałał jakąś sentymentalną miłością do zwierzyny. Kieruję się wyłącznie egoizmem: chcę mieć pod dostatkiem zwierzyny po to, aby do niej strzelać".

Jest w tym sposobie myślenia duża doza zdrowego rozsądku i logicznego myślenia. Myśliwy dba o zwierzynę i zapewnia jej rozwój poprzez właściwą ochronę, bo po prostu chce mieć do czego strzelać.

Działalność wychowawcza

Ale łowiectwo, oprócz funkcji – jak to dziś byśmy powiedzieli – ekologicznych, pełniło ważną funkcję społeczną. Było elementem w procesie wychowywania młodego człowieka. Polowanie należało do czynności, których każdy młody mężczyzna winien się nauczyć. Umiejętność polowania była oznaką dojrzałości, wejścia w wiek męski. »

eprasa.pl 77c6269fd8

FOT. NAC-2

» Pawlikowski opisywał pierwsze doświadczenia myśliwskie tytułowego bohatera, swojej na poły autobiograficznej powieści „Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego", który rozpoczął łowy od strzelania do dzięciołów i sójek. „Pani Irteńska patrzyła łaskawie na te »polowania«; cieszyła się, że syn jest w ciągłym ruchu i że po niedawnej chorobie nabrał sił i rumieńców. Polowania z Pawłem były – pomimo ponurego aspektu mordowania niewinnych ptaszków – znakomitą szkołą zżycia się z przyrodą i nie byle jaką gimnastyką".

Ciekawą opinię na temat młodych myśliwych miał kilkadziesiąt lat wcześniej autor wydanej w 1865 r. (!) książki „Myślistwo w Polsce i Litwie" Walerian Kurowski. Pisał z rozrzewnieniem o dawnych czasach, kiedy „[...] młodzieniec stawając do walki z niedźwiedziem, turem lub wilkiem, uczył się zręczności, męstwa i rozwijał siły. Dziś chodząc dzień cały za bekasami, rozwija zamiłowanie w próżniactwie, [...] a zamiast wzmacniać siły, traci je – oddychając wilgotnem powietrzem, brnąc w błota czasem po pas, i potem dla ogrzania niejeden kieliszek wódki wychylając".

Jak widać, zwyczaj pisania krytycznie o młodym pokoleniu przez osoby starsze był rozpowszechniony także w środowisku myśliwych.

Inną, ale ważną sprawą było, czy myśliwy był prawdziwym miłośnikiem przyrody, czy raczej zwykłym snobem i dorobkiewiczem. „Z pasją łowiecką, zwaną popularnie »żyłką myśliwską«, trzeba się urodzić. Myśliwym – prawdziwym myśliwym – jest nie ten, kto poluje ze snobizmu lub naśladownictwa, lub tym podobnych pobudek, lecz ten, kto w atawistycznym testamencie żyłkę myśliwską odziedziczył" (M.K. Pawlikowski).

Dziś wiemy, że piękna polska tradycja polowań została unicestwiona przez wybuch wojny światowej. Jednak kilka miesięcy przed wrześniem 1939 r. Walenty Garczyński zauważył niepokojące zjawisko zagrażające myślistwu: „[...] Wzrastająca liczba myśliwych, doskonałość techniczna broni myśliwskiej, łatwość i dostępność środków komunikacyjnych, sprawiły, że najzupełniej legalnie, w terminach dozwolonych, bez żadnych trudności można wyniszczyć bodaj doszczętnie zwierzostany w poszczególnych łowiskach".

Dzisiaj, kiedy ochrona środowiska naturalnego urosła do rangi gałęzi nauki i uczą się o niej już przedszkolaki, coraz częściej poluje się na zwierzynę nie za pomocą strzelb czy sztucerów, ale aparatu fotograficznego. Leopold Pac-Pomarnacki tak pisał o tym, dopiero raczkującym, zjawisku: „Mojem zdaniem, aparat może zastąpić strzelbę tylko w ręku łowców prawdziwie ideowych, którzy zdolni są do zupełnego oddania się sztuce fotografiki myśliwskiej i wyrzeczenia się na jej korzyść wszelkich innych emocyj, a po zatem osób, które polują z nudów, czy też dla mody, nie przywiązując do wzruszeń myśliwskich dużej wagi, jak też nemrodów miejskich, używających rozkoszy łowieckich, bawiąc u znajomych na wsi, jako goście. Ci panowie (do których nawiasem mówiąc i sam należę), nie posiadają własnych łowisk, polują, zaledwie parę dni w ciągu roku, więc ostatecznie mogliby poprzestać na trofeach fotograficznych. [...] Strzelba i aparat mogą pracować równolegle, lecz walczyć ze sobą nie powinny, gdyż w większości wypadków zwycięża zawsze strzelba".

ŁOWIECTWO PEŁNIŁO WAŻNĄ FUNKCJĘ SPOŁECZNĄ. BYŁO ELEMENTEM W PROCESIE WYCHOWYWANIA MŁODEGO CZŁOWIEKA. UMIEJĘTNOŚĆ POLOWANIA BYŁA OZNAKĄ DOJRZAŁOŚCI, WEJŚCIA W WIEK MĘSKI

eprasa.pl 77c6269fd8

CHOĆ OKREŚLANY MIANEM LETNISKA, KONSTANCIN OD POCZĄTKU BYŁ RACZEJ EKSKLUZYWNĄ SYPIALNIĄ WARSZAWSKICH BOGACZY I DYSPONOWAŁ INFRASTRUKTURĄ, O JAKIEJ POMARZYĆ MOGŁA NIEJEDNA STOŁECZNA ULICA. SZYBKO DOPROWADZONO TAM KABLE TELEFONICZNE. PANOWIE, KORZYSTAJĄCY Z KORTÓW TENISOWYCH I BOISK DO KRYKIETA, MUSIELI BOWIEM TRZYMAĆ RĘKĘ NA PULSIE SWOICH INTERESÓW

W 1900 r. podwarszawska kolej wąskotorowa dojeżdżała już do Konstancina, letniska założonego przez hr. Witolda Skórzewskiego na terenach dóbr oborskich

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

WĄSKOTORÓWKĄ DO LETNISKA DLA BOGACZY

PIOTR OTRĘBSKI

W 1912 r. w jednym z przewodników po Warszawie napisano, że z natury swojego położenia Warszawa, która rozsiadła się na szczerych piaskach mazowieckich, nie imponuje urodą swoich okolic. Sąd ten wydaje się dziś cokolwiek krzywdzący. Na obronę autorów należy jednak dodać, że poczynili oni wysiłki, by te warszawskie okolice – zaczynające się właściwie za rogatkami miasta – przedstawić możliwie szeroko. Czytelnika zostawiono z nadzieją, pisząc, że tereny te „ostatnio podnoszą się, zyskują wygląd jakiś bardziej europejski". Wszystko miało być zasługą kolejek podjazdowych, czyli popularnych wąskotorówek. Na inwestycjach kolejowych zbijano w XIX w. fortuny. Wiadomo, „żelazne drogi" to siła napędowa rozwoju, o czym przekonała się najlepiej sama Warszawa, zyskując przeszło pół wieku wcześniej relację kolejową z Europą i z głębią Imperium Rosyjskiego, stając się dzięki temu pomostem między Wschodem a Zachodem. Zaczęto więc inwestować w podjazdówki. W 1892 r. spółka Wiktora Magnusa i Henryka Hussa uruchomiła konną kolejkę wilanowską. Dwa lata później kolej była napędzana mocą pierwszych parowozów. W 1900 r. dojeżdżała już do Konstancina, młodziutkiego letniska założonego przez hrabiego Witolda Skórzewskiego na terenach wydzielonych z dóbr oborskich. Tory układali carscy saperzy w ramach ćwiczeń – tak poważny interes nie mógł przecież wypalić bez dobrego ustosunkowania inwestorów w tzw. kręgach.

Rzeczony przewodnik po Warszawie wspominał, że wycieczka zamiejska kolejką podjazdową wiązała się z wydatkami, niewygodami i stratą czasu (sic!). Na znaczne niewygody nie mogli jednak narzekać pasażerowie wyższych klas. Czekały na nich wagony-meble, z elegancką stolarką i firanami w oknach. W 1912 r. bilet do Konstancina w najpopularniejszej klasie drugiej kosztował 55 kopiejek. Koszt wycieczki znacząco podnosiła jednak podróż powrotna. Na przejazd z Konstancina do Warszawy trzeba było wydać już 100 kopiejek. Od początku stosowano oczywiście zniżki. Dzieci do piątego roku życia jeździły bezpłatnie (o ile siedziały na kolanach dorosłych), mniej za przejazd płacili m.in. uczniowie w umundurowaniu szkolnym. »

eprasa.pl 77c6269fd8

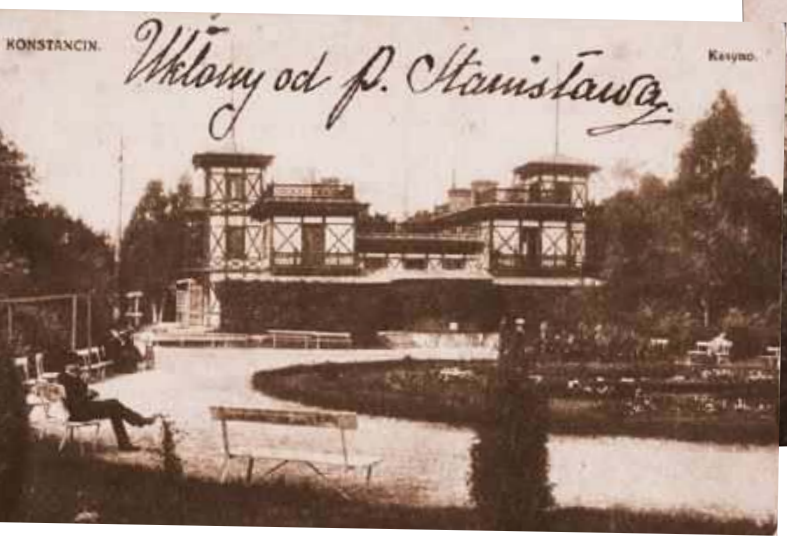

Jeszcze przed I wojną światową w Konstancinie zbudowano 100 luksusowych willi

Na trasie kolejki wilanowskiej

Swój bieg kolejka rozpoczynała na granicy miasta – przy rogatkach mokotowskich. Rondo Mokotowskie (obecny pl. Unii Lubelskiej) było urbanistycznym ewenementem. Mimo że znacząco oddalone od centrum miasta, zyskało w początku XX w. zabudowę prawdziwie wielkomiejską, jakiej mogły pozazdrościć bardziej wystawne rejony stolicy. Najwyższe w Warszawie kamienice mieszkalne nazywano niebotykami. Z ich tarasów umieszczonych na dachach rozciągała się panorama aż po pola wilanowskie i jeszcze hen. Tam właśnie – u stóp niebotycznych domów – stały liche budyneczki stacji kolejki wilanowskiej, w towarzystwie stacji kolejki grójeckiej vel piaseczyńskiej. Latem podjazdówka wilanowska odjeżdżała co godzinę, co świadczy o jej ogromnej popularności. Podróżnych ogarniały emocje już na zjeździe Belwederską. W drodze powrotnej na tej stromiźnie składy korzystały ze wspomagania specjalnego mechanizmu zębatego, który wciągał wagony na górę.

Pierwszym popularnym przystankiem w Mokotowie był park Promenada przeznaczony, jak wtedy uważano, dla mniej wybrednej publiczności. W pogodne niedziele i święta do Promenady – kolejką, a potem już tramwajem – zjeżdżały tysiące warszawiaków, czerpiąc radość z występów trup teatralnych, muzyków (muzykę odtwarzano także z gramofonów) i innych „hecarzy". Niewątpliwą atrakcją miejsca był duży staw, po którym można było popływać łodziami. Choć na brzegach nie brakowało wędkarzy, próżny zwykle był ich trud. Jak przekonywał „Przewodnik zoologiczny" z 1921 r., w tamtejszych wodach spotkać można było przede wszystkim pijawki i ślimaki. Skuteczne połowy utrudniały wieczne zabawy ludowe i mącenie wody przez wiosła. Znacznie bogatszy w faunę, a zarazem mniej uczęszczany był pobliski staw na tzw. gliniankach za Promenadą.

Dalej kolejka przejeżdżała przez Sielce, Czerniaków, Sadybę, Wilanów. Była rezydencja króla Jana III, a następnie rodów Czartoryskich, Lubomirskich, Potockich, Branickich przyciągała tłumy mieszkańców stolicy. Za Wilanowem w kolejce wilanowskiej bywało już nieco luźniej. Nieco, bo kierunek do Konstancina był zawsze bardzo modny. Ze względu na dużą częstotliwość kursowania kolejki wąskotorowej wielu wybierało się na całodniowe wycieczki, rekomendowane zresztą przez liczne – mniej i bardziej specjalistyczne – wydawnictwa. Po drodze do Konstancina mijało się Ursynów, Natolin, Powsin, Klarysew, potem słynącą z papierni Jeziornę. Do Konstancina kolejka docierała odgałęzieniem z rozjazdu oborskiego, a dalej nasypem i mostkiem nad rzeką Jeziorką. W 1899 r. przy zbiegu ulic Źródlanej i Wierzejewskiego wystawiono drewnianą stacyjkę. Monika Żeromska w swoich wspomnieniach pisała: „Parowozik z wysokim kominem wjeżdżał, ciągnąc wagony i bezustannie gwiżdżąc, manewrował, aby się przyczepić z przeciwnej strony, bo Konstancin był ostatnią stacją. Pan zawiadowca także gwizdał [...]. Cały przewiewny budynek opleciony był bardzo starym, pachnącym winem, tak że wchodziło się tam do zielonej, cienistej altany. Dookoła rosły kasztany, które jesienią także były jeszcze jedną atrakcją tego miejsca". Dziś teren ten zajmuje park Zdrojowy im. Hrabiego Skórzewskiego ze słynnymi tężniami solankowymi. Dawniej w Konstancinie na letników czekały dwa parki, restauracja z hotelem, czyli słynne kasyno, ponadto korty tenisowe, boiska do gry w krykieta, a nawet plaża. Tężnie uruchomiono w innej epoce – dopiero w latach 60. XX w.

Letnisko o podwyższonym standardzie

W 1900 r. „Kurier Warszawski" ogłaszał: „Konstancin nowe letnisko pod Warszawą". W anonsie zapewniano: „Konstancin jest miejscowością malowniczą, bardzo zdrową i nader wygodnie urzą-

Konstancin stał się nie tylko letnią rezydencją dla bogaczy, lecz wielopokoleniowym domem rodzinnym

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA (3X)

eprasa.pl 77c6269fd8

dzoną. Posiada rozległe lasy, rzekę, dwa obszerne parki, doskonałe szosy i chodniki tudzież". Już wtedy Konstancin wyposażony był w kanalizację, wodociągi i światło elektryczne. Wkrótce doprowadzono też linie telefoniczne! Główny park był bardzo starannie utrzymany, zadrzewiony ozdobnymi krzewami, przeważnie sprowadzanymi z odległych stron obcych ziem. Pisano, że „na błotku przy restauracji gnieździ się zaskroniec". W restauracji z pewnością można było skosztować raków, których pełno było przy Jeziorce. Z rzeki wyławiano jazgarze, okonie, szczupaki i karpie. Letnisko prowadzone było przez Towarzystwo Ulepszonych Miejscowości Letniczych. W biurze zarządu, przy jednej z najbardziej prestiżowych ulic Warszawy – Włodzimierskiej (obecnie Czackiego) można było zasięgnąć informacji o placach i gotowych rezydencjach konstancińskich na sprzedaż.

Jeszcze przed I wojną światową w Konstancinie zbudowano 100 willi. Z uwagi na podwyższony standard letniska urządzali się tu bogaci przemysłowcy, prawnicy, lekarze. W późniejszym okresie także dziennikarze, artyści. Projekty dla Konstancina przedkładali wybitni architekci epoki z Józefem Piusem Dziekońskim, Władysławem Marconim i Marianem Lalewiczem na czele. Do tego pocztu w kolejnych latach dołączali m.in. Lucjan Korngold, Bohdan Pniewski, Czesław Przybylski czy małżeństwo Syrkusów. Wśród możnych rodów konstancińskich można wymienić browarników Machlejdów (willa „Julia") i Schielów (willa „Ustronie"), Fajansów (willa „Brzozy") kojarzonych z żeglugą parową po Wiśle, Krausharów (willa „Słoneczna"), którzy wydali znakomitego varsavianistę Aleksandra Kraushara. W „Julii" mieszała się krew Machlejdów, ogrodników Ulrichów, Hersów prowadzących słynny dom mody przy Marszałkowskiej w Warszawie. Panowały tam nienaganne maniery. Wśród gości nie brakowało ludzi kultury i sztuki – jak wydawcy Gebethnerowie i malarze Stykowie. W swoich wspomnieniach Krystyna Machlejd (z domu Ulrich), sięgając do 1906 r., pisała: „Willa »Julia« była już gotowa do zamieszkania, a rok przedtem pamiętam, jak na wiosnę kopano ziemię pod fundamenty, jak robota szybko postępowała i jak sam teść wszystkiego doglądał. Te same prace były i na sąsiednim placu państwa Albertów Kimplów". W 1906 r. ostatnim etapem szykowania okazałego domu było zawieszenie złotych liter na szczycie frontu. Każda konstancińska willa musiała bowiem mieć swoje imię. Obok domu wzniesiono stajnię na dwa konie oraz powozownię. Latem przy „Julii" mieszkał także stary stangret znany Machlejdom jeszcze z ul. Chłodnej na Woli. Nestor rodu Karol Machlejd zmarł w tym samym 1906 r. Ciało wyprowadzono do podstawionego wagonu towarowego odpowiednio ozdobionego i powieziono do Warszawy, gdzie nieboszczyk spoczął na cmentarzu ewangelicko-augsburskim.

Konstancin był już zatem nie tylko letniskiem, nie tylko rezydencją na ciepłe miesiące dla bogaczy. Stał się przystanią i wielopokoleniowym domem rodzinnym. Znaczna część rodów konstancińskich była – jak Machlejdowie – wyznania ewangelickiego, co nie rodziło jednak konfliktów – przeciwnie, duch ekumenizmu zawsze w Konstancinie lekko osiadał, a na wyposażenie kościoła katolickiego składali się wszyscy. Wspominając 1911 r., Krystyna Machlejd notowała: „Spędziliśmy letnie miesiące w »Julii« w Konstancinie. Sezon był wtedy gwarny i urozmaicony. W pensjonacie »Leliwa« było pełno znajomych". Można stwierdzić, że Konstancin tego okresu żył jak jedna wielka rodzina.

W dwudziestoleciu międzywojennym do warszawskich bogaczy dołączali zasłużeni na niwie kultury. W 1920 r. willę w Konstancinie nabył Stefan Żeromski. „Świt" pisarz kupił od malarza Zdzisława Jasińskiego. W domu do 2001 r. mieszkała córka autora „Przedwiośnia" Monika. Obecnie znajduje się tam muzeum Stefana Żeromskiego. W Konstancinie bywali na dłużej m.in. Władysław Tatarkiewicz i Stanisław Szober, a Wacław Gąsiorowski został nawet miejscowym sołtysem.

Koniec epoki

Kolejka wilanowska po wojnie została skrócona, po czym w 1971 r. zlikwidowana. Pamiątkami po najstarszej warszawskiej wąskotorówce są budynki stacyjne w Wilanowie i Klarysewie. Na Sadybie ustawiono pomnik kolejki wilanowskiej – rzeźbę lokomotywy zwanej „samowarkiem". W okresie Polski Ludowej Konstancin utracił swój dawny charakter i urok. Bogate wille zostały zasiedlone – nieprzypadkowo – ludnością o zupełnie innej proweniencji. Dawni właściciele musieli się wynieść albo godzić na dzielenie dobytku z nowymi mieszkańcami, którzy nierzadko doprowadzali pyszne wille do ruiny. Mimo to Konstancin pozostawał ulubionym miejscem notabli. Tu premier Józef Cyrankiewicz przyjeżdżał na kurczaka z nadzieniem do znanej restauracji Berentowicza i na ciastka do cukierni Buchmana.

FOT. ARCHIWUM AUTORA

W PRL bogate wille zostały zasiedlone przez nowych mieszkańców, którzy nierzadko doprowadzali pyszne domy do ruiny

W Konstancinie willę otrzymał Władysław Gomułka. Dziś tradycyjne i zasłużone rodziny konstancińskie mieszają się z nowobogackimi potentatami (nierzadko o partyjnym rodowodzie) wyhodowanymi na piersi III RP. Nazwisko już nie jest przypisane do willi. Półcień i półanonimowość ceni sobie współczesny Konstancin ponad wszystko. Coś jednak zostało – miejsce to przyciąga jak magnes nie tylko na życie, lecz choćby na dzień. Jedną z najbogatszych gmin stać na to, żeby w dobie unijnych funduszy pięknieć z roku na rok.

eprasa.pl 77c6269fd8

Uliczna atrakcja à la PRL: lodziarnia w Warszawie, lata 60. XX w.

FOT. NAC

SPUMONI

WALDEMAR ŻYSZKIEWICZ

ZAPAMIĘTANĄ Z CHŁOPIĘCYCH LAT OPOWIEŚĆ O DZIWNYCH LODACH UDAŁO MI SIĘ ZWERYFIKOWAĆ DOPIERO PO PÓŁWIECZU

Nowa powojenna rzeczywistość objawiła się memu ojcu w postaci smutnego pana, który zaszedł pewnego dnia do sklepu Janina z artykułami kolonialnymi w Rzeszowie. Smutny pan, ani chybi jakiś późny wysłannik od Hilarego Minca, musiał najpierw pokonać dwa, może nawet trzy schodki. Zrobił to, rozejrzał się też po sklepie i rozpatrzywszy się po niewielkim pomieszczeniu, poradził ojcu jak najszybszą likwidację interesu.

(Rzeszów) Prywatny handel na cenzurowanym

– Po co panu jakieś kłopoty, panie Żyszkiewicz. Przyjdę za dwa dni i lepiej, żeby już tu nikogo nie było. Dobrze panu radzę...

eprasa.pl 77c6269fd8

Ojciec rady posłuchał, bo wolał nie zwiedzać mniej reprezentacyjnych pomieszczeń rzeszowskiego zamku Lubomirskich. Miałem pewnie ze cztery lata, gdy zielono-czerwona lada sklepowa znalazła się w kuchni mieszkania przy Trzeciego Maja 20, gdzie zamieszkali rodzice po przyjeździe ze Lwowa. Ambicje prowadzenia eleganckiego składu z towarami kolonialnymi, całkiem zrozumiałe u absolwenta lwowskiej handlówki, potwierdzone też kilkuletnią praktyką w znanej firmie Edmunda Riedla, ustąpiły pod naporem przemożnych faktów. Nie był to jedyny w tamtych czasach przypadek nagłej i radykalnej zmiany zajęcia... Przypadek? Pewnie raczej ktoś znajomy sprawił, że ojciec podjął pracę zaopatrzeniowca w znacznie lepiej niż prywatny handel postrzeganym budownictwie. Od kiedy pamiętam, istotną część pracy ojca stanowiły tzw. delegacje, czyli wyjazdy w poszukiwaniu kolejnej porcji niezbędnych firmie budowlanej materiałów.

(Warszawa) Tajemnicze lody w delegacji

Jedną z tych delegacji, gdzieś pod koniec lat 50., zapamiętałem szczególnie dobrze, bo ojciec jechał do Warszawy na dwa albo trzy dni i wziął ze sobą mamę. Właśnie pojawiło się wtedy w sprzedaży purée z grochu, znakomicie ułatwiające przyrządzenie grochówki. Pod okiem mamy poćwiczyłem gotowanie tej zupy z dodatkiem białej kiełbasy, więc byłem już przygotowany, żeby na czas nieobecności rodziców przejąć pieczę nad młodszą sześć lat siostrą. Co zresztą solennie przed wyjazdem im przyrzekłem.

Tamten pobyt w Warszawie bardzo się rodzicom udał. Wrócili rozradowani, pełni wrażeń, które pozwoliły wznieść się im ponad siermiężną codzienność, powrócić do czasów młodości. Tato widocznie zadbał o ciekawy program pobytu w stolicy, która mogła przecież zaoferować znacznie więcej niż mocno prowincjonalny wtedy Rzeszów, toteż i on, i mama jakby odżyli po tej eskapadzie, aż pojaśniały im twarze. Od ich pośpiesznego wyjazdu ze Lwowa, z obawy przed zbliżającą się armią sowiecką, minęło zaledwie półtorej dekady. Tak niewiele. I zarazem cała wieczność.

Wiele lat musiało upłynąć, żebym to sobie uświadomił, żebym potrafił zrozumieć ich radość. Żebym mógł lepiej pojąć jej powody. Nie pamiętam nawet, co nam wtedy przywieźli. Dla nas było ważne, że już wrócili. A rodzice odetchnęli z ulgą, że nic złego w domu się nie stało.

W pamięć zapadła mi jedynie opowieść mamy o dziwnych lodach, które jadła w Warszawie. Nie, nie szło wcale o cassate, które zresztą znałem z kilku pobytów w Krakowie. To było coś innego, coś, o czym nawet mamie, miłośniczce i znawczyni lodów jeszcze sprzed wojny, przychodziło mówić z trudem. Opowiadała nam, że miały niezwykły smak, a podczas jedzenia chrzęściły w zębach. Trochę przypominały jej chałwę. I nazywały się spumoni. Albo jakoś podobnie.

KRUSZĄC W ZĘBACH CHARAKTERYSTYCZNE KAWAŁECZKI LODU, WSPOMINAŁEM OPOWIEŚĆ MAMY SPRZED WIELU LAT O DZIWNYCH LODACH, KTÓRE JEJ, CHYBA ZA SPRAWĄ KRYSTALICZNEJ TEKSTURY, SKOJARZYŁY SIĘ Z CHAŁWĄ

(Terme di Levico) Herbatka u generała Romanese

Na długie lata lody spumoni zniknęły mi z horyzontu. Z początkiem października 1989 r. pojechaliśmy z Czesławem do północnych Włoch odwiedzić naszego dobrego kolegę z okresu studiów na Politechnice. Jurek, zdolny inżynier o temperamencie naukowca, wyjechał z Polski z początkiem lat 80. i jakoś się, po nieuchronnych przy emigracji perypetiach, umościł wreszcie zawodowo i rodzinnie w niewielkiej miejscowości Terme di Levico, w pobliżu Trydentu, u podnóża Dolomitów. Wraz z żoną i dwoma synami zajmował niewielkie mieszkanie (oczywiście niewielkie jak na warunki włoskie), więc dla uniknięcia obustronnej niewygody ulokował nas w letnim domku mieszkających po sąsiedzku generałostwa Romanese. Po kilku dniach spędzonych w Wenecji dotarliśmy do Terme di Levico w sobotni wieczór, więc po kolacji powitalnej i tradycyjnych rozmowach, które wszakże nie przeciągnęły się zanadto w noc, udaliśmy się na spoczynek. Pewną ciekawostkę może stanowić to, że generał Romanese, chcąc uniknąć represji, zaraz po wojnie przebywał wraz z żoną w Szwajcarii.

Oczywiście pod koniec lat 80., gdy korzystaliśmy z jego gościnności, to była już dość odległa przeszłość. Co nie zmienia tego, że w czasie herbatki, na którą zostaliśmy do generałostwa zaproszeni w niedzielne popołudnie, przypatrywaliśmy się sobie z nietajonym zaciekawieniem. Generał zapewne widział we mnie przybysza z komunistycznej Polski, z kolei ja w nim – dość wysoko umieszczonego niegdyś w hierarchii włoskiego faszystę. Okazał zaciekawienie, odpowiedziałem na kilka pytań, krótka wizyta przebiegła naprawdę sympatycznie.

(Terme di Levico) Spumoni? Naturalmente!

Jeszcze przed wizytą u generałostwa, zaraz po stosunkowo wczesnym śniadaniu, wybraliśmy się z Jurkiem, Beatą oraz ich chłopcami na niedzielny rodzinny spacer. Na trasie naszej przechadzki było raczej pusto. Ot, podgórska miejscowość u progu jesieni. Niezbyt gęsta zabudowa rozrzucona w pofałdowanym terenie, październikowe słońce, ostre kontrasty... Ulic, w naszym rozumieniu słowa, niewiele. Turystów jak na lekarstwo. Jednym słowem: nudy. Nic dziwnego, że synowie Jurka, z których młodszy nie chodził jeszcze do szkoły, zaczęli się domagać lodów. I postawili na swoim. W lodziarni, gdzie prócz nas nikogo nie było, zaczęło się wybieranie smaków. Chłopaki się rozdokazywały, Jurek ich trochę moderował, ale tylko trochę. Gdy przyszła kolej na mnie, w pamięci odemknęła mi się jakaś »

eprasa.pl 77c6269fd8

» klapka. – May I have spumoni? – zapytałem. – A, spumoni...! – ucieszył się właściciel, po czym mocno się rozgadał, oczywiście po włosku. – Owszem, znają i robią te lody, ale dziś ich niestety nie ma, niewielki ruch, to i wybór smaków jest ograniczony – wyjaśnił mi sprawę Jurek. Zdecydowałem się na pistacjowe. I jedząc te lody w niewielkiej miejscowości okręgu Trentino, trochę żałowałem, że okazja do skosztowania przysmaku, który przed 30 laty sprawił mamie prawdziwą radość, przeszła mi koło nosa. Ale odczułem też ulgę, że takie lody naprawdę istnieją, bo szczerze mówiąc, chwilami już przestawałem w to wierzyć... Jeszcze w tym samym miesiącu, pod koniec, zmarł w Rzeszowie nasz tato.

(Warszawa) Lody od Włocha

Siedem lat później przeniosłem się do Warszawy i dostałem angaż w „Tygodniku Solidarność". Związałem się z tą redakcją na kilkanaście lat, akurat tyle, żeby wypracować dziennikarskie pensum i osiągnąć stosowny wiek. Miałem fart, mnie zbójecka „ustawa 67" nie złapała, ale i tak ostatnie lata w zawodzie były już ciężkie. Z wielu względów. No bo ile razy można pisać, że pracodawcy robią, co chcą, że gwałcą nawet ten mocno poluzowany Kodeks pracy, a w sądzie i tak śmieją się swoim ofiarom w nos... Niestety w pierwszej dekadzie nowego stulecia kierownictwo „S" porzuciło myślenie w kategoriach politycznych, ogólnonarodowych. Deklarowano potrzebę skupienia się na sprawach ściśle związkowych. I co? Związek całkiem stracił impet, chudł w oczach, prawie przestał się liczyć. Paradoks? Raczej nie, bo istotą sierpniowego zrywu Polaków w 1980 r. było właśnie wyjście ze swojskich opłotków, porzucenie partykularnej perspektywy, podjęcie ewangelicznej dyrektywy: „jeden drugiego brzemiona noście...".

Zwykle pod koniec tygodnia, znużony godzinami spędzonymi przed pecetem, ruszałem na spacer po mieście. Żeby rozruszać nogi, zrzucić z siebie poczucie beznadziei. Najczęściej wybierałem tę zachowaną część Śródmieścia Południowego, fragment pięknej, przedwojennej Warszawy, z okazałymi kamienicami, studniami starych podwórek, kapliczkami, oficynami głęboko wchodzącymi w miąższość działek. W czasie jednej z takich wycieczek, idąc Hożą od placu Trzech Krzyży, już kawałek za skrzyżowaniem z Kruczą zobaczyłem charakterystyczny szyld i wystylizowany napis: „Lody od Włocha, 1934". Zaintrygowany nietypowym wystrojem wnętrza, a może za sprawą intuicji, wszedłem do środka. Rozejrzałem się. Szeroka oferta smaków, pistacjowe, cytrynowe, brzoskwiniowe, cassate... I spumoni. Nie byłbym sobą, gdybym ich nie spróbował.

Krusząc w zębach charakterystyczne kawałeczki lodu, wspominałem opowieść mamy sprzed wielu lat o dziwnych lodach, które jej, chyba za sprawą krystalicznej tekstury, skojarzyły się z chałwą. No tak, myślałem gorączkowo, wtedy, na przełomie lat 50. i 60., musieli być właśnie tutaj. Ładna część miasta, której udało się przetrwać zniszczenia wojenne oraz hekatombę powstania, całe pierzeje z efektownymi budynkami, z zachowaną przedwojenną siatką ulic, z pewnością przypominała im Lwów...

(Warszawa) Rok 2017

Sfotografowałem wnętrze, lody, szyld i wysłałem z krótką informacją do mieszkającej w Stanach siostry. Mama już od kilkunastu lat nie żyła... Od tamtej pory przynajmniej raz w sezonie zachodziłem do Włocha na lody. Zdarzyło mi się spróbować jakichś innych, ale zwykle zamawiałem spumoni.

W 97. rocznicę urodzin mamy poszliśmy tam oboje z żoną. Na Hożej rozglądałem się nieco skonfundowany, nie mogłem znaleźć lodziarni, coś mi się nie zgadzało. – Chyba pomyliłeś ulice – podtrzymywała mnie na duchu Małgosia. – Niczego nie pomyliłem, przecież antykwariat Kubickiego jest na swoim miejscu – oponowałem bez przekonania. – Zaraz, zaraz, przecież tutaj obok właśnie sprzedają lody... Weszliśmy do lokalu, który w niczym nie przypominał tamtej starej lodziarni. Z pozbawionych chropawej faktury ścian zniknęły barwne ślady słonecznego zaułka we włoskim miasteczku... O szczegóły dopytałem młodego długowłosego człowieka za ladą. Wyjaśnił, że prowadzą to miejsce dopiero od dwóch miesięcy. Włoch zrezygnował z detalicznej sprzedaży, przestawił się wyłącznie na produkcję lodów. Ma sporo zamówień, m.in. z jakiejś kawiarni nad Wisłą. Oczywiście dla nich, na Hożą, też robi lody, ale już bez masła, bez laktozy, wszystko na mleczku kokosowym. Cztery smaki do wyboru: czekoladowe, orzechowe, słony karmel...

– Nie, spumoni ani cassate już nie mamy – odrzekł na moje pytanie.

Wzięliśmy słony karmel. Niezły, ale raczej słodki niż słony. Na ulicy jeszcze się obróciłem. Stary szyld przesłonięty płytą paździerzową. Dobrze, że choć został jeszcze ten charakterystyczny napis na szybie. Ale 17 lat, do pełnej setki, z pewnością już nie wytrzyma.

Szyldu „Lody od Włocha, 1934" już tu nie ma. Ulica Hoża 27A w Warszawie, stan obecny

FOT. FRATRIA

eprasa.pl 77c6269fd8

Ciastka „baba au rhum" można wciąż kupić w cukierni przy ulicy Montorgueil w Paryżu

Brytyjska królowa Elżbieta II w trakcie wizyty we Francji

Babka króla Leszczyńskiego

JERZY DĄBROWSKI

W 1725 r. Stanisław Leszczyński został teściem francuskiego monarchy Ludwika XV. Jednak jego wkład w historię Francji nie ograniczył się do tego. Nasz król stał się bowiem współtwórcą kultowego ciastka. A było to tak...

Tuż przed ślubem córki Leszczyński przywiózł do swej posiadłości w Wissembourgu babkę drożdżową. Jego ulubiony cukiernik Nicolas Stohrer uznał, że po kilku dniach podróży babka zrobiła się czerstwa. Zanurzył ją więc w winie malaga, dodał do niej szafran oraz budyń. „Wyborne" – krzyknął Leszczyński i nadal nowemu ciastu nazwę swojego ulubionego bohatera z „Baśni tysiąca i jednej nocy", czyli Ali Baby. Prawdopodobnie nikt nigdy nie słyszałby więcej o babce Leszczyńskiego, gdyby nie ślubna ceremonia Ludwika XV i Marii Leszczyńskiej, na której podano dopiero co wymyślony deser.

Ciasto Ali Baba przez lata przechodziło udoskonalenia. Malagę zastąpiono rumem, a budyń bitą śmietaną. Dziś pod nazwą „baba au rhum" można ją kupić w tym samym miejscu, w którym prawie 300 lat temu otworzył swoją pierwszą cukiernię Nicolas Stohrer – w Paryżu, przy ulicy Montorgueil. Piekarnia znajduje się tam do dziś, a znaleźć ją bardzo łatwo dzięki koronie usytuowanej nad dachem. Wyjątkowy charakter cukierni potwierdziła brytyjska królowa Elżbieta II, która podczas swojej oficjalnej podróży do Francji osobiście pofatygowała się tam po babkę Leszczyńskiego.

Stanisław Leszczyński, król Polski

FOT. ONS/ JERZY DĄBROWSKI (4X)

eprasa.pl 77c6269fd8

WIEDEŃSKIE WAKACJE

Zofia i Alfred Jankowscy

FOT. ARCHIWUM RODZINNE

Autorką dziennika jest Zofia Jankowska h. Jastrzębiec, z domu Karszo-Siedlewska (1884–1957), od 1910 r. żona Alfreda (1882–1947), ziemianina, właściciela m.in. Rudy Malenieckiej i Kruchowa k. Trzemeszna, który w 1919 r. jako sekretarz Centralnego Towarzystwa Rolniczego był oddelegowany do Paryża na kongres wersalski w celu przedstawienia polskiej delegacji (Roman Dmowski i Ignacy Jan Paderewski) dokumentacji określającej polskie straty wojenne, ze szczególnym uwzględnieniem lasów. Od 1919 r. był prezesem Zrzeszenia Właścicieli Lasów. Jego małżonka, Zofia, szczupła blondynka o „eterycznej urodzie" często zapadała na zdrowiu. Stąd decyzja małżonków o wspólnym wyjeździe do Wiednia w 1921 r., do niegdysiejszej metropolii europejskiej, stolicy imperium Habsburgów, wówczas miasta dotkniętego skutkami Wielkiej Wojny, biednej stolicy małego państwa, Austrii.

Wiedeń, 26 lipca 1921 r.

Jedziemy do Gastein na kąpiele radiowe. Po wielkich trudnościach robionych przez nasze władze, po części austriackie, Alfred uzyskał możność zawiezienia mnie na tę kurację przepisaną przez doktorów. W Wiedniu trafiliśmy na upały.

Stoimy w Hotelu „Imperial" – jak zwykle. Wyjątkowo w tym czasie trafiliśmy na wolny pokój. O miejsce teraz trudno – przejazdy sezonowe w pełni. Mamy b. skromny pokój, ale w takim dobrym hotelu – najskromniejszy jest możliwie wygodnie urządzony.

Jechaliśmy sypialnym z Warszawy b. wygodnie. Gdyby nie przykrość rewizyi na naszej granicy – byłoby idealnie. Jak to smutno, że w Polsce muszą być rewizye! i to trwające po kilka godzin. Oby to jak najprędzej minęło!

Trudności, jakie robi rząd nasz przy wyjazdach za granicę, są zupełnie zrozumiałe (mogłyby tylko być w innej formie!). Gdyby tych trudności nie było, wyjeżdżano by masowo i wyważano walutę.

Wiedeń był cudowny, gdyśmy o zachodzie słońca zajeżdżali! Kahlenberg! – ten Kahlenberg pełen wspomnień chwały na-

eprasa.pl 77c6269fd8

szego oręża pod Sobieskim, a dla mnie wspomnień prócz tego rodowych. Tam siedem lat więziony był pradziad mój, Konstanty Russocki, rodzony dziadek Mamy, więziony pod zarzutem współudziału w ruchach wolnościowych Galicyi, gdzie też miał majątek.

Wiedeń podnosi się powoli z upadku. Alfred widzi w nim wielką różnicę na lepsze od czasu gdy przejeżdżał przezeń, jadąc na konferencyę do Paryża. Wtedy był straszny widok Wiednia – z głodem, zamarciem i ruiną.

Teraz finanse są w ruchu, przemysł podobno też. Waluta idzie po trochu w górę. Jak dla nas, to dotąd jeszcze najtaniej. W pierwszorzędnych hotelach jest wszystko, może nie tak jak przed wojną, ale – jest. Mimo to bieda, na przedmieściach daje się podobno we znaki, a przygnębienie moralne odczuwa się wszędzie. Stolica wielkiego państwa jest głównym miastem malutkiego państwa. Burg – stoi posępny i pusty. Głucho i martwo koło niego – zdaje się, jakby martwota obejmowała nawet ludzi, którzy mieszkając blisko – przesuwają się cicho ulicą. Odczuwa to przejezdny, miejscowy – każdy... Szum fontann wytryskujących z wielkich nisz w murach zamkowych przerywa ciszę, ale głos ich jakiś tragiczny, a gwałtowny ruch figur które ich otaczają – jakiś martwy, bo... marmurowy.

Wczoraj byliśmy w b. Zamku (Schloss Cobenzl), obecnie hotel i restauracja, położonym na wzgórzu obok Kahlenberga. Widok prześliczny na Wiedeń i na wstęgę Dunaju. Dziś wróciliśmy z Schönbrunnu. Teraz łączy się tam z tragedią Orlątka – tragedia Habsburgów. Park jest miejscem spacerów ludowych. Bardzo miły jest widok dzieci bawiących się i oddychających świeżem powietrzem. Oby tylko nie niszczyły tego, co tyle pokoleń wzniosło. Mniej przyjemnym jest widok „burgerów" wiedeńskich, wyciągniętych na ławkach w skarpetkach i bez kurtek.

Park śliczny – sztywny w liniach, ale bogaty słońcem, barwami i cieniem. Pałac duży, ale zimny, mimo złotawego, prawie żółtawego koloru. Mało zdobny – całe szczęście, gdyż te ozdoby, które są, wykonano bez finezji. Całość daje jednak dobre wrażenie, choćby głęboką harmonią między ramą Habsburgów a tym ich dziełem. Rasa potężna przy pewnych dziwactwach, sztywna, bez wdzięku, b. stylowa – taki sam jest Schönbrunn.

Na zwiedzanie pałacu wewnątrz, mimo – ach, jak wielkiej ochoty! – sił nie starczyło!...

Bad Gastein, 28 lipca 1921 r.

Już jesteśmy na miejscu – ale nie w hotelu, który miał nas przyjąć – jest przepełnienie, w dodatku pogoda, więc goście, którzy mieli wyjechać z obiecanego nam pokoju – zostali bezterminowo, może na dwa tygodnie i więcej.

Tymczasem stoimy w małej willi, daleko od centrum. Czysto jest, ale daleko od kąpieli, spacerów, blisko stacyi i otoczenia żadnego. Naturalnie, jak można najprędzej, wyniesiemy się. Gdybym była trochę silniejsza, to wszędzie (byle czysto) byłoby mi dobrze, ale z tym nieznośnym zdrowiem!... Biedny, dobry Fredek, biega wszędzie za miejscami. Czy znajdzie?...

Bad Gastein, 29 lipca 1921 r.

Przenieśliśmy się do Hotelu Königevilla, gdzie są kąpiele, ale jest tak niemiły, że mamy ochotę zaraz się wynieść. Tam było trochę jak w chacie oświeconego górala, a tutaj – pseudocywilizacja; tam – dobrzy ludzie, tutaj – hotelarze bez kultury hotelarskiej.

Gorąco. Gastein jest ładne. Spadająca z szumem górska rzeka wśród wysokich gór, a z nią, jak druga kaskada, rąk ludzkich dzieło, hotele i wille; rzeka i wille rozpływają się dalej spokojnie w szerokiej dolinie stronę Hofgastein.

Bad Gastein, 16 sierpnia 1921 r.

Mieszkamy od kilku dni w ślicznym hoteliku Villa Astoria. Mieliśmy wielce niemiłe chwile obawy, że zostaniemy bez dachu nad głową. Tymczasem wszystko ułożyło się doskonale. W Königsvilla byliśmy średnio urządzeni, ale właściciel okazał się dla nas człowiekiem przyzwoitym, a służba żegnała nas dosłownie „ze łzami w oczach". Mnie te dwa tygodnie minęły jak najmilej: pogoda była cudowna, kąpiele, które wzięłam były miłe, ale przede wszystkim nie mam słów dla dobroci Fredka!!! Był dla mnie idealnie dobrym – i wdzięczną mu za to jestem niewypowiedzianie!

OPR. J. ŻARYN

AUTOPROMOCJA

WYJĄTKOWE DODATKI EDUKACYJNE W TYGODNIKU SIECI

30 lipca
i w każdy ostatni poniedziałek miesiąca
BOHATEROWIE NIEPODLEGŁEJ
seria o niezwykłych ludziach, którym Polska zawdzięcza Niepodległość

6 sierpnia
i w każdy pierwszy poniedziałek miesiąca
POLACY, KTÓRZY ZMIENILI ŚWIAT
seria o polskich wynalazcach, odkrywcach, innowatorach, którzy uczynili świat lepszym

epraso.pl 77c6269fd8

Papież z Warszawy

GRZEGORZ GÓRNY

Kiedy w sierpniu 1920 r. do Warszawy zbliżała się Armia Czerwona, wszyscy dyplomaci akredytowani w Polsce pospiesznie opuszczali miasto. W stolicy pozostali tylko reprezentanci Stolicy Apostolskiej i Turcji. Tak się składa, że były to jedyne dwa kraje, które w XVIII w. nie zaakceptowały rozbiorów Rzeczypospolitej.

Przedstawicielem papieża był wówczas 63-letni abp Achille Ratti, który błogosławił żołnierzy idących na front walczyć z bolszewikami. Benedykt XV mianował go wizytatorem apostolskim zarówno w Polsce, jak i na Litwie, 25 kwietnia 1918 r., a więc w czasie gdy oba kraje nie odzyskały jeszcze niepodległości. Papieska decyzja była spowodowana tym, że przed rozbiorami w Rzeczypospolitej istniała jedna rzymskokatolicka prowincja kościelna z dwoma metropoliami: gnieźnieńską i lwowską, przy czym jurysdykcja prymasów w Gnieźnie rozciągała się na całą Litwę, arcybiskupów Lwowa zaś na ziemie ruskie dawnej Korony.

Podczas zaborów – podobnie jak przed wiekami w okresie rozbicia dzielnicowego – Kościół był głównym spoiwem jednoczącym naród ponad podziałami. Nic dziwnego, że jeszcze podczas I wojny światowej to właśnie katoliccy hierarchowie zainicjowali proces jednoczenia podzielonych ziem polskich. 10 marca 1917 r. do Warszawy zjechali dostojnicy Kościoła z trzech zaborów: rosyjskiego, niemieckiego i austriackiego. Był to pierwszy od końca XVIII w. wspólny zjazd biskupów z diecezji wchodzących w skład dawnej Rzeczypospolitej. Stanowił przed światem dobitną manifestację tego, że Polacy domagają się niepodległości oraz ponownego zjednoczenia kraju.

Achille Ratti przeżył w Warszawie jedną z najbardziej pamiętnych chwil w swoim życiu. 28 października 1919 r. – cztery miesiące po swej nominacji na nuncjusza apostolskiego – został w stołecznej katedrze przez kard. Aleksandra Kakowskiego konsekrowany na biskupa. Nikt z obecnych podczas tej uroczystości nie przypuszczał zapewne, że na ich oczach sakrę biskupią otrzymuje właśnie przyszły papież. Niemal rok po zakończeniu swej misji w Polsce w lipcu 1922 r. Achille Ratti został przez kardynałów zebranych na konklawe w Rzymie wybrany na głowę Kościoła. Przyjął imię Piusa XI.

Obserwacje poczynione podczas wojny polsko-bolszewickiej sprawiły, że był on świadomy, czym jest komunizm. Dlatego przenikliwej krytyce tego systemu poświęcił encyklikę „Divini Redemptoris" z 1937 r. Zarazem doświadczenia z lat spędzonych w Polsce spowodowały, że papież był niezwykle przychylny dla naszego kraju. Szczególną czcią otaczał Matkę Bożą Częstochowską. Na jego polecenie kopię jej wizerunku sporządził jasnogórski paulin o. Augustyn Jędrzejczyk. Obraz znalazł się w pałacu apostolskim w Castel Gandolfo. W tym samym miejscu do dziś oglądać można dwa wielkie freski wykonane na zamówienie Piusa XI przez polskiego malarza Jana Henryka Rosena. Przedstawiają one obronę Jasnej Góry przed Szwedami w 1655 r. oraz zwycięską bitwę z bolszewikami pod Warszawą w 1920 r. Dzięki tym malowidłom rzesze pielgrzymów z całego świata mogą się dowiedzieć o roli Polski jako bastionu katolicyzmu.

17 kwietnia 1938 r. Pius XI ogłosił świętym Kościoła katolickiego Andrzeja Bobolę. Była to pierwsza kanonizacja Polaka od XVIII w. i jedyna w II Rzeczypospolitej. Kilkanaście lat wcześniej w 1923 r. papież odzyskał ciało jezuickiego męczennika. Jego zwłoki, wyjęte z trumny z kościoła w Połocku, były bowiem wystawione przez bolszewików na widok publiczny jako eksponat w gablocie na wystawie w Moskwie. Watykan, który zorganizował międzynarodową pomoc dla ofiar głodu na Powołżu, zażądał w zamian tylko jednego: relikwii bł. Andrzeja Boboli. Lenin wyraził zgodę i ciało trafiło do Rzymu. Po kanonizacji zostało uroczyście przewiezione specjalnym pociągiem do Warszawy. Jego przejazd przez polskie miasta wywołał entuzjazm wiernych, którzy uczestniczyli w zbiorowych modłach. Rok później wybuchła II wojna światowa. Pius XI już wtedy nie żył. Zmarł w lutym 1939 r. Przed śmiercią zdążył jeszcze potępić narodowy socjalizm w encyklice „Mit brennender Sorge".

Wizyta nuncjusza papieskiego Achille Rattiego w twierdzy Modlin, 1919 r.

eprasa.pl 77c6269fd8

BITWA TRZECH HETMANÓW

ZBIGNIEW HUNDERT

21 SIERPNIA 1688 r. POD PANIOWCAMI NA PODOLU ROZEGRAŁA SIĘ JEDNA Z NAJWIĘKSZYCH BITEW POLOWYCH STOCZONYCH PRZEZ STRONĘ POLSKĄ W DOBIE WOJNY LIGI ŚWIĘTEJ Z PORTĄ OSMAŃSKĄ. DZIŚ POZOSTAJE ONA NIEMAL NIEZNANA

Zwycięska kampania wiedeńska 1683 r. i zawiązanie Ligi Świętej z Austrią, Rzeczpospolitą, Wenecją i Papiestwem w składzie, w marcu roku następnego otwierało nowy rozdział w historii zmagań z Imperium Osmańskim. Od tego bowiem czasu to Turcy musieli zacząć bronić swego stanu posiadania w Europie, przechodząc do wyraźnej defensywy.

Mołdawskie plany i ich fiasko

Dla Rzeczypospolitej wojna z Wysoką Portą, rozpoczęta kampanią wiedeńską, dawała szansę na rewizję traktatu »

Głównodowodzący armią koronną hetman wielki koronny Stanisław Jabłonowski

Hetman polny koronny, kasztelan krakowski Andrzej Potocki

Hetman wielki litewski Kazimierz Jan Sapieha

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

stambulskiego z 1678 r., który sankcjonował ustępstwa terytorialne na rzecz sułtana w postaci Podola z Kamieńcem oraz Ukrainy Prawobrzeżnej. Jan III wierzył wówczas, że Turcja Osmańska związana na innych frontach przez Austrię i Wenecję nie będzie w stanie utrzymać Podola i swoich wpływów w księstwach naddunajskich (Mołdawia, Wołoszczyzna, Siedmiogród). Szczególną rolę w koncepcjach władcy odgrywała Mołdawia, na której tronie Jan III chciał osadzić swojego syna Jakuba, co w przyszłości mogło mu zapewnić elekcję na tron Polski. Trwałe opanowanie Mołdawii równałoby się też likwidacji zaplecza logistycznego dla twierdzy kamienieckiej. Kierunek mołdawski był zatem bardziej pożądany niż bezpośrednie uderzenie na Kamieniec.

Królewskie koncepcje zajęcia Mołdawii w latach 1684–1686 nie zostały urzeczywistnione, a Rzeczpospolita w ramach Ligi Świętej dość szybko przestała się liczyć. Bolesne było zwłaszcza niepowodzenie prowadzonej osobiście przez króla kampanii mołdawskiej w 1686 r. Zorganizowane wielkim wysiłkiem wojsko polsko-litewskie nie osiągnęło żadnego z zakładanych celów i musiało się wycofać, co oznaczało zmarnowanie ogromnego wysiłku finansowego oraz dotkliwą klęskę wizerunkową Jana III. Fiasko kampanii negatywnie odbiło się też na sprawności bojowej wojska, dlatego zaniechano w najbliższym okresie większych działań zaczepnych. W 1687 r. strona polska spróbowała bezpośredniego oblężenia Kamieńca, ale akcja ta nie pozwoliła odzyskać twierdzy. Wojna Rzeczypospolitej z Portą w ramach Ligi Świętej stawała się w tym czasie konfliktem coraz bardziej statycznym i żmudnym, generującym duże koszty. W efekcie wielu obserwatorów życia publicznego zaczynało traktować ją jako uciążliwy konflikt peryferyjny, na co wpływ miał przede wszystkim wyraźny brak sukcesów.

W 1688 r. strona polska nie miała jasno sprecyzowanych planów kampanii, chociaż zamierzała zsynchronizować swoje działania z akcją zbrojną nowego sojusznika w ramach Ligi Świętej. Państwo moskiewskie dołączyło do aliansu niecałe dwa lata wcześniej, po zawarciu z Polską korzystnego dla siebie traktatu pokojowego (tzw. pokój Grzymułtowskiego z 1686 r.). Jak na razie inicjatywę przejęli Tatarzy, którzy w początku roku skierowali ku polskim granicom silne zagony, aby dokonać dywersji i utrudnić koncentrację wojsk polsko-litewskich. Mimo przeciwdziałania ze strony wydzielonych grup wojska czambuły tatarskie dotarły aż na Wołyń, czyniąc wiele szkód. Koncepcja kampanii 1688 r. wyklarowała się dopiero w maju. Król nadal chciał opanować Mołdawię i Wołoszczyznę, ale żeby to zrobić, zamierzał skierować wojska na Budziak, by zlikwidować tamtejsze osady tatarskie i utrudnić zaopatrzenie twierdzy kamienieckiej z tego kierunku. Zajęcie Budziaku doprowadziłoby ponadto do oskrzydlenia Mołdawii. Latem 1688 r. zainteresowanie dworu królewskiego działaniami wojennymi zdecydowanie osłabło, na co wpływ miały sytuacja międzynarodowa, rozgrywki wewnętrzne i pogarszający się stan zdrowia monarchy. Ta zależność nie mogła pozostać bez wpływu na stan przygotowań do działań zbrojnych nadzorowanych w pierwszej kolejności przez wojewodę ruskiego i hetmana wielkiego koronnego Stanisława Jabłonowskiego.

Traktat pokoju wieczystego między Rzecząpospolitą a Państwem Moskiewskim z 1688 r. (fragment)

Przed bitwą

Mimo to głównodowodzący armią koronną po otrzymaniu informacji od schwytanych jeńców tatarskich o wysłaniu dużego transportu zaopatrzenia (tzw. zahary) do Kamieńca postanowił ruszyć w kierunku twierdzy, aby go przechwycić. W kampanii tej Jabłonowski mógł liczyć na drugiego hetmana koronnego – kasztelana krakowskiego Andrzeja Potockiego – a także na wojewodę wileńskiego i hetmana wielkiego litewskiego Kazimierza Jana Sapiehę, który na czele swoich wojsk wymaszerował z Litwy na podolski obszar działań wojennych.

Wymarsz nastąpił na początku lipca – po tym jak Jabłonowski otrzymał informacje o ruszeniu się zahary z Cecory. Marszruta odbywała się w dość niekorzystnych warunkach atmosferycznych w postaci ulewnych deszczy. Dodatkowo nie ustawała aktywność Tatarów, z którymi oddziały ubezpieczające pochód armii polsko-litewskiej prowadziły częste potyczki. Równocześnie 15 lipca htm. Jabłonowski posłał grupę jazdy i dragonii płk. Nikodema Żaboklickiego pod Kamieniec, aby jak w roku ubiegłym zniszczyła wszystkie uprawy w okolicach twierdzy. Dowódca podjazdu spisał się wybornie, a garnizon turecki pozbawiony własnych zasobów mógł być zdany już tylko na transport zaopatrzenia. Jabłonowskiemu dość długo zajęło znalezienie odpowiedniego miejsca, by zablokować komunikację z twierdzą oraz by przeciąć transport zahary, idący z silną eskortą. Aktywne działania pod samym Kamieńcem nie wchodziły na razie w grę, ponieważ brakowało ciężkich dział, których dostarczeniem zajmował się właśnie wojewoda kijowski i generał artylerii Marcin Kątski. Jabłonowski wiedział też w tym czasie, że wojska moskiewskie, ze względu na liczne trudności, zaniechały swoich działań zaczepnych przeciw ordzie, dlatego Tatarzy mogli się skupić wyłącznie na odparciu pochodu armii koronnej i litewskiej.

18 sierpnia wojska koronne i litewskie po przebyciu drogi spod Chodorowiec

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

eprasa.pl 77c6269fd8

stanęły obozem pod Żwańcem. Spodziewano się wówczas, że siły tatarskie prowadzone przez nuradyna sołtana (namiestnika zachodniej części Chanatu Krymskiego) liczyły aż 70 tys., z czego do walki miało być zdolnych 50 tys. Sam hetman Jabłonowski szacował swoje siły na 93 chorągwie ze wszystkich 127 koronnych, opłacanych ze skarbu państwa. Chorągwi litewskich hetmana Sapiehy miało być 30. Zdaniem historyków siły polsko-litewskie liczyły jedynie 10 tys. ludzi, choć dane te są jedynie orientacyjne. W piątek 20 sierpnia hetmani Jabłonowski, Potocki i Sapieha odbyli radę wojenną, na której postanowili, że ruszą się nazajutrz z taborami pod Chodorowiec, tam je pozostawią, a następnie sprawionym szykiem pomaszerują ku Paniowcom, opierając się czołem o rzekę Smotrycz i tam wydadzą bój nieprzyjacielowi. Noc poprzedzająca wymarsz upłynęła pod znakiem intensywnego deszczu. Mimo tych trudności w sobotę 21 sierpnia armia polsko-litewska ruszyła pod Paniowce, gdzie stanęła następującym szykiem: prawe skrzydło zajęły oddziały htm. Potockiego, a lewe – wojska litewskie Sapiehy. Jabłonowski stanął w centrum, cofniętym w stosunku do skrzydeł – aby móc w razie potrzeby udzielić wsparcia jednej lub drugiej flance. Opady deszczu nadal nie oszczędzały wojsk, które zajęły dość korzystne pozycje względem kurhanów, nazywanych potocznie mogiłami. Obecność wojsk koronnych i litewskich musiała stanowić dla dowództwa osmańskiego poważne zagrożenie, skoro Tatarzy zdecydowali się przejść przez Smotrycz i je zaatakować, bez próby wymanewrowania (atak przez bronione przeprawy był niezwykle trudny). Tatarzy zapewne wierzyli w swoją przewagę liczebną, choć wątpliwe jest, że liczyli na rozbicie dobrze przygotowanych do boju koronnych i litewskich chorągwi jazdy.

Bitwa trzech hetmanów

Bitwa pod Paniowcami stoczona 21 sierpnia w sobotę miała charakter bitwy typowo kawaleryjskiej. Rozpoczęła się od walk harcowników, po których jazda tatarska przypuściła zmasowany atak na oba skrzydła. Szczególnie intensywne były uderzenia na skrzydło Potockiego. Tu jednak dużą rolę odegrała artyleria, która strzelając kartaczami, uczyniła w szeregach tatarskich wiele szkód. Ogień ten zresztą bardzo zdziwił Tatarów, gdyż prowadzono go mimo padającego deszczu! Skwadrony – czyli kombinacja chorągwi husarskich z pancernymi (rota husarska z pancernymi na skrzydłach) – wysłane przez htm. Potockiego do boju, kilka razy mierzyły się z przeciwnikiem na szable. Były to niezwykle krwawe i zażarte boje. Najlepszym przykładem jest tu chorągiew pancerna marszałka nadwornego koronnego Hieronima Lubomirskiego pod Remigianem Grocholskim. Bój kończyła zdezorganizowana po wyeliminowaniu wszystkich jej kolejnych dowódców. Najpierw ciężkie rany odniósł pchnięty cztery razy dzidą por. Grocholski, potem chor. Kamocki, również pchnięty dzidą i cięty szablą w głowę; wreszcie zginęło trzech kolejnych towarzyszy, przejmujących komendę nad swoim oddziałem. Straty tatarskie były jednak na tyle poważne, że odstąpili od ataku na skrzydło Potockiego. Jeden ze sług hetmańskich pisał po bitwie: „że od jednego skrzydła prawego, które trzymał jmp. [kasztelan] krakowski [Potocki] dobry repres [odpór] należyty wzięły wszystkie tłumy ordy, siła nazdychało postrzelanych Tatarów i koni". Widać zatem, że prawe skrzydło wytrzymało skomasowany atak, przyczyniając się do wygranej. Należy przy tym pamiętać, że zgrupowanie Potockiego musiało się mierzyć z Tatarami odrzuconymi wcześniej przez htm. Sapiehę, ze skrzydła lewego. Tam uderzało podobno aż 6 tys. Tatarów. Bitwa stoczona przez trzech hetmanów Rzeczypospolitej – co nie zdarzało się często – zakończyła się sukcesem. Utrzymano przeprawy, wróg został odepchnięty – ale nie zniszczony, nie przejęto też zaopatrzenia, tj. zahary. Nuradyn poniósł jednak dotkliwe straty, zwłaszcza wśród starszyzny. Armia polsko-litewska była poszkodowana w zdecydowanie mniejszym stopniu. Świetnie wynik starcia pod Paniowcami podsumował ówczesny towarzysz husarski Franciszek Pułaski: „Przy pomocy wszechmocnego Boga, [Tatarzy] bez korzyści swojej, i owszem z niemałą klęską i stratą znacznych murzów, i starszyzny wojskowej słuszne odebrali represalia i w rozsypkę poszły".

W PIĄTEK 20 SIERPNIA HETMANI JABŁONOWSKI, POTOCKI I SAPIEHA ODBYLI RADĘ WOJENNĄ, NA KTÓREJ POSTANOWILI, ŻE POMASZERUJĄ KU PANIOWCOM I TAM WYDADZĄ BÓJ NIEPRZYJACIELOWI

Po zwycięstwie wojska trzech hetmanów pozostały na swoich pozycjach, jak notował Jabłonowski: „Aby zaś nieprzyjaciel prędkiego ruszenia się naszego nie wziął sobie in praetextum [za powód] obawiania się jakiego sił swoich, albo już wykierowania naszego ku granicom, przestaliśmy tu po owej okazyjej [bitwie] sobotniej dni trzy, czekając azaż powróci nieprzyjaciel, i będzie chciał kończyć, przy tak wielkich potęgach swych rozpoczętą z nami potrzebę [bitwę]". Wkrótce potem, ze względu na fatalne warunki pogodowe i problemy aprowizacyjne – i pomimo dotarcia posiłków prowadzonych przez hetmana polnego litewskiego Józefa Słuszkę, postanowiono zakończyć kampanię 1688 r. dość wcześnie, bo już 29 września! Tym samym, poza sukcesem taktycznym spod Paniowiec, nie osiągnięto żadnych celów kampanii, zwłaszcza że oddział Turków w sile 6 tys. ludzi, 24 dział i 300 wozów przemknął bokiem i zaopatrzył Kamieniec w żywność.

Bitwa pod Paniowcami była jednym z nielicznych większych starć polowych wojny polsko-tureckiej po kampanii wiedeńskiej 1683 r. Mimo to nie próbowano jej wykorzystać propagandowo – co czyniono np. kilka lat później z sukcesami starć spod Hodowa i Uścieszka (1694 r.). Wpłynęło to zapewne na to, że ówczesne elity – poza wojskowymi – nie zakodowały tego starcia. Jednak duża bitwa kawaleryjska, w której dowodziło aż trzech hetmanów, zasługuje na przypomnienie i przedstawienie jej szerszej grupie odbiorców.

eprasa.pl 77c6269fd8

PRAWOSŁAWNY POSEŁ I LIDER SEJMIKOWY

DROGA ŻYCIOWA FEDORA PROSKURY-SUSZCZAŃSKIEGO ZNAKOMICIE OBRAZUJE, JAK FUNKCJONOWAŁA WIELOKULTUROWA I WIELOWYZNANIOWA RZECZPOSPOLITA, W KTÓREJ POPRZEZ SPORY I POROZUMIENIA TWORZYŁA SIĘ GŁĘBOKA LOJALNOŚĆ WOBEC PAŃSTWA, WYNIKAJĄCA Z PRZEKONANIA O ATRAKCYJNOŚCI JEGO USTROJOWYCH FUNDAMENTÓW

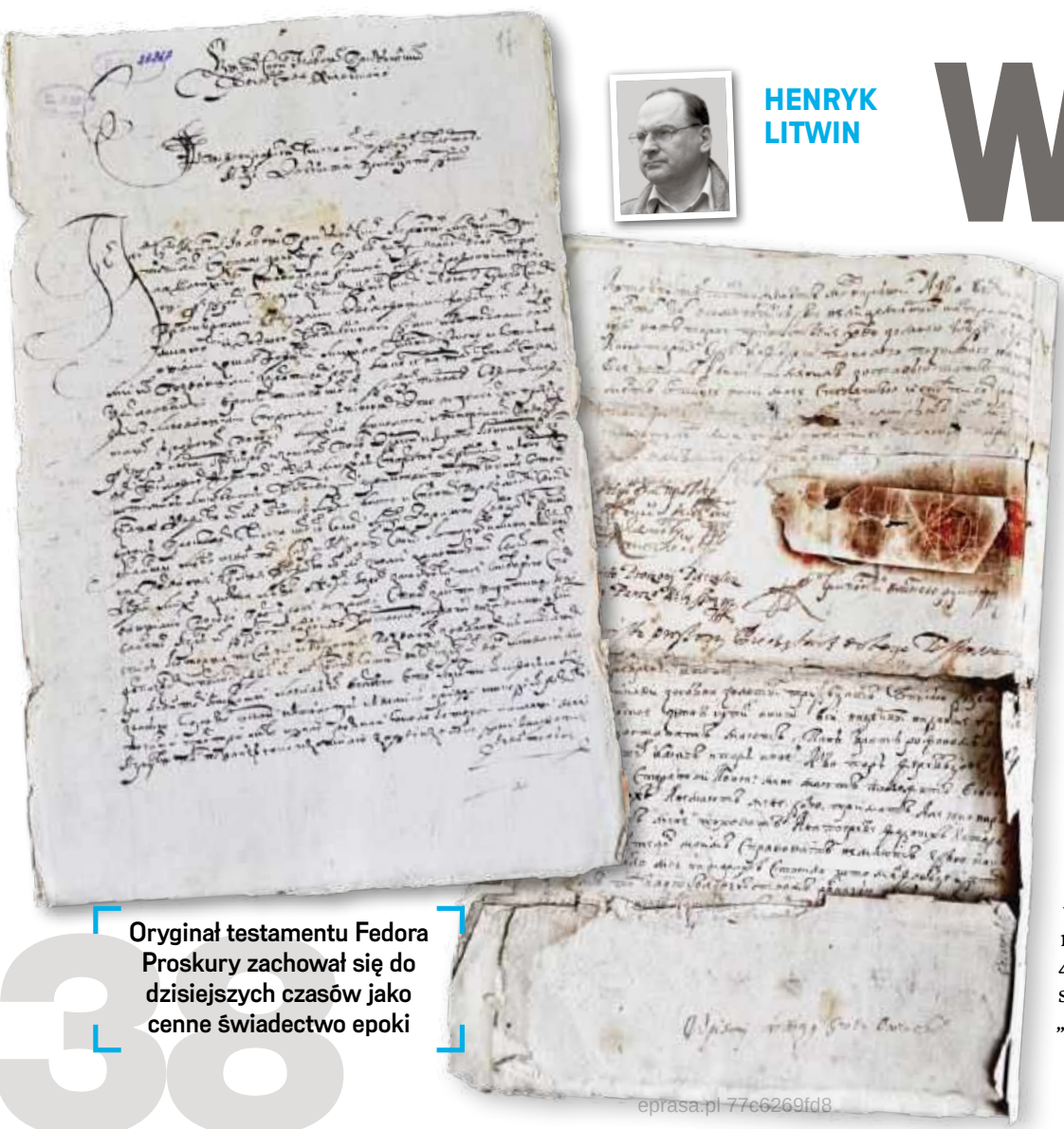

Oryginał testamentu Fedora Proskury zachował się do dzisiejszych czasów jako cenne świadectwo epoki

HENRYK LITWIN

W sierpniu 1606 r. szlachta całej Rzeczypospolitej obradowała pod Koprzywnicą, ustalając żądania, które miały być skierowane do króla Zygmunta III. Trwał szlachecki ruch opozycyjny, który potem przeszedł do historii jako rokosz sandomierski lub rokosz Zebrzydowskiego. W tym zgromadzeniu, wśród przedstawicieli „województw inkorporowanych" pojawił się wówczas po raz pierwszy na ogólnokrajowej arenie publicznej młody szlachcic z Kijowszczyzny, Fedor Proskura-Suszczański, który wyróżnił się wśród swoich ziomków aktywnością. Gdy większość szlachty z tych ziem opuściła 2 września Koprzywnicę, by uczestniczyć w organizowaniu obrony przed zagrażającym południowo-wschodnim terytoriom Rzeczypospolitej najazdem tatarskim, został wybrany do kilkuosobowej reprezentacji województwa. 41 lat później, jako dostojny starzec, złożony chorobą, ale „zdrowy na umyśle", ten sam

FOT. REPRODUKCJE H. LITWIN ZE ZBIORÓW NACIONALNEJ BIBLIOTEKI UKRAJINY IM. H. VERNADS'KOHO

eprasa.pl 77c6269fd8

Proskura spisując, a raczej dyktując testament, którego oryginał szczęśliwym trafem zachował się do dziś, z dumą podkreślał, że piastuje urząd „sekretarza Jego Królewskiej Mości". Pomiędzy tymi dwoma wydarzeniami rozgrywa się spektakl życiowych dokonań polityka, parlamentarzysty i urzędnika, dokonującego bezustannie trudnych wyborów między republikańskim instynktem i wiernością wobec monarchii, czyli – jak wówczas często mówiono – „inter libertatem et maiestatem".

Rokoszowe początki

Fedor Proskura-Suszczański po raz pierwszy pojawia się w źródłach w styczniu 1606 r., kiedy wraz z innymi przedstawicielami szlachty kijowskiej podpisuje akt odłożenia terminu sprawowania posiedzeń (roków) sądu ziemskiego z powodu tatarskiego najazdu. Choć był Rusinem, wychowanym w niewzruszonym szacunku do prawosławia, co jasno wynika z testamentu jego ojca Hryhorego, podpisał się pod wspomnianym aktem, używając alfabetu polskiego i formuły „własną ręką". Świadczy to, że kształcił się w obu językach i był przygotowany do publicznej aktywności na forum ogólnopaństwowym.

W tym czasie narastały w całej Rzeczypospolitej nastroje rokoszowe, które w zależności od lokalnej specyfiki wiązały się z odmiennymi pretensjami i postulatami szlachty. Na Kijowszczyźnie i w innych „województwach inkorporowanych" (co obejmowało także Wołyń i Bracławszczyznę), cieszących się swoistą autonomią na mocy przywilejów lubelskich z 1569 r., nastroje te wiązały się przede wszystkim z sytuacją prawosławia, które po zawartej pod patronatem Zygmunta III unii brzeskiej straciło legalny status. Szlachta z wymienionych ziem, w olbrzymiej większości prawosławna, domagała się przywrócenia stanu sprzed unii brzeskiej lub przynajmniej kompromisu zwracającego „religii greckiej posłuszeństwa patriarszego" status legalnego wyznania, korzystającego z rozdawanych przez króla beneficjów.

Proskura włączył się do tego ruchu już na początku swej działalności publicznej i latem 1606 r. wraz z wieloma innymi kijowianami przyłączył się do rokoszowego zjazdu pod Sandomierzem. Pozostał tam najdłużej i jako jedyny z kijowian oraz Wołyńców podpisał wrześniowy uniwersał rokoszowy wzywający szlachtę Rzeczypospolitej do kontynuowania otwartego sporu z monarchą. Ten ostatni zareagował na postulaty prawosławnych kompromisowymi propozycjami zawartymi w tzw. artykułach wiślickich. Wpłynęło to na złagodzenie stanowiska sejmików południowo-wschodnich zebranych przed sejmem w 1607 r. Szlachta kijowska posłała jednak czterech swoich reprezentantów przede wszystkim na zjazd rokoszowy. Był wśród nich Proskura. Nie znamy szczegółów aktywności kijowskiego poselstwa w tym czasie. Wiemy jednak, że choć dotarło ono na zjazd rokoszowy, to ostatecznie znalazło się w Warszawie i brało udział w obradach sejmu, o czym mówią konstytucje sejmu 1607 r., wymieniając zresztą także Proskurę jako deputata wyznaczonego przez sejm do sprawy przepisania ksiąg ziemskich kijowskich. Najwyraźniej konstytucja „O religii greckiej" przyjęta przez wspomniany sejm, przywracająca prawosławiu legalny status, choć nie likwidująca unii, została uznana przez szlachtę kijowską i samego Proskurę za kompromis możliwy do przyjęcia. Kijowianie, a także Wołyńcy i Bracławianie porzucili wówczas szeregi rokoszan i wśród sygnatariuszy aktu wypowiedzenia posłuszeństwa Zygmuntowi III ważnych postaci reprezentujących te województwa nie było w ogóle.

Stały poseł kijowski

Fedor Proskura-Suszczański zaczął więc swoją polityczną karierę od daleko idących opozycyjnych działań, które jednak zamknęły się rozwiązaniem kompromisowym, kształtującym w znacznej mierze dalszą drogę życiową młodego szlachcica. Kiedy pojawiał się na rokoszowych zjazdach, był jeszcze młodzieńcem, całkowicie zależnym finansowo od ojca. Dopiero po śmierci tego ostatniego w 1608 r. przejął kontrolę nad przypadającą mu częścią majątku i opiekę nad małoletnim bratem oraz niezamężnymi siostrami, stając się głową rodu, który cieszył się znacznym prestiżem w kijowskiej społeczności szlacheckiej.

Ojciec Hryhory i stryjeczny dziad Iwan byli jej aktywnymi uczestnikami, a pozycję rodu podnosiło pochodzenie po kądzieli od kniaziów Glińskich, po których Fedor dziedziczył na dalekim Zadnieprzu, nad rzeką Worsklą, rozległe choć spustoszałe dobra, o trudnych do wyznaczenia granicach. Funkcja deputata do przepisania ksiąg ziemskich kijowskich nadana przez sejm z 1607 r. przyniosła Proskurze wiedzę i doświadczenie w sprawach sądowych oraz uznanie wśród szlachty, a w efekcie urząd pisarza ziemskiego kijowskiego w 1615 r., z wyboru lokalnej społeczności zatwierdzonego przez monarchę.

Brzmi to na pozór bardzo skromnie, ale w rzeczywistości pisarstwo ziemskie było w województwie kijowskim bardzo ważną funkcją. Prowadzenie ksiąg sądowych dotyczących tak ogromnego terytorium oznaczało utrzymywanie wpływu na bieg sporów o majątki ziemskie i kontrolę nad ważnym zasobem informacji, nie mówiąc już o stałym dochodzie, co wśród lokalnych urzędów ziemskich było wyjątkiem. Dodatkowo pisarze ziemscy województw inkorporowanych byli z urzędu uczestnikami dotyczących tychże ziem wyodrębnionych sesji Trybunału Koronnego (czyli najwyższego szlacheckiego sądu apelacyjnego), a to zapewniało im status superekspertów w zakresie prawa cywilnego. Wszystko to zbudowało na tyle silną pozycję Proskury na lokalnym rynku politycznym, że stał się niemal etatowym posłem swego województwa i reprezentował je na sejmach z lat 1627–1638 osiem razy. W latach 40. XVII w. zapewne sam zrezygnował z dalszego kandydowania, będąc już w podeszłym wieku, by nie narażać się na trudy forsownej podróży znad Dniepru do Warszawy.

Ekspert polityczny

Polityczny program Proskury niełatwo odtworzyć z uwagi na ubóstwo źródeł, ale jego aktywność na sejmach wskazuje, że był on prominentnym przedstawicielem stronnictwa dyzunickiego – walczącego o legalizację prawosławnej hierarchii i minimalizację znaczenia unii, a także reprezentował interesy lokalne i regionalne, współpracując z innymi posłami „województw inkorporowanych". Wobec monarchy zajmował najczęściej stanowisko roszczeniowe, ale nie zaliczał się do trwałej opozycji, potrafiąc w wielu sprawach współpracować z tronem. Charakterystykę jego politycznych poglądów można sporządzić na podstawie instrukcji sejmiku przedsejmowego 1618 r., którego był marszałkiem, a co za tym idzie – miał decydujący wpływ na sformułowanie tego dokumentu. Wskazuje on, że priorytetowe znaczenie miała dla Proskury obronność i niepokoiły »

eprasa.pl 77c6269fd8

» go głównie zagrożenia związane z trwającą wojną z Moskwą i ulotnością pokoju z Turcją. W tych sprawach uznawał dominującą rolę króla i opowiadał się za zaspokojeniem jego postulatów podatkowych. Był zwolennikiem kontynuowania wojny z Moskwą, aż do jej zakończenia „cum honore Jego Królewskiej Mości jako i królewica [Władysława]". Opowiadał się za utrzymaniem pokoju z Turcją i dlatego postulował „łotrostwo kozackie znieść" albo przynajmniej wziąć „w klubę dawną". Postulował przywrócenie piechoty wybranieckiej i zastąpienie wypłacania kwarty ze starostw kresowych wystawieniem przez nie oddziałów wojskowych. Nie zapominał o problemach na odległych od jego województwa granicach, upominając się o załatwienie spraw pruskich i inflanckich zgodnie z postulatami poprzednich sejmów.

W kwestiach wewnętrznych zajmowały go przede wszystkim sprawy „religiey starożytney greckiej", w sprawie której domagał się, by ją „według dawnych praw i przywilejów w pokoju zachować", ale upominał się o to samo także dla innych „rozróżnionych w wierze". Stanowczo domagał się nienaruszania „praw i konstytucyj i przywileju unii województwu [kijowskiemu] służącego", odwołując się do autonomicznego statusu województw inkorporowanych wprowadzonego przywilejami lubelskimi z 1569 r., których rezultat, jak widać, szlachta ówczesna nazywała unią, a nie jak późniejsi historycy inkorporacją. Oczywiście znaczną część postulatów stanowiły sprawy lokalne.

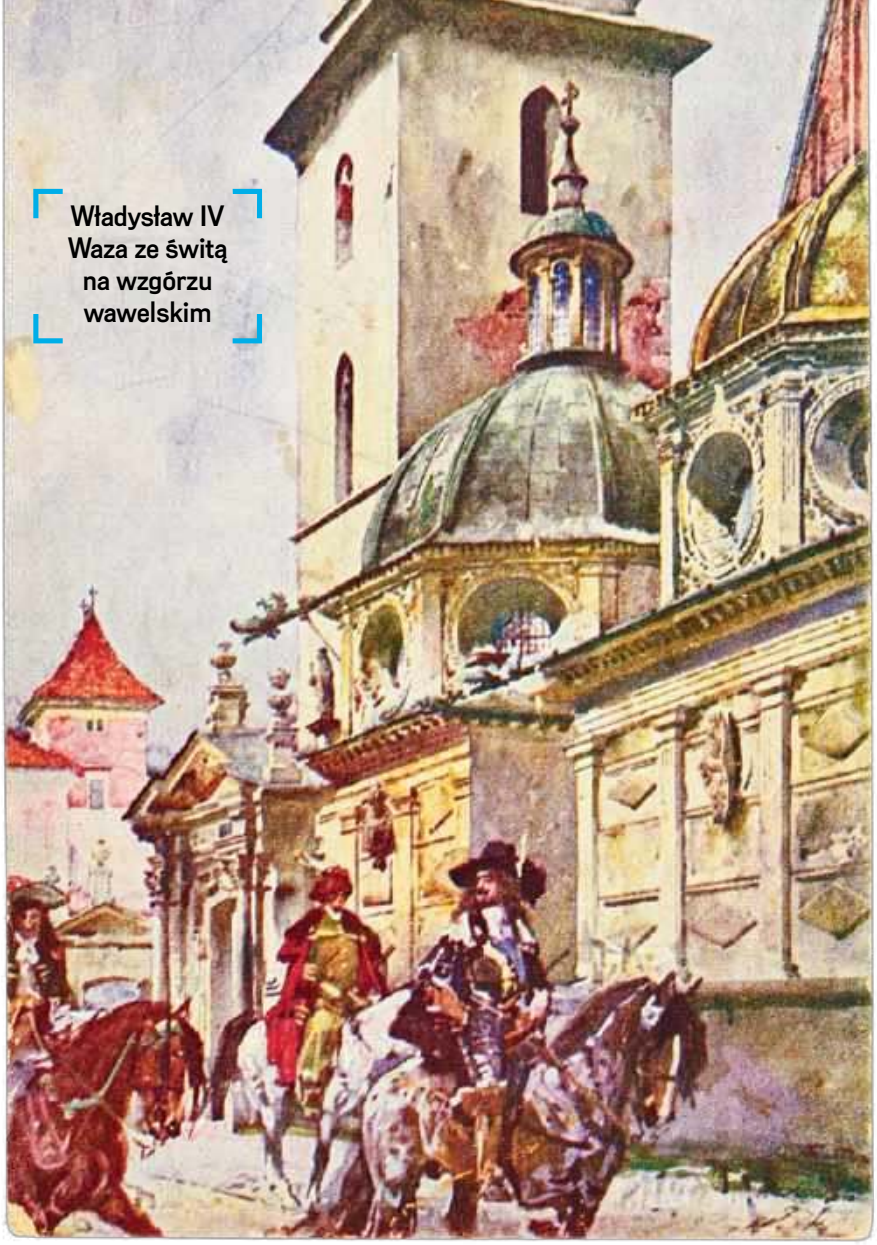

Władysław IV Waza ze świtą na wzgórzu wawelskim

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Prawosławny lider

Proskura zdobył sobie szacunek braci szlachty i respekt magnatów jako lider sejmikowy, urzędnik sądowy, ekspert w sprawach kozackich i moskiewskich oraz jeden z przywódców stronnictwa dyzunickiego. O dobre kontakty z nim dbali wielcy gracze ówczesnej polityki. Kanclerz Tomasz Zamoyski i hetman Stanisław Koniecpolski w listach do Proskury tytułowali go „Miłościwym Panem i Przyjacielem" i obaj „służby swe pilnie zalecali". Hetman Krzysztof Radziwiłł w czasie bezkrólewia po śmierci Zygmunta III wysłał doń specjalnego posła, by zapewnić sobie za pośrednictwem „Pana Pisarza" życzliwość szlachty kijowskiej. Proskura należał też do wąskiego kręgu zaufanych metropolity Piotra Mohiły i stał się po śmierci hierarchy jednym z wykonawców jego testamentu. Ten przedstawiciel średniej szlachty, z pewnością nieubogi, ale też niewyróżniający się bogactwem, zdobył sobie niezwykle silną pozycję polityczną opartą na lokalnych wpływach, liczącą się w rozgrywkach ogólnokrajowych.

Szczególnie dużo można by powiedzieć o działalności Proskury jako jednego z liderów stronnictwa dyzunickiego. Ciekawe, że najbardziej znanym przejawem jego aktywności w tej roli był współudział w przygotowaniu pojednawczego projektu opracowanego na sejmie 1629 r. pod protekcją Zygmunta III, którego realizacja miała doprowadzić do odbycia się dwóch synodów – unickiego i prawosławnego – będących wstępem do wspólnego spotkania poświęconego omówieniu perspektyw pojednania. Kiedy się okazało, że realizacja pomysłu idzie w niezamierzonym przez jego twórców, a pożądanym przez króla kierunku nowej unii, pan pisarz kijowski wycofał się z przedsięwzięcia, choć jednocześnie powstrzymał się od aktywnego przeciwdziałania monarszym planom. Trzy lata później zaangażował się w tworzenie legalnej hierarchii prawosławnej, co zostało uwieńczone sukcesem już pod berłem nowego króla, Władysława IV. Od tegoż monarchy Proskura otrzymał nominację na urząd królewskiego sekretarza, zyskując dostęp do wąskiego kręgu bezpośrednich współpracowników władcy. Chyba już jednak z tego nie korzystał, w ostatnich bowiem latach życia przebywał głównie w domu i nawet o jego lokalnej aktywności słyszało się coraz rzadziej. W swoim testamencie spisanym w 1647, roku jego śmierci, pozostawił przesłanie wierności Rzeczypospolitej i prawosławiu oraz oddania sprawom rodziny.

eprasa.pl 77c6269fd8

Część miasta, która została zbombardowana w kwietniu 1937 r.

FOT. SHUTTERSTOCK

GUERNICA. JAK NAPRAWDĘ BYŁO

POPOŁUDNIEM 26 KWIETNIA 1937 r. SZEF SZTABU NIEMIECKIEGO LEGIONU CONDOR WOLFRAM FREIHERR VON RICHTHOFEN WYDAŁ BOMBOWCOM ROZKAZ STARTU. ROZPOCZĘŁA SIĘ TRAGEDIA BASKIJSKIEGO MIASTA GUERNICA

ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI

Żaden z epizodów hiszpańskiej wojny domowej 1936-1939 nie poruszył tak silnie światowej opinii publicznej jak zbombardowanie baskijskiego miasta Guernica. Choć w ub.r. minęło 80 lat od tego wydarzenia, to spór ten trwa. Zbombardowanie miejscowości urosło do rangi symbolu. Stanowi jeden z fundamentalnych mitów lewicy mających świadczyć o jej wyższości moralnej. Przyczyniły się do tego nie tylko publikacje prasowe, ale przede wszystkim wstrząsające w swojej wymowie dzieło Pabla Picassa „Guernica". Miało być przestrogą dla ludzkości, swoistym memento, że niebawem ci, którzy zrównali z ziemią to baskijskie i katolickie miasto, podpalą Europę. Piętnowało nie tylko jeden z pierwszych w historii terrorystyczny atak bombowy, ale stało się później oskarżeniem wojny totalnej w ogóle. Narracja ta tak silnie weszła w obieg, że lewica w USA przyrównywała ataki dokonywane przez amerykańskie lotnictwo na Wietnam Północny do „bestialskiego nalotu" na Guernicę.

Kiedy prawie 20 lat temu razem z prof. Markiem Janem Chodakiewiczem pisaliśmy tekst o zniszczeniu Guerniki „Malarz i obraz", miałem okazję sprawdzać niemieckie archiwa, m.in. poczdamski Instytut Badań nad Historią Sił Zbrojnych (MGFA). Niestety, podstawowy zbiór informacji o nalocie, czyli Archiv der Legion Condor, uległ w większości zniszczeniu podczas II wojny światowej. Natomiast w przeciwieństwie do dokumentacji niemieckiej ocalały archiwa włoskiej Aviazione Legionaria w Rzymie. Głównie stamtąd pochodzi wiedza o udziale trzech włoskich bombowców Savoia-Marchetti SM 79 w powietrznym ataku, ale przede wszystkim o celach wyznaczonych lotnikom. Były to: dworzec kolejowy, most Renteira i położona obok droga dojazdowa. Podobnie myśleli Niemcy, którzy uznali zniszczenie przeprawy na rzece Oca za główne zadanie Legionu Condor.

Nalot

W dyspozycji sił ekspedycyjnych III Rzeszy na terenie północnej Hiszpanii znajdowały się tego dnia tylko trzy samoloty nadające się najlepiej do punktowego bombardowania. Były to dwupłatowe Henschel Hs 123 uzbrojone w jedną 200-kilogramową bombę każdy i skonstruowane specjalnie do niszczenia takich obiektów jak mosty. Prawdopodobieństwo trafienia w przypadku tej maszyny sięgało prawie 100 proc. To właśnie one pojawiły się pierwsze nad miastem ok. 16.30. Kiedy załogi rozpoznały cel, piloci przystąpili do precyzyjnego ataku, zwalniając uchwyty bomb. Jednak nie trafiła żadna. Prawie razem z nimi nad mostem znalazł się średni bombowiec Heinkel He-111 (inne źródła podają, że »

eprasa.pl 77c6269fd8

» był to Dornier Do-17), który również zrzucił swój ładunek, usiłując trafić w to samo miejsce. Także chybił.

Zgodnie z założeniem Freiherra von Richthofena w pierwszej fazie nalotu miały wziąć udział tylko pojedyncze maszyny z zadaniem niszczenia konkretnych celów. Teraz z kolei do akcji przystąpili Włosi. Dwie maszyny Savoia-Marchetti z ładunkiem kilkudziesięciu 50-kilogramowych bomb skupiły się na ocalałym moście, a trzeci bombowiec uzbrojony w „ćwierćtonówki" usiłował zniszczyć dworzec kolejowy. Bombowce Aviazione Legionaria leciały na pułapie 3,5 tys. m, a przy jakości ówczesnych celowników trafienie w tak mały cel graniczyło z niemożliwością. Most stał, jak stał, a zamiast w budynek stacji jedna z bomb uderzyła w skupisko uchodźców koczujących na zewnątrz dworca. Wtedy nadleciały jeszcze myśliwskie maszyny typu Heinkel 51 przerobione na szturmowce z podczepioną pod kadłub jedną bombą. Te celowały z jako takim skutkiem w domy stojące najbliżej ul. San Juan łączącej most ze śródmieściem.

Druga fala, która doleciała o 17.15, składała się z trzech eskadr (18 maszyn) transportowych Junkersów Ju-52 przerobionych, podobnie jak małe Heinkle, na bombowce. „Ciotki-Ju" niosły ze sobą 250-kilogramowe bomby burzące i małe ładunki zapalające o wadze kilograma, zwane Termita VB/88. Atakowały w 20-minutowych odstępach przez dwie i pół godziny. Cel był już od jakiegoś czasu praktycznie niewidoczny, bo w dole unosiły się gęste kłęby kurzu i dymu gnane silnym, wiejącym z północny wiatrem nad przedmieścia, położone pomiędzy rzeką Oca, centrum Guerniki i dworcem. W tej sytuacji lotnicy celowali „w chmurę", czyli na „chybił trafił". Ten nalot spowodował największe zniszczenia. Ostatnie uderzenie miało miejsce o 19.30, choć piloci meldowali całkowity brak widoczności celu i skali dokonanych zniszczeń. Żaden z biorących udział w akcji samolotów nie oddał ani jednej serii z karabinu maszynowego do ludności cywilnej.

Dlaczego Guernica

Według najnowszego (2014) powstałego w koprodukcji baskijsko-niemieckiej, wspieranej przez lokalny rząd i Fundację im. Hansa Boecklera filmu dokumentalnego „Legion Condor – przeszłość i teraźniejszość zbrodni wojennej", sprawa jest jasna: terrorystyczny nalot na Guernicę miał być karą dla katolickich Basków za „zdradzieckie opowiedzenie się po stronie czerwonych". Według autorów filmu słowa te miał rzekomo wyrzec kardynał i arcybiskup Toledo Isidro Gomá y Tomá do nowo mianowanego dowódcy frontu głównego i szefa Narodowej Armii Północy gen. Emilia Moli. Pierwotnie Mola chciał zrównać z ziemią Bilbao, ale napotkał stanowczy sprzeciw Freiherra von Richthofena. Niemiec prawie w ataku szału miał wykrzyczeć, że nie niszczy się ośrodków przemysłowych, do których niebawem ma się wkroczyć. By załagodzić konflikt, szef sztabu Legionu Condor jakoby zaproponował wariant B – bombardowanie bezbronnej, pozbawionej przemysłu stolicy kraju Basków – Guerniki. W dodatku zniszczenie tego miasta pełnego narodowych baskijskich symboli, takich jak słynny dąb Gernikako Arbola, pod którym składali przysięgę dochowania wolności baskijskich królowie Kastylii, czy najstarszej siedziby władz miało złamać morale hardej ludności.

BOMBOWCE LEGIONU CONDOR ZOSTAŁY SKIEROWANE DO GUERNIKI, BY ZATRZYMAĆ I ZAKŁÓCIĆ WYCOFYWANIE SIĘ SIŁ LEWICY ANTYFRANKISTOWSKIEJ

Niestety, żaden z tych argumentów nie wytrzymuje konfrontacji z rzeczywistością, umiejscawiając ten film na długiej półce wypełnionej od początku do końca fałszywymi mitami. Po pierwsze, Guernica była ważnym węzłem komunikacyjnym. Przez tamtejszą stację kolejową wojska republikańskie przywoziły nowe oddziały i sprzęt. Po drugie, na przedmieściach znajdowały się dwie fabryki broni oraz jedna amunicji, które działały na potrzeby wojny pełną parą. W końcu po trzecie, front przebiegał zaledwie 14 km od miasta, a przez kamienny most i przedmieścia Renteria w Guernice wycofywały się za rzekę Oca stopniowo spychane przez frankistów oddziały baskijskich wojsk. Potwierdzają to zapisy w dzienniku von Richthofena, który jasno stwierdza, że bombowce „zostały skierowane do Guerniki, by zatrzymać i zakłócić wycofywanie się czerwonych, którzy musieli tamtędy przejść". Nie należy również zapominać, że dwa baskijskie miasta Guernica oraz Durango stanowiły potencjalne punkty największego oporu znajdujące się na drodze do serca przemysłowego Hiszpanii, czyli prowincji: Asturia, Santander i Vizcaya (Biskaja).

Niemiecki historyk wojskowości płk Klaus A. Maier z poczdamskiego MGFA jest autorem jednego z najpoważniejszych współczesnych opracowań niemieckiej interwencji w hiszpańskiej wojnie domowej i zniszczenia Guerniki (Die deutsche Intervention in Spanien und der „Fall Guernica"). Uczestniczył w wielkiej konferencji poświęconej temu tematowi, która odbyła się w Berlinie. Brali w niej udział historycy (hiszpańscy wówczas), obecny burmistrz Guerniki i naoczni żyjący jeszcze wtedy świadkowie. Zdaniem Maiera wszystkie drogi, którymi wycofywali się republikanie w kierunku Bilbao, prowadziły przez Guernicę.

„Na północ od miasta rozciągały się nieprzejezdne góry, a od południa z przeciwnej strony nacierały wojska gen. Franco. Aby przeszkodzić Republikanom w odwrocie, należało zerwać most na przedmieściach. Z powodu niedokładności ówczesnych urządzeń celowniczych bomby zrzucane na most chybiały. Freiherr von Richthofen, który zaplanował nalot, liczył się z taką możliwością i nakazał dodatkowo zniszczenie grupy domów na przedmieściu Renteria, których gruzy miały zablokować szosę – jedyną drogę odwrotu wojsk republikańskich" – tłumaczył Maier.

Narodziny mitu

Ojcem chrzestnym narracji, jakoby to nalot Legionu Condor i Aviazione Legionaria miał na celu sterroryzowanie ludności baskijskiej Guerniki, był „postępowy" publicysta brytyjski George Lowther Steer (1909–1944). W czasie hiszpańskiej

eprasa.pl 77c6269fd8

FOT. NAC

Defilada żołnierzy Legionu Condor ulicami Berlina, 9 czerwca 1939 r.

wojny domowej pracował jako specjalny korespondent wojenny i pisał m.in. do angielskiego „The Times". Jego relacja naocznego świadka zrównania miasta z ziemią poruszyła świat i stała się początkiem medialnego mitu tej tragedii. „Prawie cała starówka miasta, centrum baskijskiej tradycji i kultury, legła w gruzach – pisał na łamach „The Times" – zniszczona wczoraj po południu przez powietrzny rajd. Bombardowanie tego otwartego miasta położonego na tyłach linii frontu trwało ponad trzy godziny i przeprowadzone zostało siłami niemieckiej floty powietrznej. Atakowały je bombowce Junkers i Heinkel przy wsparciu myśliwców. [...] Te ostatnie pikowały nisko, odstrzeliwując ogniem karabinów maszynowych. [...] Guernica była obiektem pozbawionym militarnego znaczenia. [...] Atak miał na celu demoralizację ludności cywilnej poprzez zniszczenie kolebki ludu baskijskiego".

„Pisząc swój reportaż, Steer konfabulował" – stwierdza płk Maier z MGFA. „W nalocie na Guernicę nie wzięły udziału żadne myśliwce".

Czy więc treść korespondencji Steera rzeczywiście mijała się z prawdą? Gazeta ozdobiła ją nawet nagłówkiem „Atak z powietrza zniszczył Guernicę – relacja naocznego świadka". Okazuje się jednak, że Steera w dniu nalotu nie było w mieście. Ten sam dziennik pół wieku później przyznał, że w czasie kiedy na przedmieścia Guerniki sypały się bomby, korespondent wraz ze swoim kolegą z agencji Reutera wyjeżdżali akurat samochodem z Bilbao. Przejeżdżając przez wieś Ambacegui, dostali się pod ostrzał niemieckich samolotów. Zawrócili więc z drogi. Dopiero wieczorem, siedząc przy kolacji, dowiedzieli się, że Guernica została zbombardowana. Jak pisze „The Times", Steerowi udało się tam dotrzeć dopiero nocą i sporządzić relację, którą wysłał następnego dnia. Informacje otrzymane od Steera dodatkowo „obrobił" niezrównany szef propagandy Kominternu na Europę, niemiecki komunista Willi Münzenberg. Technikę jego działania opisał liberalny historyk brytyjski Norman Davis w dziele „Europe: A History": „Pracując z sowieckimi szpiegami, [Münzenberg] doprowadził do perfekcji sztukę wykonywania tajnej roboty w pełnym świetle dnia. Stworzył program całej serii kampanii protestu: »antymilitaryzm« i przede wszystkim »antyfaszyzm«. Celem tych akcji były życzliwe środowiska w Berlinie, Paryżu i Londynie. [...] Ludzie ci z oburzeniem zaprzeczyliby, że są manipulowani. Wśród nich znajdowali się pisarze, artyści, redaktorzy, lewicowi wydawcy oraz ostrożnie wyselekcjonowane gwiazdy – stąd Romain Rolland, Louis Aragon, André Malraux, Heinrich Mann, Bertold Brecht [...] oraz połowa członków [literackiego] Bloomsbery Set".

Poligon wrogów Polski

Herbert Southworth w pracy „Guernica! Guernica! A Study of Journalism, Diplomacy, Propaganda and History" argumentuje, że największy wkład w popularyzację mitu miał słynny artysta Pablo Picasso, autor wiekopomnego płótna symbolizującego tragedię miasta. Ale Picasso stworzył malarski symbol koronujący setki artykułów, jakie spłodziła „postępowa" prasa według wzorów Steera i Münzenberga. Obowiązującą wersję według narracji Steera, wzmocnioną malarskim przekazem Pabla Picassa, powtarzają prawie wszyscy historycy zajmujący się dziejami wojny w Hiszpanii.

Większość polskiego społeczeństwa nie wie, co naprawdę zdarzyło się w Hiszpanii. Sytuację tę umiejętnie wykorzystuje lewica.

„Legionem Condor, który bombardował Madryt, Barcelonę, dowodził hitlerowski generał von Richthofen" – stwierdził Eugeniusz Szyr, były członek komunistycznych Brygad Międzynarodowych, które walczyły w Hiszpanii po stronie Republiki. „Pięć miesięcy po tym, jak padł Madryt, von Richthofen kierował nalotami na Warszawę. To walczyć z nim było wbrew interesom Polski?".

Wolfram Freiherr von Richthofen nie był jeszcze wtedy generałem i dowódcą, tylko pułkownikiem i szefem sztabu. Legionem Condor dowodził zaś gen. Hugo Sperrle. Pod Madrytem piloci Legionu Condor bombardowali bolszewickie czołgi dowodzone przez gen. Pawłowa – tego samego, który 17 września 1939 r. stał na czele wojsk sowieckiego Frontu Zachodniego wkraczającego do Polski. Czy zatem pod Madrytem von Richthofen działał w interesie Polski i należy wystawić mu za to pomnik, czy to może Pawłow z Szyrem, strzelając do von Richthofena, bronili naszej racji stanu?

eprasa.pl 77c6269fd8

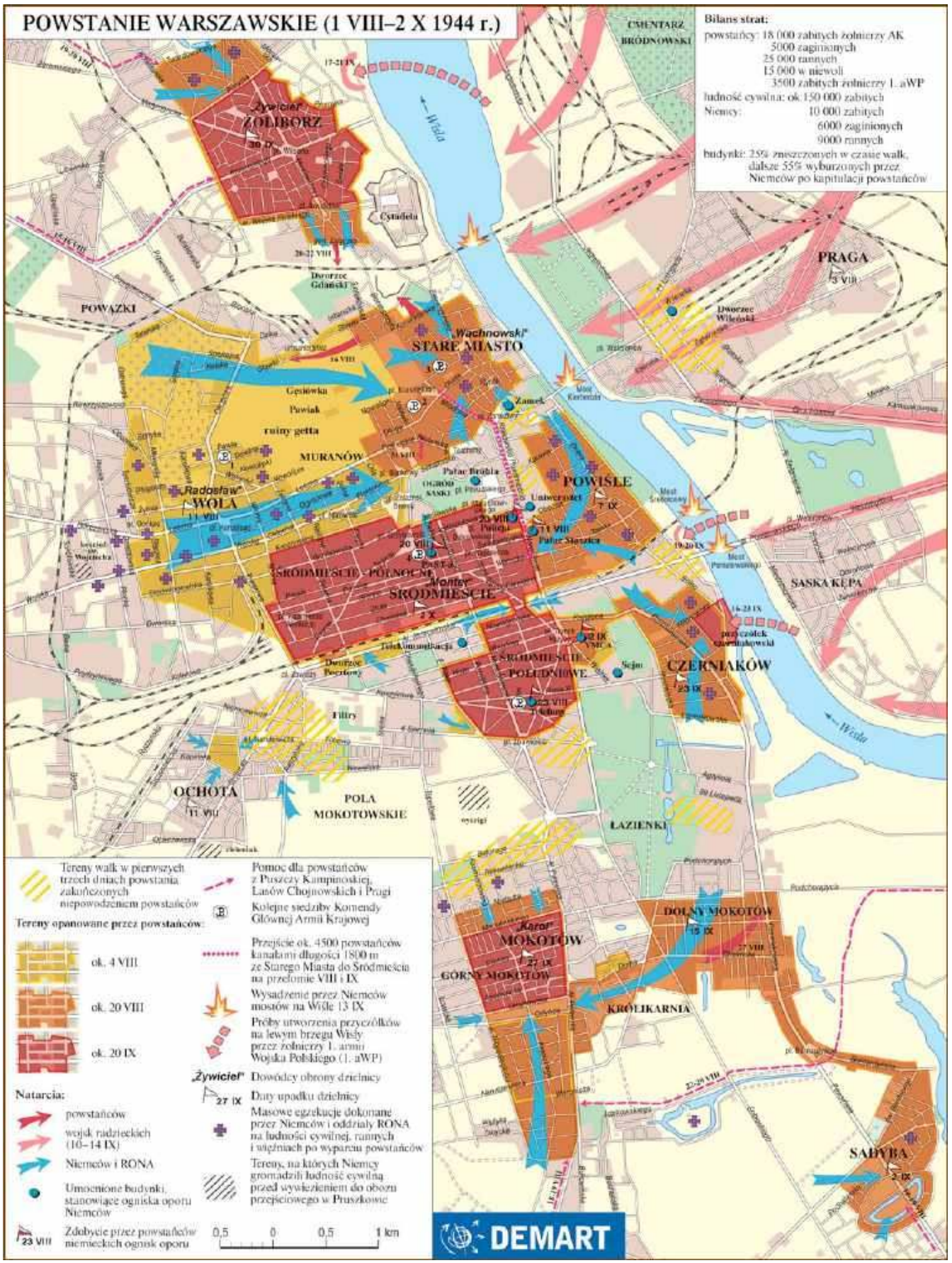

eprasa.pl 77c6269fd8

„MAMO, BARDZO BOLI. PA!”

„CHCIAŁABYM, ŻEBY TO JUŻ PRĘDZEJ...” – PAMIĘTNIK ANONIMOWEJ SANITARIUSZKI Z POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

PRZEMYSŁAW BENKEN

Weterani Zgrupowania Armii Krajowej „Radosław” wykonali po 1945 r. ogromną pracę, dokumentując swe wojenne dzieje. Najwięcej uwagi poświęcano zagadnieniom związanym z powstańczymi walkami o Warszawę, szczegółowo rekonstruując losy nie tylko poszczególnych batalionów, kompanii czy plutonów, lecz także pojedynczych osób. Co szczególnie godne odnotowania, nie zapominano o poległych koleżankach i kolegach. Pamięć tych ostatnich uczczono ekshumacjami z tymczasowych mogił w gruzach zniszczonego miasta i godnym pochówkiem ich szczątków, a także utrwalaniem na piśmie historii ich heroicznych czynów oraz okoliczności śmierci. Proces ten odbywał się przez wiele lat, często w niesprzyjających warunkach. Weterani Zgrupowania AK „Radosław” cierpieli represje ze strony Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, którego funkcjonariusze oskarżali ich o chęć zbrojnego obalenia władającego wówczas Polską stalinowskiego reżimu. Dziesiątki kobiet »

FOT. ARCHIWUM AUTORA; SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 77c6269fd8

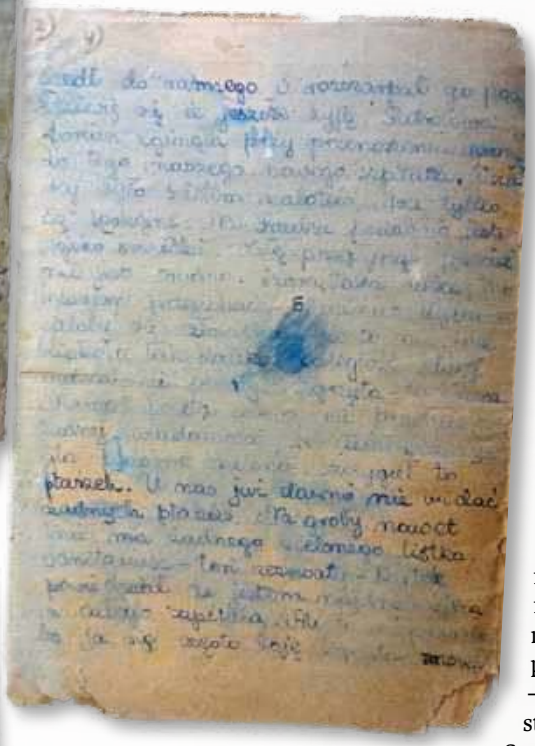

» i mężczyzn, w tym inwalidów wojennych, aresztowano i wtrącono do więzienia. Jan Rodowicz „Anoda" zginął w czasie śledztwa. Wiele innych osób doświadczyło tortur fizycznych i psychicznych, przez które poniosło trwały uszczerbek na zdrowiu. Mimo to weterani Zgrupowania AK „Radosław" zdołali po latach zebrać imponujący zasób wiedzy na temat swej historii w okresie okupacji niemieckiej. Ten niezwykle interesujący materiał źródłowy, przechowywany w Archiwum Akt Nowych, jest w coraz większym stopniu upowszechniany w publikacjach naukowych i popularnonaukowych.

Dziennik z pierwszej ręki

W jednej z jednostek archiwalnych zdeponowanych w AAN znajduje się dokument moim zdaniem szczególny, który zasługuje na specjalną uwagę. Jest to oryginalny dziennik anonimowej sanitariuszki napisany w trakcie powstania warszawskiego, który ostatecznie trafił do akt Batalionu „Miotła". Nie jest on zbyt obszerny, chociaż jego treść wywiera na czytelniku duże wrażenie. Odbijają się w niej bowiem doskonale różnorodne emocje, jakich młoda dziewczyna doświadczyła w kolejnych dniach ciężkich walk. Jest więc początkowa radość wynikająca z możliwości podjęcia walki z okupantem i przeświadczenia, że zakończy się ona bardzo szybkim zwycięstwem. Brak tego ostatniego przynosi następnie pierwsze, nieznaczne początkowo objawy niepokoju, które szybko ustępują niezłomnemu poczuciu obowiązku, racjonalizacji wydarzeń oraz patriotyzmowi sanitariuszki.

Warto dodać, że autorka zapisków poszła do powstania, pozostawiając w domu matkę – choć za jej zgodą – co powodowało smutek i rozterkę związane z obawą o nieznany losy rodzicielki. Kolejne dni przynoszą rozczarowanie przebiegiem walki, a ogromna ilość ludzkiego cierpienia, które autorka obserwuje w kolejno bombardowanych i obracających się w zgliszcza szpitalach, wywiera na niej głębokie piętno. Dziewczyna widzi, jak umierają nie tylko jej pacjenci, ale też koleżanki, koledzy oraz lekarze, którzy giną od niemieckiego ostrzału i bombardowań. Mimo to sanitariuszka nie załamuje się i trwa do końca na swoim posterunku – najważniejsi są dla niej ranni, którym zawsze spieszy na pomoc. O niezwykle wrażliwej osobowości dziewczyny, która w tym dopiero okresie uwypukla się w pełni, świadczy to, że mimo tak potężnego nawału pracy i okropieństw rozgrywających się wokół pozwala sobie na kilka smutnych refleksji. Nieuchronnie zbliża się jednak tragiczny finał. Poranione odłamkami nogi i plecy przykuwają autorkę pamiętnika do szpitalnego łóżka i uniemożliwiają dalsze niesienie pomocy potrzebującym. Co dzieje się później – nie wiadomo. Wiele wskazuje niestety na to, że sanitariuszka zginęła na Starym Mieście. Możliwe, że jej zapiski zostały znalezione w trakcie wspomnianych wyżej ekshumacji ciał poległych powstańców. Silny przekaz zawarty w treści pamiętnika wzmacnia jego materialna forma, która w zadziwiający sposób dopasowuje się do słów zapisanych przez autorkę. Pierwsze karty są doskonale czytelne, zapisane równym pismem. Bije z nich entuzjazm. Następnie pojawiają się coraz większe plamy, odbarwienia, pierwsze luki w tekście przywołujące obraz okaleczonych ludzi i miasta. Największe wrażenie robią wszak ostatnie zdania, kreślone w trudnych warunkach przez osobę bez wątpienia odczuwającą silny ból fizyczny i tęsknotę za najbliższą jej osobą – matką. Niemniej autorka zadaje sobie w tak ciężkim momencie trud wspomnienia o swym marzeniu – wolnej Polsce, która „może kiedyś będzie". Agonia jednostki i agonia Warszawy, a w symboliczny sposób także świata II Rzeczypospolitej, zlewają się w ten sposób w jedno.

Poniżej zaprezentowano pełny tekst obejmujący okres od 1 do 25 sierpnia 1944 r.

FOT. ARCHIWUM AUTORA; SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 77c6269fd8

1 sierpnia 44

Dziś wybuchło powstanie. Mama płakała, jak wychodziłam z domu. Ale w końcu powiedziała, że dobrze – niech idę. Każdy jak umie musi walczyć z Niemcami. Dostałam puł [pół] kilo boczku. Mam pojutrze zajść do domu, dowiedzieć się, co słychać. Ale czy to tak długo potrwa? Dziewczynki w naszym punkcie są miłe i takie dobre. Hania dała mi trzy bandaże i skarpetki.

5 sierpnia 44

Do domu wcale się nie mogłam dostać. Przez Krakowskie Przedmieście wcale nie można przejść. Mamusia będzie się niepokoić – ale za tydzień to na pewno już będziemy całą rodziną razem. Jest deszcz, dostałam taką nieprzemakalną bluzę, co się nazywa panterka [zdobyczna niemiecka bluza maskująca]. Ciągle jest dużo rannych, ale nie bardzo ciężko. Mamy dla nich biszkopty. Strasznie jest patrzeć, jak ktoś umiera. Jedna staruszka umarła dzisiaj w nocy – nie mogłyśmy jej pomóc. Danka od patrolowej [słowo nieczytelne] ma przestrzeloną rękę. Muszę być odważna. Muszę być dzielna.

8 sierpnia 44

Przenieśliśmy szpital. Byłam przy ataku czołgów od Podwala. Urszula ciężko ranna. A takie miała jasne włosy. Mamo! Mamo! Wcale nie jest tak łatwo być dzielną. Mamy za mało bandaży. Lekarstwa i inne środki opatrunkowe mamy z apteki Wendego [Krakowskie Przedmieście 55]. Sztukasy [niemieckie bombowce nurkujące] już wyją. Ale najgorsze to te miny powietrzne, co się nazywają krowy [niemieckie wieloprowadnicowe wyrzutnie rakietowe kalibru 150 mm]. Jestem głodna, ale to nic; trzeba się uśmiechać. Przecież za kilka dni będziemy wolni. Trzeba się przecież trochę pomęczyć, żeby zdobyć taką rzecz, jak prawdziwa wolność. Jak zdam maturę, pójdę na medycynę. Wczoraj była u nas amputacja. Trzymałam tę nogę, co ją obcinali. Gdzie uprać panterkę? Cała jest zachlapana krwią. Doktor Michał jest bardzo dobry. Dał mi tabliczkę czekolady i powiedział, żebym się nie smuciła. Mamusiu, kiedy Ciebie zobaczę?

15 sierpnia 44

Zabite: Jula, Muszka i Wika. Ewa straciła oczy. Hanię wczoraj przysypało. Odkopali ją po pięciu godzinach. Szła po igły do strzykawki. Teraz ma siwe włosy (pół grzywki). Woda zalewa piwnice. Wszystko płonie. Nawet nie wiem, czy umiem się jeszcze modlić. W kościele św. Jacka [Freta 10] jest szpital.

20 sierpnia 44

Znowu przeniosłyśmy szpital. Ranni leżą na ziemi na kocach. Po dwóch, po trzech na łóżkach. Wody nie ma. Światła też nie ma. Amunicji i broni też nie ma. Czeka nas to, co i Wolę spotkało. Doktor Michał nie żyje. Szedł do rannego i rozerwał go pocisk. Dziwię się, że jeszcze żyję. Patrolowa [nieczytelne słowo] zginęła przy przenoszeniu rannych do tego nowego szpitala. Wczoraj było siedem nalotów. Noce tylko są spokojne. Na Pradze podobno jest wojsko sowieckie. Wisłę przepłynąć przecież nie jest trudno. Szara taka rzeka. Tramwajem przejechać pięć minut. Wydawałoby się człowiekowi, że to nie tak bliska, a tak daleka odległość, której można nie przeżyć. Zgrzyta – to krowa. Mamo! Poczta polowa nie przynosi żadnej wiadomości od Ciebie. Szczygła [nieczytelny fragment]. Szczygieł to ptaszek. U nas już dawno nie widać żadnych ptaków. Na groby nawet nie ma żadnego zielonego listka. Sanitariusz – ten zezowaty – Kajtek powiedział, że jestem najdzielniejsza z całego szpitala. Ale to nieprawda, bo ja się często boję [nieczytelny fragment]. Z Hanią śpiewaliśmy wieczorem piosenki nowym chorym, wszystkie jakie znamy. Muszę lecieć, nowych rannych przynieśli.

23 sierpnia 44

W nocy szczury objadły palec jednemu umarłemu. Już nie ma żadnej nadziei. Chyba żeby... Ech, nie warto o tym myśleć. Tyle, tyle ludzi ginie. Z głodu też umierają. Jeszcze muszę być dzielna dla chorych, im nie można pokazać, że się nie wierzy w to, że się nie wyjdzie z tego piekła.

24 sierpnia 44

Mam obie nogi ranne odłamkami. Boli. Leżę, teraz koło mnie chodzą. Plecy też mam poparzone. Ta piekielna ulica Freta. Poszłam po opatrunki, bo zabrakło. Bardzo, bardzo boli. Mamusiu, żebyś wiedziała, naprawdę starałam się być dzielną.

25 sierpnia 44

Nie mam siły pisać. A może kiedyś będzie Polska. Mamo, bardzo boli. Pa!

eprasa.pl 77c6269fd8

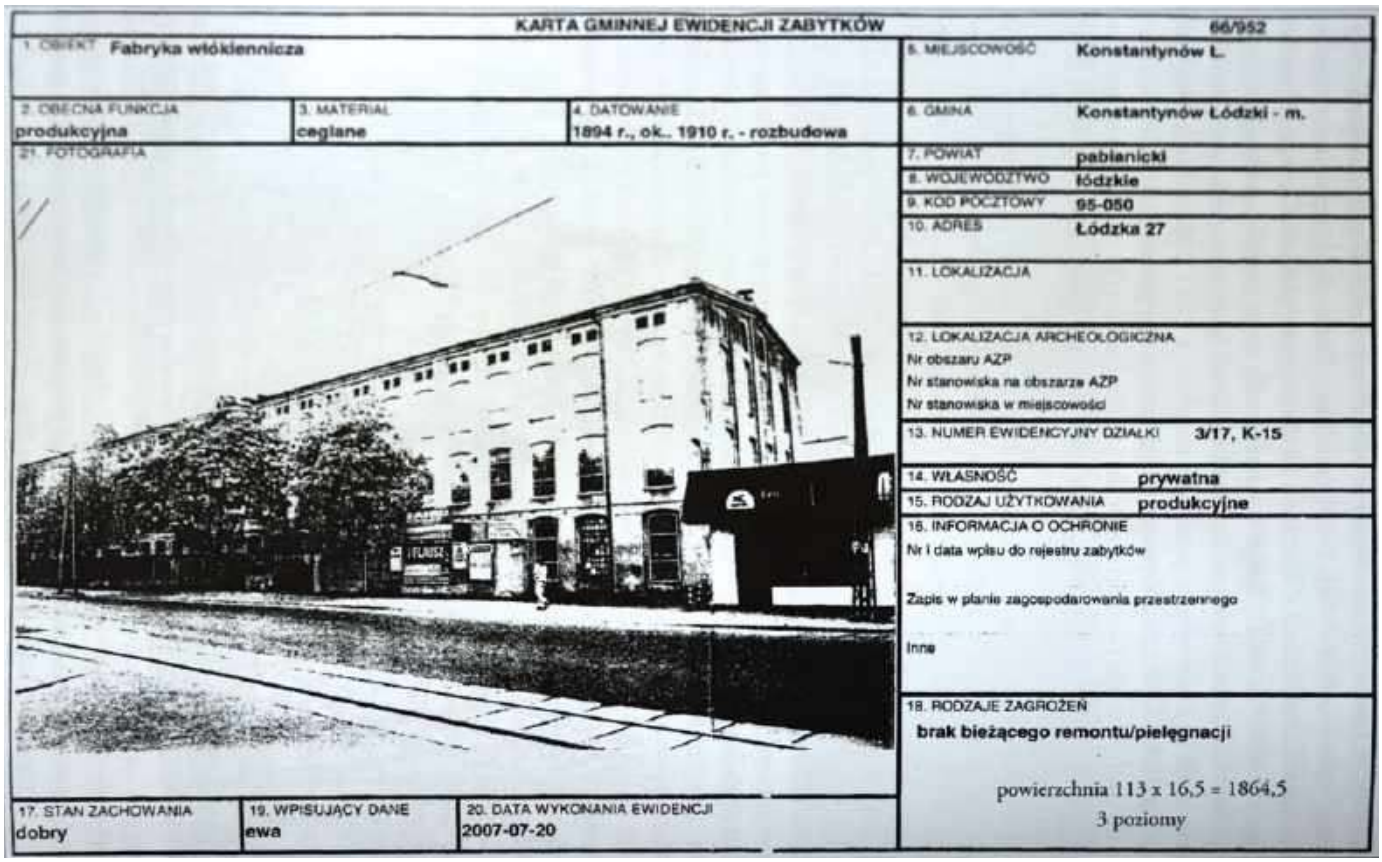

KARTA GMINNEJ EWIDENCJI ZABYTKÓW 66/952

1. OBIEKT: Fabryka włókiennicza
2. OBECNA FUNKCJA: produkcyjna
3. MATERIAŁ: ceglane
4. DATOWANIE: 1894 r., ok.. 1910 r. - rozbudowa
5. MIEJSCOWOŚĆ: Konstantynów Ł.
6. GMINA: Konstantynów Łódzki - m.
7. POWIAT: pabianicki
8. WOJEWÓDZTWO: łódzkie
9. KOD POCZTOWY: 95-050
10. ADRES: Łódzka 27
11. LOKALIZACJA
12. LOKALIZACJA ARCHEOLOGICZNA
Nr obszaru AZP
Nr stanowiska na obszarze AZP
Nr stanowiska w miejscowości
13. NUMER EWIDENCYJNY DZIAŁKI: 3/17, K-15
14. WŁASNOŚĆ: prywatna
15. RODZAJ UŻYTKOWANIA: produkcyjne
16. INFORMACJA O OCHRONIE
Nr i data wpisu do rejestru zabytków
Zapis w planie zagospodarowania przestrzennego
Inne
17. STAN ZACHOWANIA: dobry
18. RODZAJE ZAGROŻEŃ: brak bieżącego remontu/pielęgnacji
19. WPISUJĄCY DANE: ewa
20. DATA WYKONANIA EWIDENCJI: 2007-07-20
21. FOTOGRAFIA
powierzchnia 113 x 16,5 = 1864,5
3 poziomy

FOT. ARCHIWUM MARIANNY GRYNI / REPRODUKCJA ZUZANNA KRUSCHEWSKA (x2)

Dokument dotyczący fabryki w Konstantynowie. Budynek od strony ulicy nie przypomina obozu, a jednak nim był

LAGER IN KONSTANTYNOW

ANNA JAGODZIŃSKA

PRZEZ OBÓZ KONCENTRACYJNY W KONSTANTYNOWIE ŁÓDZKIM W LATACH 1940–1945 PRZESZŁO BLISKO 42 TYS. OSÓB. NIEKIEDY JEDNOCZEŚNIE PRZEBYWAŁO TAM 5 TYS. UWIĘZIONYCH. LICZBA OFIAR IDZIE W TYSIĄCE, ALE DO DZISIAJ ZIDENTYFIKOWANO JEDYNIE 700

Na mocy zarządzenia Reichsführera-SS Heinricha Himmlera pod nazwą „Aktion zur Zerschlagung der polnischen katolischen Kirche im Reichsgau Wartheland" 6 i 7 października 1941 r. Niemcy aresztowali prawie wszystkich, pozostałych jeszcze w swoich parafiach księży z terenów wcielonych do III Rzeszy. Była to ostatnia, ale i największa fala aresztowań polskiego duchowieństwa, która objęła cały obszar Reichsgau Wartheland.

Niemcy zdawali sobie sprawę, że Kościół katolicki w Polsce pozostał jedyną ostoją tożsamości narodowej i kulturowej, postanowili go zatem ostatecznie zniszczyć. W ciągu dwóch dni aresztowano 470 księży w diecezjach: łódzkiej, częstochowskiej, włocławskiej, archidiecezji poznańskiej i gnieźnieńskiej. Większość zatrzymanych przywieziono do niemieckiego obozu w Konstantynowie Łódzkim przy ul. Łódzkiej 27. Niemiecki obóz Konstantynów Łódzki (Durchgangslager Konstantinow lub Lager in Konstantynow), który w dokumentacji niemieckiej występuje jako przesiedleńczy, był w rzeczywistości obozem typu koncentracyjnego. Został utworzony

eprasa.pl 77c6269fd8

przez Niemców w leżącym niedaleko Łodzi Konstantynowie na przełomie 1939–1940 r. w budynku głównym zlikwidowanej fabryki włókienniczej. Lager in Konstantynow swoją oficjalną działalność rozpoczął 5 stycznia 1940 r. W tym czasie w obozie w Konstantynowie Łódzkim przebywali głównie więźniowie wysiedleni z terenów wcielonych do Niemiec: z Wielkopolski, Pomorza i częściowo z Polski Centralnej, z tzw. Kraju Warty. Niemcy po agresji na Polskę we wrześniu 1939 r., w ramach „Inteligenzaktion" realizowali plan niszczenia polskiej inteligencji, w tym duchowieństwa. Część ludności polskiej, zgodnie z zamierzeniem niemieckich władz okupacyjnych, miała zostać fizycznie zlikwidowana, część zgermanizowana, a pozostałą postanowiono przekształcić w tanią siłę roboczą na usługach „wyższej rasy", niezbędną do funkcjonowania niemieckiej gospodarki. W Lager in Konstantynow umieszczano całe rodziny, czasami nawet trzypokoleniowe. Zorganizowane akcje „wypędzeń" polskich rodzin na terenie Wielkopolski rozpoczęły się w listopadzie 1939 r. Większość wywożono do Konstantynowa i umieszczano we wspomnianej fabryce przy ul. Łódzkiej 27. Więźniami tego obozu byli także mieszkańcy Łodzi. Pierwszych „wypędzonych" z Wielkopolski przywieziono do obozu w Konstantynowie w styczniu 1940 r. Do 1941 r. pobyt w obozie był stosunkowo krótki – trwał od kilku do kilkunastu tygodni. Po kilkudniowym pobycie zdrowych więźniów wysyłano do Generalnego Gubernatorstwa lub na roboty przymusowe do Niemiec. Więźniów starych, chorych i dzieci wywożono do niemieckich obozów koncentracyjnych lub zagłady. Wiosną 1941 r. wobec wstrzymania akcji wysiedleńczej obóz stopniowo zmieniał się w swego rodzaju więzienie, w którym przetrzymywano osoby przez rok i dłużej, bez decyzji i perspektyw co do dalszego ich losu.

Obóz koncentracyjny

Prof. dr hab. Edward Serwański z Zakładu Badania Dziejów Okupacji Hitlerowskiej w Polsce z Instytutu Zachodniego w Poznaniu po analizie akt śledczych i innych dokumentów dotyczących obozu w Konstantynowie w piśmie z 25 stycznia 1983 r. w wydanej przez siebie opinii stwierdza, że „hitlerowski obóz w Konstantynowie funkcjonował od stycznia 1940 r. do zakończenia wojny [...]. Na przestrzeni tego czasu przechodził różne formy rozwojowe: początkowo był obozem przesiedleńczym dla wysiedlonych Wielkopolan, aby od 1 kwietnia 1941 r. stać się obozem o zaostrzonym rygorze typu koncentracyjnego, stając się katownią dla masowego wyniszczenia i eksterminacji Polaków. Termin zmiany charakteru obozu w Konstantynowie, z przejściowego na obóz typu koncentracyjnego, należy przyjąć na dzień 1 kwietnia 1941 r.". Od 1 kwietnia 1941 r. więzionych przetrzymywano nawet dwa lata bez możliwości kontaktu ze światem zewnętrznym. Bywały okresy, kiedy w obozie jednocześnie przebywało 5 tys. osób. Przez obóz przeszło blisko 42 tys. osób, zmarły tysiące, z których do dzisiaj zidentyfikowano jedynie 700. Umieszczeni w zrujnowanej fabryce więźniowie (kobiety, mężczyźni, dzieci, ludzie starsi) znaleźli się w ekstremalnych warunkach. Przytaczam tekst z zeznania więźnia obozu, R. Zientarskiego: „Obóz mieścił się w gmachu fabrycznym niedostosowanym na pomieszczenie tylu ludzi. Przeciętnie było tam po kilka tysięcy ludzi. Nie było tam nawet prycz, ludzie spali pokotem na gołej podłodze. Wyżywienie było bardzo złe i w ilościach niewystarczających, ludzie puchli z głodu, gotowano zupę z pokrzyw [...]. Przypominam sobie, że ówczesny komendant to był zawodowy bokser. Bił ludzi gdzie popadnie, bez powodu. Bili też i inni". Podobne zeznanie więźnia M. Płóciennika: „Oprócz ludzi, którzy przejściowo byli w obozie, była grupa składająca się z poznaniaków. Byli bez wody, ubikacje zbyt szczupłe na taką ilość osób znajdowały się na podwórzu. Nie było prycz do spania, a nawet miejsca do leżenia. Byli to ludzie prawie sami chorzy, kalecy, dużo dzieci, których rodziców wywieziono np. do Oświęcimia. Higieniczne warunki były okropne, bez pościeli, nawet bez słomy na podłodze, bez koców. Wszy i pluskwy nas zjadały. Nie było możliwe zdobycie kropli ciepłej wody. Wyżywienie w obozie było najgorsze, jakie można sobie wyobrazić. Używano nas do ciężkich robót. [...] Komendant był brutalny, obrzucał nas wyzwiskami, miał pomocnika Turlę, który bił więźniów okrutnie. Wrzucił jednego z więźniów do dołu biologicznego (kloacznego)". Na terenie obozu zorganizowano warsztat pracy niewolniczej. Na skutek złych warunków sanitarnych i ogólnych warunków bytu wybuchały w obozie epidemie dyzenterii, biegunki i tyfusu. 16 sierpnia 1943 r. obóz dla więźniów zlikwidowano i utworzono obóz dla dzieci i młodzieży radzieckiej (z Białorusi, Ukrainy i terenów rosyjskich) wywiezionych przez Niemców z zajętych terenów Związku Radzieckiego i uznanych za nadających się do germanizacji. Ostatecznie obóz został zlikwidowany 18 stycznia 1945 r.

Kapłani więźniowie

W wyniku aresztowań 6–7 października 1941 r. w Konstantynowie Łódzkim przy ul. Łódzkiej 27 umieszczono 310 księży. Pozostałych aresztowanych księży umieszczono w klasztorze w Lądzie, Szczeglinie i Forcie VII w Poznaniu. We wspomnieniach ks. Jana Kabzińskiego, więźnia KL Dachau, drukowanych w „Słowie Powszechnym" w latach 1955–1968, czytamy: „Działo się to w Łęczycy 6 października 1941 r. Słyszę pukanie do drzwi. Wchodzą miejscowi gestapowcy. Szybko nakazują mi się ubierać, robią dokładną rewizję całego mieszkania. Zaprowadzili mnie na posterunek powiatowej Schupo. Tam zrozumiałem, że nie aresztowano tylko mnie, ale że jest to z dawna oczekiwana likwidacja duchowieństwa z naszych terenów, gdyż żandarmi wprowadzali księży z całego powiatu. Zajeżdża autobus. Jedziemy w stronę Łodzi. Autobus zawozi nas do świeżo założonego obozu w Konstantynowie. Tutaj zaroiło się od księży. Zwieziono duchowieństwo z trzech rejonów tajnej policji. Udajemy się do hali fabrycznej, wyznaczonej na nasze wspólne mieszkanie [...]. Kazano nam spać na gołej podłodze. Mimo obficie wylanego lizolu kąśliwe owady nie pozwalały nam spać. Pierwszego dnia pobytu w Konstantynowie »

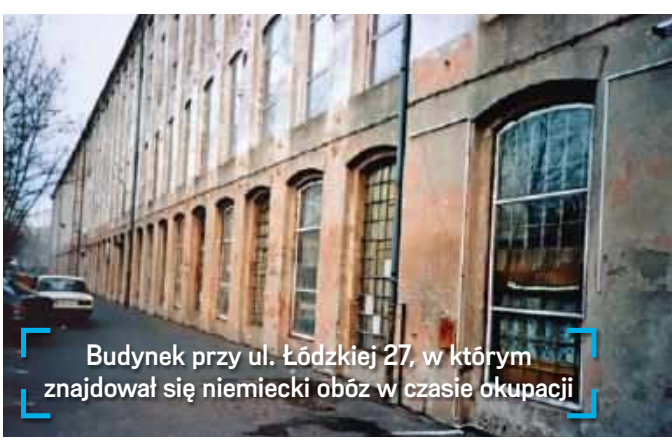
Budynek przy ul. Łódzkiej 27, w którym znajdował się niemiecki obóz w czasie okupacji

eprasa.pl 77c6269fd8

Ks. Ludwik Bujacz

» oglądaliśmy butę niemiecką w całej okazałości. Przez salę przeszedł z głową wzniesioną do góry młodziutki oficer SS. Patrzył on na nas wszystkich wzrokiem triumfu i pogardy. Oczywiście musieliśmy wstać na jego powitanie, za nim kroczyli pokornie podoficerowie esesmańscy. Z rąk księży odmawiających modlitwy wytracali brewiarze, oburzeni, że polskie »pfafy« ośmielają się modlić do »jakiegoś polskiego Boga«, gdy przechodzi obok nich niemiecki oficer [...]". Osadzeni księża w czasie trzytygodniowego pobytu byli brutalnie traktowani, brakowało urządzeń sanitarnych, ciepłej wody, nie było pomocy medycznej. Księży żywiono zgniłymi ziemniakami, zupą z pokrzyw. Pierwsze trzy dni księża spali na gołych deskach w strugach deszczu, który wdzierał się przez dziury w dachu. Zakazano rozmów, a za jakiekolwiek niepodporządkowanie się aresztowanych księży bito i maltretowano. Komendant obozu za odmawianie modlitwy bił księży po twarzy. Niektórzy księża byli zmuszani do siedzenia w bezruchu przez kilka dni i nocy na krzesłach, bez możliwości spania. Wszystkie te niewygody i szykany były szczególnie uciążliwe dla starszych księży. Niespodziewanie dnia 28 października 1941 r. Niemcy wywieźli księży z Konstantynowa do założonego 22 marca 1933 r. niemieckiego obozu koncentracyjny Dachau, centralnego ośrodka eksterminacji duchowieństwa polskiego. Do tego transportu dołączyli pozostałych aresztowanych 6–7 października księży. 30 października 1941 r. przekroczyli bramę obozową Dachau z cynicznym napisem „Arbeit macht frei".

Odsłonięcie w 2016 r. pamiątkowej tablicy przy terenie byłego obozu z udziałem abp. Marka Jędraszewskiego

FOT. ARCHIWUM AUTORKI (2X)

Kolejny etap – Dachau

Los księży wywiezionych z obozu w Konstantynowie Łódzkim do KL Dachau był tragiczny. Zima roku 1941/1942 była wyjątkowo mroźna, a wszyscy księża z tego transportu nie otrzymali ciepłej odzieży. Z odkrytymi głowami i bez skarpet, w drelichach musieli godzinami przebywać na placu apelowym. Przybyli do Dachau także po zabraniu wszystkich „przywilejów" polskim kapłanom, m.in. odprawiana mszy św. w kaplicy w bloku księży niemieckich czy zwolnienia z pracy (z wyjątkiem noszenia ciężkich kotłów z jedzeniem dla całego obozu), ponieważ 18 września 1941 r. polscy kapłani, więźniowie Dachau odmówili zapisania się na listę narodowości niemieckiej. Już następnego dnia wyznaczono ich do wyczerpującej pracy na wielohektarowych plantacjach. Ksiądz Ludwik Bujacz z diecezji łódzkiej, więzień Konstantynowa, od 30 października 1941 r. więzień KL Dachau w wydanych w 1946 r. w Łodzi wspomnieniach „Obóz koncentracyjny w Dachau..." pisał: „Do Dachau przybyliśmy o godz. 4-ej. [...] Na dworze był śnieg i mróz. Czekaliśmy tutaj wygłodzeni i zmarznięci do godziny 6-ej. O tej godzinie przyszło po nas 60 SS-manów z karabinami, trzymając je przy sobie jak na polowaniu. Gdyśmy wyszli z pociągu, kazano nam się ustawić piątkami i tak w długiej kolumnie, pędzili nas trzy kilometry do obozu. Z każdej strony szło przy nas po 30 SS-manów. Pędzili nas jak zbrodniarzy. Po 25 minutach forsownego marszu przybyliśmy do bram obozu. [...] Przez kraty bramy zobaczyliśmy, po raz pierwszy, przyodzianych w pasiaki więźniów reżimu hitlerowskiego. Jedni z nich ciągnęli wozy załadowane różnego rodzaju śmieciem, inni, wychudzeni, zwartymi szeregami piątkowymi maszerowali z placu zbiórkowego do swoich bloków. [...] Musieliśmy się rozebrać i oddać wszystko, co mieliśmy ze sobą. Potem nas ostrzyżono, wydezynfekowano, każdy z nas otrzymał więzienne pasiaste łachmany, często za krótkie i za ciasne. Czapek i skarpet nam nie dano, mimo że na dworze [był] śnieg i mróz. Na nogach mieliśmy tylko pantofelki na drewnianej podeszwie, z płóciennym wierzchem. Po ciepłej kąpieli w lichym ubraniu ustawiliśmy się piątkami i wyruszyliśmy na blok 28, który był naszym miejscem zamieszkania". Więzień Dachau, jezuita Adam Kozłowiecki, po wojnie kardynał w Zambii, w pamiętniku „Ucisk i strapienie" wspominał: „Przybył transport około 500 polskich księży! Mamy nowy dowód, że wobec duchowieństwa polskiego zastosowano jakiś ostrzejszy kurs. [...]. Wśród nowo przybyłych księży znajduje się wielu staruszków. Przykro patrzeć, jak ci staruszkowie idą, a raczej wloką się na apele w najgorszych ubraniach, ciągnąc drewniane pantyny na bosych nogach! Jest już koniec października, zimno i przymrozki [...]. Zdajemy sobie sprawę, że niewielu z tych księży przetrzyma. Nikt ich nie będzie mordował, »umrą sami«!". Do wyzwolenia 29 kwietnia 1945 r. przez obóz w Dachau przeszło 2720 duchownych katolickich z 21 krajów. Księży polskich było najwięcej – 1777 (1773). Zmarło 868 na 1030 wszystkich duchownych, którzy zginęli w tym obozie.

Upamiętnienie

Staraniem abp. ks. Marka Jędraszewskiego, ówczesnego metropolity łódzkiego, oraz burmistrza Konstantynowa Henryka Brzyszcza w 2016 r. przy byłym obozie w Konstantynowie Łódzkim przy ul. Łódzkiej 27 umieszczono dwie nowe upamiętniające tablice. Jedna z nich informuje o Niezłomnych – Wiernych Bogu i Ojczyźnie, kapłanach polskich uwięzionych w dniach 6–7 października 1941 r. przez niemieckich okupantów w obozie koncentracyjnym w Konstantynowie i wywiezieniu ich do Konzentrationslager Dachau 30 października 1941 r. Z drugiej tablicy dowiadujemy się o uwięzieniu w tym budynku tysięcy Polaków i osób innych narodowości w latach 1940–1945. Tablice te informują przechodnia, że w tym miejscu więziono Polaków i polskich kapłanów – by nie zapomnieć i by nigdy więcej nie powtórzyła się taka tragedia.

eprasa.pl 77c6269fd8

ISLAMSCY REKRUCI

ZIEJĄCY NIENAWIŚCIĄ DO WSZYSTKICH LUDZI O „NIEARYJSKIM WYGLĄDZIE" ADOLF HITLER AKURAT Z MUZUŁMANAMI NIE MIAŁ WIĘKSZYCH PROBLEMÓW. BO BYLI MU BARDZO POTRZEBNI DO REALIZACJI PLANÓW PODBOJU ŚWIATA

WOJCIECH OSIŃSKI

II druga wojna światowa dotarła także do wielu krajów zamieszkanych przez muzułmanów. Na początku lat 40. XX w. ok. 150 mln wyznawców islamu mieszkało w krajach podbitych przez Francję i Wielką Brytanię. Zachodnie mocarstwa usilnie zabiegały o sympatię muzułmanów w Afryce i Azji, założywszy, że z ich pomocą przechylą szalę zwycięstwa na swoją stronę. O poszerzenie wpływów oraz zdobycie dogodnych pozycji walczył także Józef Stalin. W obrębie granic rosyjskiego imperium znalazło się wówczas ok. 20 mln mahometan, w sojuszu z którymi sowiecki dyktator upatrywał nadzieję zwycięstwa. Z drugiej strony zarówno Stalin, jak i przywódcy zachodnich państw wiedzieli, że poddane im plemiona, grupy etniczne oraz narody, trzymane często w posłuchu narzędziami przemocy i represji, tylko czekają na moment wyzwolenia się z kolonialnych oków.

O tych podziałach wiedziały też doskonale państwa Osi, oczywiście dokładając wszelkich starań, by je wzmocnić. Po ataku na Rosję sowiecką, czyli w latach 1941–1942, Hitler dostrzegł w muzułmanach niebagatelny polityczny potencjał. Wraz z postępującą ekspansją III Rzeszy Führer próbował zaskarbić sobie ich zaufanie, odwołując się do argumentu posiadania wspólnego wroga. To dotyczyło przede wszystkim Żydów, uchodzących w świecie arabskim od stuleci za wrogów numer jeden. Historia dowiodła, że rachuby niemieckiego despoty nie były bezpodstawne.

Instytucje islamskie

Wkraczając do ogarniętych wojną krajów w Afryce Północnej, na Bałkanach, Bliskim Wschodzie, Kaukazie i Półwyspie Krymskim, naziści ostentacyjnie okazywali swoje sympatie do mahometan, występując w rolach obrońców islamu. Oczywiście niebezinteresownie. Za otrzymane łaski dziesiątki tysięcy sprawnych fizycznie muzułmanów miały włożyć mundury Wehrmachtu lub SS. Najwięcej rekrutów pochodziło ze Związku Sowieckiego, a także z krajów bałkańskich. Jednocześnie w miastach III Rzeszy pojawiały się oficjalnie różnorakie instytucje islamskie. To właśnie w tym okresie powstał w Berlinie Islamski Instytut Centralny, a na tętniącej życiem arterii Kurfürstendamm otwarto pierwsze restauracje arabskie. Włączeni w koncyliacyjną propagandę niemieccy muzułmanie nawoływali zaś swoich religijnych pobratymców na »

Nazistów i wyznawców islamu (szczególnie muzułmańskich rekrutów SS) łączyła nienawiść do Żydów

FOT. ZBIORY AUTORA

świecie do solidarności z nazistami. W 1942 r. ofensywa Hitlera osiągnęła terytorialnie punkt kulminacyjny; żołnierze Wehrmachtu byli już obecni od Wysp Normandzkich na zachodzie, poprzez Kaukaz na wschodzie i Skandynawię na północy, na południowej Saharze kończąc. W podbitych krajach Południa Niemcy często spotykali zdezorientowanych muzułmanów, niepewnych przyszłości, ale nadal zarządzających ważnymi metropoliami, takimi jak Tunis, Sarajewo, Bakczysaraj. Wówczas Hitler myślał o jak największym „Lebensraumie", jeśli uda mu się podbić kraje islamskie położone na obszarze Eurazji. Polityka nazistów przewidywała nie tylko kontrolę nad przebiegającą linią i zapleczem frontu, ale też wywoływanie fermentu narodowościowego. To dotyczyło przede wszystkim południowych granic Związku Sowieckiego, jak i państw skolonizowanych przez Wielką Brytanię i Francję – głównie w Afryce, Azji i na Bliskim Wschodzie. Sam Hitler gardził muzułmanami, ale rozprawienie się z nimi było planem odłożonym na później, po ostatecznym triumfie III Rzeszy i zapewnieniu Niemcom „przestrzeni życiowej".

Polityczne marionetki

Zająwszy tereny zamieszkane przez muzułmanów, naziści nie tylko kontrolowali je twardą ręką, ale też dokładali wszelkich starań, by zwerbować rekrutów i podsycić ich nienawiść wobec islamskich „braci", którzy włożyli mundury aliantów. Uruchomiona w tym celu przez ministra III Rzeszy Josepha Goebbelsa propaganda posługiwała się całą gamą środków retorycznych i ikonograficznych, utwierdzając muzułmanów w przeświadczeniu, że ich religia nakazuje im udział w wojnie. Jednak wyobrażenia hitlerowców o islamie były skrajnie uproszczone. Autorzy propagandowych broszur wykazywali się umysłową ociężałością, czego dowodem choćby pejoratywne określenia jak „Muselmane", w które obfitował nawet język biurokratyczny. Naziści potrafili je jednak finezyjnie rozgrywać. Mimo że np. nie brakowało niemieckich orientalistów, którzy doskonale znali złożoność i heterogeniczność świata arabskiego, to w III Rzeszy zostali sprowadzeni do politycznych marionetek i przedstawiali go jako jednolity konstrukt. Najistotniejsze było pojęcie mahometanizmu jako globalnej potęgi politycznej – bez jakichkolwiek wewnętrznych podziałów i konfliktów. Aksjomatem „proislamskiej" kampanii było przekonanie, że w islamie religia i polityka idą w parze. Wiara muzułmanów wydawała się nazistom koherentna i przejrzysta, w każdym razie na tyle, by móc dowolnie manipulować jej wyznawcami. Toteż propagandyści w Berlinie stosowali mylne terminy jak „Weltislam" (światowy islam) czy też „Weltmuselmanentum" (światowy mahometanizm). Nic więc dziwnego, że podobne konstrukty kolidowały często ze złożoną rzeczywistością w samych krajach islamskich, np. w Bośni, gdzie muzułmanie znaleźli się między zwaśnionymi ze sobą Chorwatami i Serbami. Lecz muzułmanie i tak ochoczo wstępowali w szeregi armii Hitlera. Najistotniejszym punktem w pokrętnej logice nazistowskich elit, wyprowadzonej z doświadczeń w Niemczech, było rozwiązanie kwestii żydowskiej, która z kolei łączyła je z wieloma przedstawicielami państw na Bliskim Wschodzie. Dowódca SS Heinrich Himmler i Goebbels mogli tu zatem sięgać po całą skarbnicę skojarzeń i analogii historycznych.

ZA OTRZYMANE OD NIEMCÓW ŁASKI DZIESIĄTKI TYSIĘCY SPRAWNYCH FIZYCZNIE MUZUŁMANÓW MIAŁO WŁOŻYĆ MUNDURY WEHRMACHTU LUB SS

Wspólna nienawiść

Jednym z największych podnoszonych dziś przez Zachód zarzutów wobec islamu i jego proroka Mahometa jest to, że był on antysemitą. Najświętsze miasto świata arabskiego – Medyna – zostało założone przez plemiona żydowskie, które uciekały m.in. przed prześladowaniami w Persji. Plemiona jak Banu Quaraiza i Banu Nadir przyniosły ze sobą do Medyny ogromny zasób wiedzy o rolnictwie. Wkrótce Żydzi stali się na tym obszarze wpływowymi posiadaczami ziemskimi, przejmując także kontrolę nad finansami i handlem. Dla Arabów rosnący w siłę przybysze stali się nie lada wyzwaniem, szczególnie dla szczepu Quraysh z Mekki, którego członkiem był sam Mahomet. Prorok islamu był nie tylko zazdrosny o materialną przewagę Żydów w Medynie, ale najzwyklej sfrustrowany, że nie chcieli go uznać za proroka i nie ulegli forsowanym przezeń próbom islamizacji. W 628 r. muzułmanie w Medynie zamordowali w obecności Mahometa w ciągu dwóch dni ok. 700 Żydów. Bitwa o Chajbar (Khaybar) miała na celu ostateczne rozwiązanie „kwestii żydowskiej" w Medynie. Nawiasem mówiąc, radykalni islamiści do dziś nie kryją dumy z tego wydarzenia. Słowo „Khaybar" pada jeszcze na wielu antyizraelskich wiecach, choćby w Iranie. „Po tej rzezi zabijanie religijnego oponenta stało się stałym narzędziem muzułmanów sięgających po władzę" – pisze dziś niemiecki orientalista Hans-Peter Raddatz w swojej książce „Allah i Żydzi". Niemiecko-egipski publicysta Hamed Abdel-Samad nazywa Mahometa nawet „inicjatorem Holokaustu", porównując go z samym Hitlerem, który „dopełnił ludobójstwo proroka islamu". Tu trzeba mieć jednak koniecznie na uwadze, że Samad skłonny jest określać wyznawców islamu bez wyjątku epitetami, rzadko pisząc o nich inaczej niż z jadowitym przymiotnikiem. Również naziści odnosili się do tego wydarzenia we własnej propagandzie, eksploatując krzepiącą Arabów wizję, że wreszcie „ktoś robi z Żydami porządek". „Nie przeszkadza mi, że muzułmanie w SS kultywują swoją religię. Powiem więcej: podoba mi się to" – przekonywał Himmler w 1943 r. na wiecu w Poznaniu. Dlatego nie zakazywał „przemalowanym" innowiercom swoich rytuałów ani np. muzułmańskiego nakrycia fez w kształcie ściętego stożka – oczywiście pod warunkiem że był on opatrzony emblematem trupiej czaszki SS. Jednocześnie organizowano kursy (np. na Uniwersytecie w Getyndze), na których szkolono imamów, którzy z kolei później przekonywali pobratymców na froncie o uzdrawiającej mocy symbiozy islamu i nazizmu.

Jedną z ważniejszych postaci, które ochoczo włączyły się w antysemicką propagandę nazistów, był Palestyńczyk Amin al-Husajni, wielki mufti Jerozolimy. Wuj Jasira Arafata już przed II wojną światową

eprasa.pl 77c6269fd8

działał na rzecz przekształcenia Jerozolimy w ostoję panarabskiego nacjonalizmu w walce z napływem żydowskich imigrantów do Palestyny. Po wybuchu wojny Amin zaczął intensywnie współpracować z nazistowskimi władzami. W 1941 r. zamieszkał w Berlinie, a Himmler osobiście rozłożył nad nim parasol ochronny. Mufti budził jednak żywiołową niechęć Hitlera, przy czym Führer tolerował go, gdyż traktował jako część swojej chorej politycznej układanki. Mufti pretendował zaś do roli głównego przedstawiciela islamu na świecie, idealnie wpisując się w lansowaną przez nazistów narrację. Amin stał się później w istocie poruszaną przez nazistów marionetką, głównym ich „przełożeniem" między Berlinem a dywizjami górskimi SS „Hanschar" i „Kama", w których szeregach służyli bośniaccy i chorwaccy muzułmanie. Mufti chciał jednak przede wszystkim udaremnić zamysły syjonistów o własnym państwie w Palestynie, co paradoksalnie kolidowało z polityką nazistów, bo wskutek niej tysiące Żydów uciekały na Bliski Wschód. W oczach wielu Arabów Amin do dziś uchodzi za bohatera, ale przez niemieckich i izraelskich historyków jest słusznie oskarżany, jakoby popierał pomysł ostatecznej zagłady europejskich Żydów, znanej pod eufemistyczną nazwą „Endlösung" („Ostateczne rozwiązanie"). 13 maja 1943 r. Mufti Jerozolimy zablokował transport do Palestyny 4 tys. żydowskich dzieci pochodzących z Węgier, Bułgarii i Rumunii. Plan podlizywania się nazistom okazał się jednak niewypałem. Po wojnie Amin nie mógł już nawet powrócić do swojej Palestyny.

Nie tylko Niemcy

Nie tylko Niemcy próbowali pozyskać muzułmanów dla własnych celów. Sojusznicy Hitlera, przywódcy Włoch i Japonii, podejmowali podobne próby. Także Brytyjczycy, Amerykanie i Sowieci usiłowali zaprząc wyznawców islamu do swoich planów wojennych. Obiecywali im wsparcie, bezpieczeństwo i wolność religijną. Muzułmanie we włoskich koloniach służyli m.in. w oddziałach Ochotniczej Milicji Narodowego Bezpieczeństwa (MVSN). Na terenie Afryki sformowano siedem podobnych legionów. Na listach Włoskiej Partii Faszystowskiej figurowało wiele arabskich nazwisk. Sam Benito Mussolini z lubością przedstawiał się jako zaangażowany patron mahometan. Podczas jednej z wizyt w skolonizowanej przezeń Libii w 1937 r. Il Duce został w Trypolisie frenetycznie powitany przez arabskich żołnierzy, którzy odśpiewali w swoim języku „Giovinezzę", nieoficjalny hymn narodowy Włoch w latach 1924–1943. Uwieńczeniem ceremonii jedności pomiędzy Libią a Italią było wystąpienie berberyjskiego przywódcy Yusufa Cherbisca, który podarował Mussoliniemu starożytny Miecz Islamu z wyrytą dedykacją: „W imieniu Muzułmanów Libii, dumnych z bycia synami faszystowskich Włoch". Odnotował to wydarzenie w swoim pamiętniku nawet sam Goebbels: „Il Duce przebywa w Libii i hołduje islamowi. Bardzo mądry chwyt. Paryż i Londyn z miejsca się nań obraziły" – pisał propagandysta Hitlera. Podczas II wojny światowej Włochy nasiliły tę politykę opływającą w symboliczne gesty. W Maghrebie i na Bliskim Wschodzie włoscy partyjni pretorianie gloryfikowali Mussoliniego jako „protektora muzułmanów". W podobny sposób Japonia próbowała pozyskać mahometan w Azji w celu mobilizacji żołnierzy w walce z Wielką Brytanią, Holandią, Chinami i Związkiem Sowieckim.

Po wybuchu II wojny światowej wielki mufti Jerozolimy Amin al-Husajni zaczął intensywnie współpracować z Niemcami

FOT. EAST NEWS

Do wtłoczenia swoich ambicji w nadaną przez geopolityczną szachownicę formułę był także zmuszony premier Wielkiej Brytanii. Winston Churchill już na końcu XIX w. jako młody oficer podczas wojny w Indiach natknął się na uzbrojonych po zęby muzułmanów. Wtedy zdał sobie sprawę z ich potencjału. Toteż w 1942 r. ostrzegał: „Nie możemy się narażać muzułmanom!". Po wybuchu II wojny światowej na londyńskich ulicach niemal z dnia na dzień zaczęły się pojawiać meczety i inne islamskie stowarzyszenia. Również władze w Waszyngtonie zrozumiały, że udział muzułmanów w działaniach wojennych może być dla USA języczkiem u wagi. W 1943 r. amerykańskie służby prowadziły akcje dywersyjne w Afryce Północnej, rozprowadzając tam ulotki, nawołujące tamtejsze ludności do „dżihadu" przeciwko oddziałom Afrika Korps pod dowództwem słynnego gen. Erwina Rommla, „Lisa pustyni". W Pentagonie zatrudniono redaktorów i orientalistów, którzy pisali dla amerykańskich żołnierzy podręczniki o islamie.

Potencjał „swoich" muzułmanów dostrzegł także Józef Stalin. O ile w latach 30. sowiecki dyktator brutalnie tłumił wszelkie próby emancypacji Tatarów, kaukaskich muzułmanów i innych turkmeńskich grup, o tyle po 1941 r. Kreml zupełnie zmienił swoją politykę wobec islamu. Zostały uchylone liczne zakazy, choćby pielgrzymki do Mekki. Mahometanizm nie chronił wszak przed ideologicznym porażeniem. W Centralnym Komitecie Muzułmańskim w Ufie zasiadał „czerwony mufti" Stalina, niejaki Abdurrahman Rasulaev, który zamykał się w urojeniach i brnął w zawzięte obstawianie przy projekcie „rewolucji światowej". Propagandę Rasulaeva można po części uznać za bezpośrednią reakcję na podobne starania Niemców na południowych granicach Związku Sowieckiego, które płynęły z błędnego przekonania o własnej sile.

Co ciekawe, wraz z zakończeniem II wojny światowej państwa Europy, Azji i Ameryki nie ustawały w próbach rekrutacji muzułmanów. W okresie zimnej wojny USA intensywnie wspierały antykomunistyczne grupy islamskie w konflikcie z kruszącą się z wolna potęgą Związku Sowieckiego, np. mudżahedinów w Afganistanie, których Waszyngton zaopatrywał nie tylko w najnowsze rakiety przeciwlotnicze, lecz także w świeżo wydrukowane wydania Koranu.

eprasa.pl 77c6269fd8

FOT. EAST NEWS/MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI

ADAM DZIUROK

CZERWONE KRAWATY NA MSZY

I Zlot Związku Młodzieży Polskiej powiatu dzierżoniowskiego, 5 czerwca 1949 r.

W SIERPNIU 1953 r. SEKRETARZ KOMITETU WOJEWÓDZKIEGO PZPR W STALINOGRODZIE (KATOWICACH) JAN SZYDLAK ZAUWAŻAŁ, ŻE PARTIA I ZWIĄZEK MŁODZIEŻY POLSKIEJ „NIE WYCHOWUJE MŁODEGO POKOLENIA PO TO, ABY Z NIEGO OBSADZIĆ KLASZTORY, ABY ZROBIĆ Z NICH MNICHÓW". PRZYWIĄZANI DO KOŚCIOŁA MŁODZI LUDZIE NA GÓRNYM ŚLĄSKU NIE ZAWSZE PASOWALI DO IDEOLOGICZNEGO WZORCA

Młodzież była dla władz komunistycznych Polski jednym z najważniejszych środowisk, które chciała pozyskać dla swojej ideologii. Dużą wagę przywiązywano więc do rozwoju organizacji młodzieżowych całkowicie podporządkowanych partii. Powołany do życia w 1945 r. Związek Walki Młodych rozwijał się wyjątkowo szybko na terenie województwa śląskiego. W maju 1948 r. władze partyjne podkreślały, że „na Śląsk patrzy cała Polska", gdyż województwo skupiało niemal czwartą część wszystkich członków organizacji. Następcą ZWM był od lipca 1948 r. Związek Młodzieży Polskiej, któ-

eprasa.pl 77c6269fd8

remu wyznaczono ważną rolę w indoktrynacji ideologicznej młodego pokolenia. Główną przeszkodą w kształtowaniu światopoglądu marksistowskiego wśród młodzieży stanowiło jednak jej przywiązanie do Kościoła katolickiego.

„Dwulicowi" zetempowcy

Religijność młodzieży śląskiej stanowiła wyzwanie, z którym ZMP borykał się od samego początku funkcjonowania. Młodzi Ślązacy, wstępując do tej organizacji, z reguły nie rezygnowali z uczestnictwa w praktykach religijnych, prowadząc tym samym „podwójne życie". Dotyczyło to nie tylko szeregowych członków, lecz nawet aktywistów zetempowskich. Pewna członkini Prezydium Zarządu Wojewódzkiego ZMP „największą przyjemność" miała czerpać nie z pracy wychowawczej z młodzieżą, ale z urządzania imprez kościelnych. Do najczęstszych wykroczeń „nielicujących z postawą działacza młodzieżowego" należało wstępowanie w związki sakramentalne. Na taki krok zdecydował się m.in. wiceprzewodniczący Zarządu Powiatowego ZMP, który oficjalnie zawiadomił Zarząd Wojewódzki o zamiarze wzięcia ślubu kościelnego, „nawet kosztem pracy w aparacie". „Wredne dwulicowe oblicze" pokazał też m.in. przewodniczący ZMP w Rudzie Śląskiej, który wziął „manifestacyjnie ślub kościelny z całym rzymskim ceremoniałem", choć sam wcześniej „ostro piętnował wszelkie przejawy dwulicowości, mówił dużo na temat Watykanu, roli kleru". Tak samo postąpił przewodniczący Zarządu Zakładowego ZMP kopalni Radzionków, który przed zawarciem związku małżeńskiego sam zapewniał instancję powiatową w Tarnowskich Górach, że jest ateistą, członkiem partii, „co wyklucza wzięcie przez niego ślubu kościelnego".

Oddziaływanie Kościoła na młodzież było niezmiennie bolączką władz. Dodatkowo na niewielką popularność ZMP wśród konserwatywnego społeczeństwa Górnego Śląska wpływała również opinia, że w organizacji panuje powszechne zepsucie moralne, przejawiające się w zwalczaniu religii oraz w rozwiązłości seksualnej. W 1953 r. demoralizacja aparatu zetempowskiego w województwie stalinogrodzkim osiągnęła taką skalę, że rodzice nie wyrażali zgody na zapisywanie swoich córek do ZMP z obawy przed ich deprawacją. Powszechne przekonanie o antyreligijnym charakterze ZMP było elementem wpływającym na dystansowanie się części młodzieży od udziału w jego pracach. Tym bardziej że prawdziwe oblicze organizacji demaskowali nie tylko księża katoliccy. W Drogomyślu (pow. Bielsko) ksiądz ewangelicki zabronił młodzieży wstępowania do ZMP, tłumacząc to tym, że jest to organizacja komunistyczna i są tam sami bezbożnicy.

Presja ideologiczna i intensywna praca wychowawcza nie wyrugowały wpływów religijnych wśród zetempowców. Przykładem może być choćby liczny udział członków ZMP w różnego rodzaju uroczystościach religijnych, np. w procesjach Bożego Ciała. Tak było np. w 1952 r., gdy prawdziwą demonstrację wiary urządzili członkowie ZMP w Kłobucku (Częstochowskie). Grupa ok. 700 dzieci szła w szyku zwartym czwórkami przed księdzem, a aktywiści szkolnych kół ZMP nieśli podczas procesji: statuę św. Antoniego, sztandar Matki Bożej oraz sztandar Serca Jezusa. W Kroczycach w pow. zawierciańskim doszło do kuriozalnej sytuacji, gdy zepsuł się autokar, który miał zawieźć grupę 200 dziewcząt na wycieczkę organizowaną przez ZMP. W tej sytuacji dziewczęta „w strojach ZMP-owskich" poszły do kościoła i wzięły udział w procesji. Z kolei w pow. rybnickim w uroczystościach Bożego Ciała wziął udział aktywista ZMP, który był wykładowcą na kursach ideologicznych (jak odnotowano „szedł w sutannie i z dzwonkiem koło księdza").

Według informacji UB kler usiłował „penetrować" związki młodzieżowe, takie jak ZHP i ZMP. Penetracja miała polegać na nasyłaniu do tych organizacji „swoich wtyczek" (głównie z sodalicji mariańskiej), aby przez nie mieć swój wpływ na te organizacje i osłabiać je od wewnątrz. W końcu 1948 r. w pow. lublinieckim wykluczono z ZMP 45 członków, którzy należeli do organizacji kościelnych.

Powszechna „atmosfera klerykalna" obejmowała również zebrania ZMP. Gdy w gimnazjum żeńskim w Bytomiu w czasie zebrania koła ZMP i wygłaszania referatu na temat „odłączenia religii od państwa" na salę wszedł kapłan, na jego widok uczennice wzniosły okrzyk „Niech żyje ksiądz!", co wywołało oklaski zgromadzonych. Z kolei członek ZMP w Technikum Hutniczym w Katowicach w 1951 r. na zebraniu tej organizacji stwierdził, że ZMP zwalcza religię, kradnie krzyże oraz prześladuje wierzącą młodzież. Wkrótce został określony jako znany „rozbijacz ZMP" i wyrzucony z organizacji.

Całkowite wykorzenienie wpływu Kościoła katolickiego na członków ZMP okazało się niemożliwe, dlatego powszechnym zjawiskiem było godzenie roli ideowego członka ZMP z wypełnianiem praktyk religijnych. Co rusz pojawiały się informacje o kolejnych „religijnych ekscesach" w łonie tej organizacji. W listopadzie 1949 r. na zebraniu w sprawie spółdzielni produkcyjnych w Tarnowie Grodkowskim członek ZMP w czasie dyskusji powiedział: „Gadanie gadaniem, ale trzeba już iść do kościoła". Gdy po tych słowach wraz z dwoma kolegami – członkami ZMP opuścił zebranie, za nimi wyszli wszyscy poza prelegentami.

Szeptanej propagandzie kleru (poprzez „wpajanie w młodzież jadu klerykalnego i wstecznego"), przypisywano działalność młodzieży w organizacjach konspiracyjnych. Takie wypadki odnotowano w Gliwicach (gdzie członkowie ZMP utworzyli organizację podziemną, na wzór harcerski i głosili m.in. hasło: „Chcemy Boga i religii") oraz w Głubczycach (gdzie uczniowie szkoły rzemieślniczej, członkowie ZMP stworzyli „komórkę młodzieżową tajną", a w wydanej odezwie pisali: „Walcz o Boga i nauczanie religii", „Precz z prześladowaniem wiary").

Na froncie szkolnym

ZMP wyznaczono szczególną rolę w kształtowaniu świeckiego modelu wychowania na terenie szkoły. Sam początek jego działalności przypadł na moment rozpętania ofensywy antykościelnej, dlatego ZMP mobilizował opieszałych dyrektorów i nauczycieli do ścisłego przestrzegania wytycznych partii w zakresie świeckości szkoły. Gdy w pszczyńskim gimnazjum na frontowej ścianie umieszczono obraz Matki Boskiej, a pod obrazem godło polskie, portret prezydenta zaś zawieszono na ścianie tylnej, przewodniczący koła ZMP zainterweniował w tej sprawie u dyrektora szkoły. Ten początkowo tłumaczył, że nie może udekorować przedniej ściany, ponieważ nie ma kompletu portretów, jednak na skutek nacisku ze strony ZMP w końcu uległ i zamówił portrety.

Gorliwość ideologiczna członków ZMP w szkołach nie była normą. Częściej jednak narzekano np. na małą »

eprasa.pl 77c6269fd8

» aktywność ZMP podczas akcji odciągania młodzieży od udziału w rekolekcjach. Większość organizacji ZMP nie włączyła się w przygotowanie tzw. kontrimprez, nie wydała odpowiednich zaleceń instancjom na poziomie szkolnym, by dopomogły kierownikom szkół i wzmogły czujność w dniach rekolekcji. Alarmowano, że zarządy miejskie i powiatowe oraz tzw. aktyw „gapią się, nie doceniają i [nie] widzą agresywności wroga". Postulowano zaostrzyć czujność we wszystkich instancjach ZMP i aktywnie reagować na poczynania „części reakcyjnego kleru". Według Ministerstwa Oświaty w 1952 r. w niektórych szkołach średnich (np. w Bytomiu i Częstochowie) na nauki rekolekcyjne zgłosili się niemal wszyscy członkowie zarządów szkolnych ZMP. Wysłannik ministerstwa postulował więc zwiększenie „czujności rewolucyjnej" w pracy, w szkołach i wsparcie pracy ZMP na tym terenie. Z kolei w przypadku rekolekcji wielkopostnych organizowanych w 1953 r. na terenie woj. katowickiego (stalinogrodzkiego) odnotowano nie tylko brak zainteresowania lokalnych struktur ZMP wytycznymi na temat przeciwdziałania tej akcji, ale nawet przypadki współdziałania członków ZMP z duchowieństwem. W jednej z żeńskich szkół w ówczesnym Stalinogrodzie przewodniczące ZMP same dopytywały dyrekcję, czy klasy mogą iść na rekolekcje.

Skutecznie opierano się naciskom na zakładanie organizacji komunistycznych w placówkach katolickich, powołując się na zakaz kurii. Nie znaczy to, że niektórzy uczniowie nie należeli do kół ZMP, ale musieli się wpisywać do tych, które działały poza szkołą. Z całego gimnazjum św. Jacka w Katowicach do pozaszkolnych kół ZMP należało siedmiu uczniów. Wezwano ich zresztą do Zarządu Wojewódzkiego ZMP i namawiano do założenia koła w szkole – odpowiedzieli jednak zgodnie, że nie ma na to szans. Problemy z działalnością ZMP miał także na terenie domów dziecka prowadzonych przez Kościół katolicki. Na przykład w Zakładzie Wychowawczym im. ks. Leopolda Markiefki dla sierot i półsierot w Bogucicach siostry jadwiżanki wychowywały dzieci „w duchu klerykalnym" i nie pozwalały zapisywać się do ZMP ani harcerstwa, twierdząc, że „ZMP-owcy są najgorszą trucizną zakładu". Do konfliktu doszło też np. w Domu Małego Dziecka w Sosnowcu. Zatrudnione tam siostry jadwiżanki negatywnie odniosły się do inicjatywy dwóch podopiecznych założenia koła ZMP na terenie placówki. Jedna z sióstr miała oświadczyć, że „najlepsze koło to modlitwa".

W GIMNAZJUM ŻEŃSKIM W BYTOMIU W CZASIE ZEBRANIA KOŁA ZMP NA TEMAT „ODŁĄCZENIA RELIGII OD PAŃSTWA" NA SALĘ WSZEDŁ KAPŁAN. NA JEGO WIDOK UCZENNICE WZNIOSŁY OKRZYK „NIECH ŻYJE KSIĄDZ!"

ZMP w akcji

Do jednej z najgłośniejszych demonstracji antykościelnych doszło w listopadzie 1950 r. podczas kursu w Szkole Organizacyjnej ZMP w Koszęcinie. W nocy zetempowcy umieścili, bez zgody proboszcza, na wieży miejscowego kościoła transparent z gołąbkiem pokoju (z okazji Kongresu Pokoju w Warszawie). Służba kościelna transparent zdjęła, ale następnego dnia pojawił się ponownie. Proboszcz z ambony poinformował parafian o ekscesach (także o tym, że przy okazji uszkodzono dach i rynny), co jeszcze bardziej rozsierdziło zetempowców. Wkrótce wokół kościoła pojawiły się antykościelne ulotki z różnymi inwektywami pod adresem miejscowego proboszcza, a także ze swastyką hitlerowską. Biskup katowicki Juliusz Bieniek pisał, że ulotki nie odniosły zamierzonego skutku antykościelnego, ale wręcz przeciwny – „zdradzały bowiem bardzo niski poziom kulturalny ich autorów i zawierały nawet błędy ortograficzne". Miejscowa ludność była bardzo zaniepokojona zachowaniem młodzieży z ZMP, tym bardziej gdy doszło do nieudanej próby aresztowania proboszcza (nie było go akurat na miejscu) przez funkcjonariuszy UB z pomocą zetempowców, którzy otoczyli plebanię. Dodatkowe emocje wywołało prowokacyjne zachowanie jednej z instruktorek ZMP, która przemaszerowała „na oczach wszystkich wiernych w sposób arogancki i wyzywający przez kościół i przystąpiła do komunii św.", po czym wyniosła ją z kościoła i demonstracyjnie obnosiła po budynku szkoły. Oburzeni wierni zorganizowali nabożeństwa przebłagalne w celu zadośćuczynienia za poczynione świętokradztwo. Sprawa nabrała takiego rozgłosu, że Zarząd Główny ZMP w celu jej wyjaśnienia wysłał do Koszęcina instruktora Wydziału Kadr ZG ZMP. Dochodzenie potwierdziło antykościelne wystąpienia. Przyznano, że jedna z instruktorek oraz zastępca kierownika szkoły mieli „odchylenia na tle religii", a całą sprawę uznano za „przegięcie", „brak czujności" oraz „lekkomyślność". ■

„CzasyPismo" to wydawany od 2012 r. półrocznik popularnonaukowy dotyczący historii Górnego Śląska XX w. Jest to jedyny lokalny periodyk wydawany przez IPN, w którym podejmuje się zarówno tematykę funkcjonowania systemów totalitarnych – nazizmu i komunizmu i ich oddziaływania na społeczeństwo regionu, jak i kwestię kultury, religii, gospodarki czy życia codziennego. Najnowszy numer „CzasyPisma" przedstawia losy dzieci i młodzieży w czasach totalitarnych. Prezentowany tekst Adama Dziuroka jest jednym z artykułów z tego numeru

eprasa.pl 77c6269fd8

1932 rok narodzin systemów korporacyjnych

PAWEŁ SKIBIŃSKI

W 1932 r. w dwu europejskich krajach na czele rządów stanęli politycy, którzy czerpali bezpośrednią inspirację polityczną z encykliki „Quadragessimo Anno" opublikowanej przez papieża Piusa XI rok wcześniej. Byli to: Antonio Oliveira Salazar w Portugalii, a w Austrii – Engelbert Dollfuss. Obaj podejmą próby zbudowania w swoich krajach systemów korporacyjnych, odrzucających wzorce zarówno totalitarne, jak i liberalno-demokratyczne. System portugalski przetrwa ponad 40 lat, austriacki natomiast okaże się efemerydą.

Austria po I wojnie światowej szukała z wielkim trudem swojej tożsamości. Mocarstwa alianckie nie pozwoliły jej pozostać monarchią pod berłem Habsburgów, nie pozwoliły też przyłączyć się jej do Republiki Weimarskiej, czego w latach 1918–1919 domagała się większość mieszkańców. Od 1920 r. na czele rządu stali politycy Chrześcijańsko-Społecznej Partii Ludowej (CS). Partia ta w kolejnych wyborach do wiedeńskiego parlamentu zdobywała regularnie od 1/3 do połowy głosów.

Głównym rywalem austriackich chadeków byli socjaldemokraci (SDAPÖ), którzy dorównywali wielkością społecznego poparcia chadekom, ale nie byli w stanie przejąć władzy w parlamencie, ponieważ nie mogli liczyć na współpracę innych ważnych ugrupowań: centrowego, chłopskiego Landbundu oraz Wielkoniemieckiej Partii Ludowej, która opowiadała się za połączeniem z Niemcami. Szukali więc chętnie inspiracji w rewolucyjnych rozwiązaniach, formując wyjątkowo silne i dobrze uzbrojone bojówki – Schutzbund. Z drugiej strony działała Heimwehr – paramilitarna organizacja skrajnej prawicy, która niedawno z pomocą Włoch usiłowała obalić rządy parlamentarne. Systematycznie w siłę rośli również austriaccy naziści.

W styczniu 1932 r. rządził w Wiedniu mniejszościowy rząd chadecki kanclerza Karla Burescha. Buresch, znany prawnik i przewodniczący frakcji chadeckiej w parlamencie, stracił właśnie poparcie wielkoniemieckich nacjonalistów, ale nie znajdował parlamentarnej alternatywy. Pod naciskiem socjaldemokratów i narodowych socjalistów złożył więc rezygnację, a prezydent Austrii Wilhelm Miklas powierzył władzę Engelbertowi Dollfussowi, ówczesnemu ministrowi rolnictwa i leśnictwa.

Dolfuss był absolwentem niższego seminarium duchownego, prawnikiem, byłym liderem katolickich stowarzyszeń studenckich i weteranem I wojny światowej. Jak na konserwatywnego polityka katolickiego zwracała uwagę jego sytuacja rodzinna – był nieślubnym dzieckiem, a jego żona była niemiecką protestantką.

Przedmiotem żartów był jego niski wzrost – mierzył bowiem rzekomo 153 cm. Nazywano go więc złośliwie „Milimetternich", nawiązując do postaci legendarnego austriackiego kanclerza i ojca traktatu wiedeńskiego. Jednak trzeba przyznać, że Dollfuss wyróżniał się także autentyczną osobistą pobożnością i siłą woli.

FOT. NAC

Engelbert Dollfuss, kanclerz Austrii w latach 1932–1934

Przejmując władzę w 1932 r., Dollfuss stanął na czele nowej koalicji; w jej skład weszli poza chadekami także chłopscy posłowie wspomnianego już Landbundu oraz nacjonaliści z Heimatblock – tj. parlamentarnego skrzydła wspomnianej już Heimwehry. Koalicja ta stanie się podstawą powstałej w 1934 r. organizacji Frontu Ojczyźnianego, który będzie dążył do gruntownej reorganizacji politycznej Austrii w duchu korporacjonizmu i autorytaryzmu, co znajdzie wyraz w majowej konstytucji.

Dollfuss dokona w ciągu dwóch lat głębokiej reorganizacji austriackiej polityki. Zdelegalizuje w tym czasie zarówno komunistów, jak i narodowych socjalistów, a także rewolucyjny Schutzbund – czyli agresywne bojówki rzekomo przywiązanych do demokracji parlamentarnej socjaldemokratów. Rezultatem jego działań będzie kilkutygodniowa wojna domowa wywołana przez austriackich socjaldemokratów, która zakończy się pacyfikacją lewicy w lutym 1934 r.

Kilka miesięcy po przyjęciu autorytarnej konstytucji Dollfuss zginie podczas nieudanej próby zamachu stanu przeprowadzonej przez zdelegalizowaną przezeń austriacką gałąź nazistowskiej NSDAP. Jego system przetrwa swego twórcę i będzie trwać jeszcze cztery kolejne lata.

Jednak już w 1932 r. na niepodległą Austrię zapadał ostateczny wyrok – w Niemczech bowiem naturalizowany został dotychczas posługujący się austriackim obywatelstwem Adolf Hitler. Od tej chwili mógł on sprawować najwyższe godności w Berlinie. W kolejnym roku stanie na czele rządu niemieckiego, a w 1938 r. dokona Anschlussu, tj. inkorporuje Austrię do Wielkich Niemiec. Eksperyment polityczny Dollfussa kończy się nieodwołalnie.

eprasa.pl 77c6269fd8

SB NA TROPIE HENRYKA KASPERCZAKA

W LATACH 70. CZĘŚĆ NAJLEPSZYCH POLSKICH PIŁKARZY ZNALAZŁA SIĘ NA CELOWNIKU BEZPIEKI. NAJCZĘSTSZYM POWODEM OKAZYWAŁY SIĘ ICH KONTAKTY ZAGRANICZNE. TAK BYŁO TEŻ W PRZYPADKU HENRYKA KASPERCZAKA, W LATACH 1965–1978 ZAWODNIKA STALI MIELEC

GRZEGORZ MAJCHRZAK

Lata 70. były dobrym okresem dla polskiej piłki nożnej zarówno klubowej, jak i reprezentacyjnej. Największymi sukcesami były oczywiście złoty medal olimpijski w 1972 r. i brązowy medal mistrzostw świata w 1974 r. Towarzyszył temu wzrost zainteresowania naszymi piłkarzami ze strony zachodnich klubów. Nic zatem dziwnego, że interesował się nimi też peerelowski aparat bezpieczeństwa. I tak Wojskowa Służba Wewnętrzna „ochraniająca" m.in. Centralny Wojskowy Klub Sportowy Legia Warszawa bliżej zajęła się jego trzema graczami: Robertem Gadochą (sprawa „Piłat"), Kazimierzem Deyną (rozpracowanie „Mundzio") i Lesławem Ćmikiewiczem. Paradoksalnie mniej wiadomo o działaniach Służby Bezpieczeństwa wobec piłkarzy, tych grających poza pionem wojskowym. Wyjątkiem

SB rozpracowywała Henryka Kasperczaka, ale nie zablokowała mu w 1974 r. występu na MŚ w Niemczech, gdzie zdobył z drużyną (Kasperczak na zdjęciu szósty od prawej) III miejsce

eprasa.pl 77c6269fd8

jest tu zainteresowanie osobą Henryka Kasperczaka.

Rozpoznanie

„Rysopis – wzrost: wysoki, oczy: ..., włosy: ciemne, znaki lub cechy szczególne: nie ma. Stan cywilny: żonaty, wykształcenie: 5 kl[as] tech[nikum] mech[anicznego]. Zawód wyuczony: technik mech[anik], zawód wykonywany: technolog. Miejsce pracy (adres m. pracy) WSK »Delta« Mielec" – to fragment wniosku z 21 stycznia 1975 r. o założenie kwestionariusza ewidencyjnego właśnie na Kasperczaka. W tym czasie był on graczem Stali Mielec, a wspomniany wcześniej zakład był jedynie fikcyjnym miejscem jego pracy. Powodem zainteresowania jego osobą było – jak stwierdzano w tym kwestionariuszu – to, że „kilkukrotnie wyjeżdżał na zawody piłkarskie do państw kapitalistycznych" i w tym czasie „zawierał znajomości z różnymi osobami", które zapraszał do Polski. Wyliczano, że w 1972 r. zaprosił do PRL lekarza klubowego zachodnioniemieckiego Hannover 96, a także kontaktował się z Detlefem Gajdzikiem, o którym pisano, że „w latach 1965–[19]67 zbiegł do RFN". Problem w tym, że to nieprawda! Gajdzik w 1966 r. wystąpił o pozwolenie na wyjazd stały do RFN na zaproszenie ciotki Marii Follstedt, ale go nie otrzymał. Dwa lata później zrezygnował z obywatelstwa polskiego i wówczas pozwolenie dostał.

Wracając zaś do Kasperczaka, to był on ponadto odwiedzany i sam jeździł do ekspiłkarza Stali Mielec Wolfganga Follstedta, który wyjechał nielegalnie do Niemiec Zachodnich. Piłkarz miał też systematycznie otrzymywać od tych osób paczki. To zaniepokoiło SB, tym bardziej że w przeszłości wypowiadał się „na temat ewentualnego wyjazdu do RFN". I mimo że – jak konkludowano – „w chwili obecnej tego tematu nie porusza", zainteresował się nim Wydział II (kontrwywiad) Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Rzeszowie.

Jego funkcjonariusze sięgnęli do zgromadzonych wcześniej materiałów dotyczących Henryka Kasperczaka i jego rodziny, w tym tych dotyczących jego pobytu na Górnym Śląsku z okresu, kiedy grał w Górniku Zabrze (1959–1965). We wrześniu 1970 r. tamtejsza bezpieka informowała: „W toku dokonanych ustaleń i sprawdzeń nie stwierdzono, aby w[yżej] wym[ienione] osoby posiadały jakiekolwiek powiązania rodzinne z państwami kapitalistycznymi, szczególnie w RFN. Nikt do nich nie przyjeżdżał z zagranicy ani też nikt z nich nie czynił starań i nie wyjeżdżał na pobyt czasowy do państw kapitalistycznych". Ponadto ani Kasperczak, ani nikt z jego najbliższych nie figurował w ewidencji operacyjnej zabrzańskiej SB, która nie posiadała również na ich temat „żadnych materiałów kompromitujących". Inna jej informacja: „Gdzie wym[ieniony] ostatnio pracował [...] i w jakim charakterze, brak danych" może zaskakiwać, wskazywać na małą staranność przy zbieraniu historycznych już danych.

SB donosem stoi

W ramach rozpracowania zgromadzono również donosy na jego temat. I tak tajny współpracownik „Odyniec" donosił pod koniec grudnia 1970 r., że pracownicy hali sportowej w Mielcu „dwa razy zrywali i zakładali parkiet w mieszkaniu ob. Kasperczka [...], dwa razy malowali, zmieniali zamki itp. rzeczy, aż ob. Kasperczak uznał za stosowne przyjąć tak wykończone mieszkanie". Poinformował on też bezpiekę, że piłkarz ma czarnego pudla, „specjalnie w Krakowie strzyżonego". Ten sam agent na początku lipca 1971 r. donosił z kolei, że podczas wyjazdu do Danii piłkarz spotkał się ze swoim kolegą, który po wyjeździe z kraju mieszka w RFN. A także, że ten ostatni ma odwiedzić piłkarza Stali w kraju. W tym przypadku chodziło o Gajdzika, którego jednak nazwiska „Odyniec" nie znał.

Z kolei TW „Nowak" w połowie listopada 1974 r. informował SB o Henryku Kasperczaku zdecydowanie szerzej. Opisywał: „Bardzo często widywałem go w towarzystwie obywatela NRF, który przyjechał do niego na zaproszenie do Polski [...]. Niemiec ten był, jak sobie przypominam, z jakąś kobietą i dzieckiem [...]. Przez cały czas zamieszkiwali u Kasperczaka". Według tego agenta mieli się oni poznać latem, przy okazji meczu Pucharu Lata (Pucharu Intertoto, letniego turnieju piłkarskiego organizowanego w przeszłości dla klubów, które nie zakwalifikowały się do innych głównych rozgrywek europejskich organizowanych przez UEFA), a Niemiec miał przebywać w PRL dwukrotnie i wraz z piłkarzem „bardzo dużo jeździli [...] do różnych miejscowości". Nie przypadł on do gustu „Nowakowi", który stwierdził, że owszem jest „bardzo rozmowny i towarzyski, ale fałszywy, gdyż swe sprawy stawia ponad wszystko", a ponadto jest „wybitnie skąpy". I relacjonował: „Pewnego razu przyszedł do mnie Kasperczak, by wymyć wóz temu Niemcowi. Wiedząc z góry, że to ma być za darmo, powiedziałem, by sam sobie umył, ale Kasperczak bardzo prosił. Wówczas razem z Emilem Rojek zaczęliśmy brać się do mycia. Niemiec ów widząc, że robimy to dość opieszale, zaczął nas ponaglać. Wówczas rzuciłem wąż i oświadczyłem, niech sam sobie myje". Dzięki temu agent dowiedział się zresztą, że gość piłkarza mówi po polsku. Jak domniemywał „Nowak", mógł on pochodzić ze Śląska. Choć w doniesieniu nie pada nazwisko, chodziło o Detlefa Gajdzika.

Zgromadzone archiwum

Esbecy przeanalizowali również własną dokumentację na temat kontaktów Henryka Kasperczaka z obcokrajowcami. Skoncentrowano się zwłaszcza na osobie Gajdzika. Ustalono, że piłkarz zgłosił się 16 czerwca 1971 r. do KW MO w Rzeszowie i złożył podanie o zezwolenie dla niego na przyjazd czasowy do Polski. Był to – jak twierdził Kasperczak – jego dobry znajomy z Zabrza, pracujący w RFN jako kelner. Jak oświadczył, zapraszał go na swój ślub 17 lipca. Nie ukrywał też przed Służbą Bezpieczeństwa swoich z nim kontaktów – powiedział, że podczas wyjazdu z drużyną Stali Mielec na mecz Pucharu Intertoto do Danii planuje spotkanie z nim. Jednak, co ciekawe, ani jego szczerość, ani też pozytywna opinia SB na jego temat, ani nawet jego popularność nie ułatwiły mu pomyślnego załatwienia tej sprawy. Ważniejsze było, że bezpiece nie podobało się, iż Gajdzik „czuje się Niemcem, zrzekł się obywatelstwa polskiego i od jego wyjazdu z PRL upłynął dopiero okres trzech lat". W tej sytuacji 6 lipca 1971 r. Henryka Kasperczaka poinformowano, że odpowiedź na jego wniosek jest negatywna. Był tym wyraźnie zaskoczony. Oświadczył, że bardzo zależy mu na przyjeździe kolegi i dlatego będzie próbował załatwić to „bezpośrednio w Warszawie" lub też złoży odwołanie w Komendzie Wojewódzkiej MO w Rzeszowie. Ostatecznie wybrał ten drugi wariant, ale decyzja KP MO w Mielcu została podtrzymana. Nie pomogło stwierdzenie piłkarza, że Detlef Gajdzik wychowywał się u jego rodziców. Ani nawet jego szczerość w kwestii »

eprasa.pl 77c6269fd8

» ich ostatniego spotkania w Danii w dniach 4–5 lipca (wspólne zwiedzanie miasta, wyprawa do kina, odwiezienie przez Gajdzika na lotnisko) i opis ich rozmów.

Jego starania przyniosły skutek, choć nie od razu. Kiedy 26 października 1971 r. ponownie złożył wniosek o zgodę na przyjazd Gajdzika do kraju, tym razem mielecka bezpieka postanowiła wyrazić zgodę. Nie przeszkadzał jej – jak wcześniej – brak „bliskich stosunków rodzinnych" z zapraszanym. Nie wiadomo, co zdecydowało o takiej postawie funkcjonariuszy: naciski z góry czy raczej to, że znaczenie piłkarza w międzyczasie wzrosło. Pisano o nim, że „jest jednym z wybijających się zawodników" i członkiem kadry narodowej, podczas gdy jeszcze cztery miesiące wcześniej „jedynie", że „jest osobą bardzo popularną w środowisku mieleckim z uwagi [na to], że jest jednym z lepszych piłkarzy". Poza tym przypisywano mu „pozytywny stosunek do obecnej rzeczywistości", który wcześniej uznawano za „nieustalony".

Meldunki agentów

Detlefa Gajdzika po przyjeździe do Polski Służba Bezpieczeństwa poddała obserwacji. Jej efektem było np. ustalenie, że 22 stycznia 1972 r. udał się on z żoną Kasperczaka na mecz piłki ręcznej, a także – już w towarzystwie piłkarza – do kawiarni Viola w Mielcu. Dzięki pracownikowi Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego „Mielec" Józefowi Kaganowi, z którym przeprowadzono dwa dni później rozmowę operacyjną, SB wiedziała nawet, o czym obaj rozmawiali podczas spotkania w mieszkaniu piłkarza. Według niego nie interesowały ich ani kwestie polityczne, ani sprawy WSK „Mielec", lecz głównie samochody osobowe.

Z kolei od osoby ukrytej pod inicjałami „KJ" bezpieka dowiedziała się o wyjeździe Gajdzika w towarzystwie Kasperczaków do Krynicy 24 stycznia oraz o zorganizowaniu przez piłkarza pożegnania swojego znajomego trzy dni później. Obraz Detlefa Gajdzika nakreślony przez „KJ", który przedstawiał go jako „bardzo dziecinnego osobnika, który niczym innym nie interesuje się, tylko samochodami osobowymi, piłką nożną, kobietami i zabawą", był z pewnością dla Służby Bezpieczeństwa uspokajający. Tym bardziej że informację tę potwierdził i częściowo rozszerzył inny kontakt operacyjny „J". Ten poinformował ponadto, że Gajdzik miał powiedzieć dwóm osobom (w tym Henrykowi Kasperczakowi), iż w razie trudności z jego ponownym przyjazdem do Polski mogą się spotkać na terenie Czechosłowacji.

Zdecydowanie mniej uwagi esbecy poświęcili innemu cudzoziemcowi, z którym piłkarz spotykał się w kraju. Pod koniec listopada 1972 r. Kasperczak zwrócił się do Komendy Powiatowej MO w Mielcu o zezwolenie na przyjazd do PRL Hansa Dikka van Alsty, lekarza klubu Hannover 96, którego poznał kilka miesięcy wcześniej przy okazji rozgrywanego w RFN meczu. Tym razem mielecka SB nie robiła problemu i wyraziła zgodę, którą uzasadniano tym, że nie ma „materiałów obciążających, ani kompromitujących" żadnego z nich. Nie wiadomo, czy do tej wizyty ostatecznie doszło. W każdym razie – jak wynika z zachowanych akt – nie zbierano na jej temat dalszych danych.

ANI SZCZEROŚĆ KASPERCZAKA, ANI POZYTYWNA OPINIA SB NA TEMAT PIŁKARZA, ANI NAWET JEGO POPULARNOŚĆ NIE UŁATWIŁY MU UZYSKANIA ZGODY NA ZAPROSZENIE DO POLSKI DETLEFA GAJDZIKA

I nic

Oczywiście Służba Bezpieczeństwa zbierała również informacje na temat zachowania piłkarza w trakcie wyjazdów zagranicznych. 9 sierpnia 1972 r. w rozmowie z kierownikiem ekipy piłkarskiej drużyny Stali Mielec, która kilka dni wcześniej przebywała w Hanowerze, dowiedzieli się, że do hotelu, w którym mieszkali zawodnicy, przyjechali Wolfgang Follstedt oraz Detlef Gajdzik. A także, że przebywali oni w towarzystwie Henryka Kasperczaka i innego zawodnika Eryka Hansela, z którymi razem wychodzili na miasto na zakupy. Z kolei nieco ponad rok później (4 września 1973 r.) Edward Kazimierski, wiceprezes Stali (relacjonując pobyt piłkarzy ręcznych z Mielca w RFN), dodał, że do Kasperczaka podczas jego pobytu w Szwecji w związku z jednym z kolejnych meczów „przyjechał samochodem ob. RFN z kobietą". Ten sam, który wcześniej odwiedzał go w kraju – zapewne chodziło o Gajdzika.

Ta wydawałoby się niewinna informacja okazała się brzemienna w skutki. Rozmówca Kazimierskiego, inspektor R. Majewski, we wnioskach stwierdzał: „Kasperczaka poddać przepracowaniu pozaoperacyjnemu, stosując różne środki techniki operacyjnej". Niestety nie wiemy, czy rzeczywiście je zastosowano, a jeśli tak, to jakie. W każdym razie piłkarzem zainteresowano się, a później (prawdopodobnie w 1974 r.) jego rozpracowanie przekwalifikowano na materiały wstępne.

Co ciekawe, efektów nie przyniosła natomiast dużo – wydawałoby się – groźniejsza informacja kontaktu operacyjnego „KE", najprawdopodobniej z maja 1974 r. Wynikało z niej, że piłkarz „zamierza fakt wyjazdu na Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej w NRF, jako reprezentant kraju, wykorzystać do pozostania za granicą". Dowodzić tego miało sprzedanie przez niego samochodu osobowego. Obawy te okazały się bezpodstawne, a funkcjonariusze SB – na szczęście – nie uniemożliwili Henrykowi Kasperczakowi wyjazdu na mundial, dzięki czemu zdobył na nim (wraz z kolegami) brązowy medal.

Uznali oni również, że podejrzenia o niewłaściwe kontakty zagraniczne Kasperczaka się nie potwierdziły. W tej sytuacji 18 czerwca 1975 r., czyli po niespełna pięciu miesiącach od rozpoczęcia jego rozpracowania, został przygotowany wniosek o zaniechanie prowadzenia kwestionariusza ewidencyjnego na niego. Zatwierdzono go dwa dni później, a zebrane w trakcie prowadzenia kwestionariusza materiały, „jako nienadające się do dalszego zainteresowania operacyjnego", złożono do archiwum.

eprasa.pl 77c6269fd8

PRAWA CZŁOWIEKA PO LATACH

Przestrzeń wolności

MAREK JUREK

Jak przeciwstawić się niszczącej nasz świat rewolucji? Pytanie jest o tyle trudniejsze, że lata trwania spowodowały, iż rewolucja ta przeorała świadomość społeczną, choć oczywiście w różnym stopniu w różnych krajach.

To nie jest już dziś jedynie polityka hermetycznych i elitarnych „stowarzyszeń intelektualnych", których rolę w przeprowadzeniu rewolucji francuskiej opisał Augustin Cochin. To sposób myślenia podzielany, często nieświadomie, przez setki milionów ludzi, wpływający nawet na tych, którzy uważają się za jego przeciwników. Nawet owe „stowarzyszenia intelektualne" w wielu krajach straciły swój elitaryzm i zbanalizowały swą rolę. Madiran trafnie zauważył, że w krajach takich jak Francja wielu ludzi wstępuje do lóż wolnomularskich z czystego konformizmu, dla kariery w finansach lub polityce. Choć oczywiście potem bardzo szybko nasiąkają poglądami, które tam panują.

Nie tu jednak, zdaniem Madirana, tkwi sedno problemu, bo przecież „nie mamy żadnego sposobu, by dowiedzieć się, czy ten lub inny liberał wstąpił do masonerii i z jaką intencją". Ale widzimy ich działalność, słyszymy ich poglądy i możemy je oceniać. Nie chodzi tu bowiem o jakąś maniakalną „poprawność polityczną", ale o metodyczną opozycję wobec cywilizacji chrześcijańskiej oraz odrzucenie lub ignorowanie prawdy głoszonej przez Kościół powszechny. Tylko więc konsekwentna, czynna i twórcza afirmacja chrześcijaństwa, prawd wiary i zasad etycznych oraz ukształtowanej przez nie kultury tworzy dla rewolucji prawdziwą alternatywę. Choć niełatwą, bo przecież dekadencja zaszła bardzo daleko i dotknęła również życie chrześcijańskie.

„Mój plan jest więc skromny – konkludował swą książkę Madiran – jednak całkowicie »demokratycznie« uprawniony". Chodzi o to, by zbudować „przestrzeń społecznej i politycznej wolności Francuzów żyjących tradycją narodową i katolicką; przestrzeń, w której będą mogli się skupiać i działać, uzgadniać swoje stanowisko", całkowicie wolni od pojęć i presji antychrześcijańskiej ideologii, reprezentowani przez tych, którzy ideologii tej naprawdę się przeciwstawiają.

Niestety remedium, które zaproponował, nie udało się w pełni zastosować w prawie żadnym kraju. Oczywiście w krajach katolickich można znaleźć takie partie jak Prawica Rzeczypospolitej w Polsce czy VOX w Hiszpanii, mobilizujące opinię chrześcijańską i podnoszące jej postulaty. Jednak żadna z nich nie wpływa ciągle na główny nurt polityki. Wszędzie natomiast, już u schyłku życia Madirana, nastąpił proces wypierania i ujarzmiania prawicy katolickiej przez radykalną centroprawicę (Trump, Kaczyński, Marine Le Pen). Wypieranie, bo nie chodziło tu o konkurencję i zastępstwo. W warunkach pogłębiającego się cywilizacyjnego kryzysu prawica katolicka z reguły była świadoma, że musi działać w szerszym kontekście narodowym. Ale tam znajdowała coraz mniej rzeczywistej solidarności. Rewolucja tam również dotarła.

30 lat, które upłynęły od publikacji „Praw człowieka bez Boga", całkowicie potwierdziły prognozy autora na temat rewolucyjnych konsekwencji ideologii, o której pisał. Pewną korektę wniosła geopolityka. Państwa Europy Środkowej, które odzyskały niepodległość w trakcie rozpadu ZSRS, przywróciły trochę sił cywilizacji chrześcijańskiej. Nie na tyle, by przeciwstawić się radykalizacji polityki Unii Europejskiej, zapisanej na przykład w traktacie lizbońskim, ale by przynajmniej wzmocnić głos sprzeciwu wobec tych tendencji.

Wydarzenia te ciągle trwają. Węgry, Polska, ale również Słowacja, Chorwacja czy nawet Bułgaria – przeciwstawiają się międzynarodowej rewolucji. To najlepiej pokazuje, że historia jest historią ludzi, rządzi nią ich wolna wola, a nie abstrakcyjne idee ani tym bardziej – mechaniczna ewolucja. Idee oczywiście mają konsekwencje, ale zawsze zmierzyć się muszą z naturą ludzką, więc wszystkim tym, co Bóg dał nam wraz z duszą rozumną i nieśmiertelną. I natura zawsze pozostaje ostoją ludzkiej wolności, szczególnie tego, co w niej najważniejsze – sumienia.

Justin Louis Émile Combes, inicjator działań i autor ustawy z 1905 r. o rozdziale we Francji Kościoła od państwa, która doprowadziła do zerwania konkordatu Paryża ze Stolicą Apostolską; w młodości gorliwy katolik, skończył jako wolnomularz

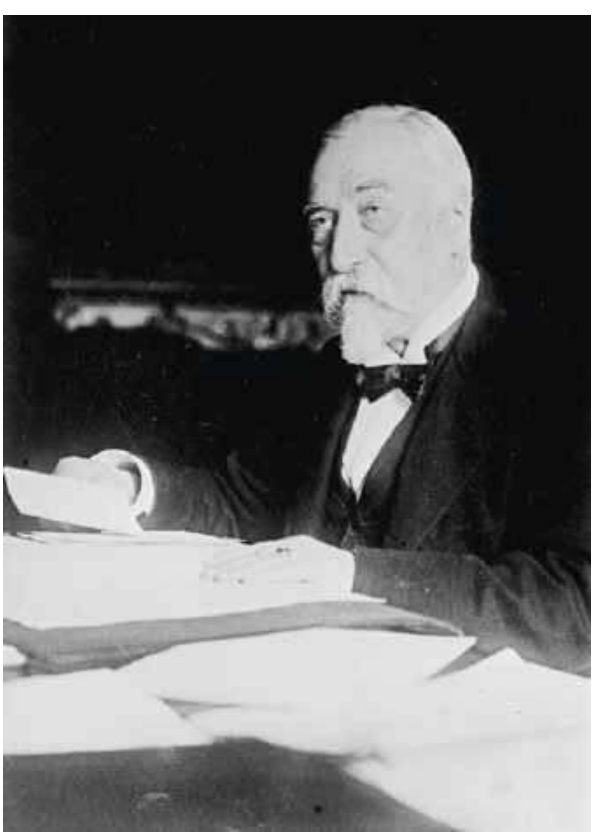

FOT. LIBRARY OF CONGRESS, PRINTS & PHOTOGRAPHS DIVISION/LC-DIG-GGBAIN-05780

eprasa.pl 77c6269fd8

WOJNA O TATRY. JAK ZAMOYSKI OBRONIŁ MORSKIE OKO

„TATRAVEREIN ZAKOPANE. WYROK ZAPADŁ O WPÓŁ DO SIÓDMEJ. – WYGRALIŚMY – OBSZAR SPORNY PRZYZNANY NAM – GRANICA GRZBIETEM ŻABIEGO – NA KOŃCU U SPŁYWU POTOKÓW GRANICA MA BYĆ WYTYCZONA W LINII PROSTEJ"

MAREK SKALSKI

Schronisko PTT nad Morskim Okiem

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Telegram tej treści dotarł do siedziby Towarzystwa Tatrzańskiego 13 września 1902 r. Był to formalny koniec kilkuwiekowego sporu o granicę państwową w Tatrach. Już na początku XVII w. próbowano wyznaczyć tu szczegółowe rozgraniczenie, jednak porzucono ten plan, gdyż król Zygmunt III Waza uznał go za bezcelowy. Błąd ten zemścił się w dobie rozbiorów. Zanim wojska austriackiej cesarzowej Marii Teresy pomaszerowały na Kraków i Lwów, by utworzyć Królestwo Galicji i Lodomerii, ambitna Habsburżanka po-

eprasa.pl 77c6269fd8

stanowiła przyłączyć do swego państwa ziemie sądecką i nowotarską. Miał to być sławny „kordon sanitarny". Co ciekawe, pierwotnie tereny te przyznano Węgrom. Dopiero w 1772 r., już po przymuszeniu Polaków do ratyfikowania traktatu rozbiorowego, połączono je z resztą Galicji. Węgrom na pocieszenie oddano jedynie polski Spisz. Choć granicy formalnie w terenie nadal nie wyznaczono, zwykło się uważać za nią kresy pastwisk górali z Zakopanego pędzących swe owce aż po Rybi Staw. Umownie to tam kończyła się Galicja.

Perła polskiej ziemi

Od początku XIX w. coraz liczniejsi goście pragnęli odwiedzić ową „perłę Galicji" – jak nazywano Morskie Oko. Był tu nawet arcyksiążę Franciszek Karol, który – jak pisano w 1840 r. – „ugościnił bór przy Oku". Z tego powodu już w 1811 r. zarząd powiatu nowotarskiego, do którego należała przeważająca część polskich Tatr, podjął decyzję o poprowadzeniu aż do Morskiego Oka porządnej drogi jezdnej, która umożliwiła odwiedzanie wysokogórskiego jeziora konno i zaprzęgami. Od 1827 r. można mówić o początku zorganizowanego ruchu turystycznego w polskich Tatrach i na ziemiach polskich w ogóle. Ówczesny właściciel Emanuel Homolacs wystawił obok jeziora pierwsze stałe schronisko: kamienną wiatę, która umożliwiała noclegi. Niespodziewanie jednak dla wszystkich pan na sąsiednim majątku już zza kordonu granicznego zażądał usunięcia postronnych turystów „ze swojej" ziemi.

Węgierskie żądania

Geneza sporu o Morskie Oko sięga aż XVI w. Pod koniec tego stulecia za panowania Stefana Batorego właściciele tzw. klucza niedzickiego, którego centrum znajdowało się po południowej węgierskiej stronie Tatr, zaczęli rościć sobie pretensje do położonych na północ od głównej grani tatrzańskich ziem, od stuleci uznawanych za polskie. Początkowo spór toczył się o obszary położone między rzekami Leśnicą i Białką, a więc na wschód od Morskiego Oka. Węgierscy magnaci chcieli wiosek góralskich i terenów je okalających: Białki, Brzegów, Bukowiny i Leśnicy. Głos w tej sprawie zabierali polski król Zygmunt III Waza i habsburscy cesarze. Nieporozumienia

FOT. NAC

Polska delegacja podczas obrad Trybunału Arbitrażowego w Grazu

trwały do 1625 r., kiedy wydawało się, że sprawę ostatecznie załatwiono. Po 150 latach jednak problem powrócił ze zwielokrotnioną siłą.

Po 1769 r. pułkownikowi kwatermistrzostwa armii węgierskiej Seegerowi polecono sporządzić bardzo dokładne mapy polskiego Spisza i przyległych do niego ziem sądeckiej i nowotarskiej. Do pomocy przydzielono mu radcę dworu Józefa Toroka. Seeger „prostował" granicę, Torok zaś popierał go „badaniami" w archiwach publicznych i prywatnych. W tym czasie polska granica w sposób „cudowny" cofnęła się w okolice Rysów i Żabiego, jednak nadal obejmowała Morskie Oko i Czarny Staw pod Rysami.

W 1816 r. dwór wiedeński postanowił starostwo nowotarskie sprzedać w prywatne ręce. Państwo zakopiańskie nabył Węgier Emanuel Homolacs. W rękach jego rodziny polskie Tatry pozostały aż do 1869 r. Po drugiej stronie gospodarzyli panowie na Jaworzynie – Palocsayowie. Właśnie w tym czasie w latach 20. XIX w. dwór jaworzyński ponowił roszczenia wobec ziem położonych w Dolinie Rybiego Potoku. Argumentowali, że skoro Rybi Potok to górny bieg rzeki Białki, która w dolnym biegu stanowi granicę dóbr Palocsayów i Królestwa Węgier, to właśnie wzdłuż biegu tego strumienia powinna biec granica. Należy ją więc przesunąć na zachód. Terytoria Palocsayów objęłyby tym sposobem połowę Morskiego Oka i Czarnego Stawu, granica zaś wiodłaby powyżej nich prosto na południe aż do szczytu Rysów.

Węgierscy panowie zgłaszali roszczenia najpierw dyskretnie, jakby mimochodem, z czasem coraz bardziej natarczywie. Po kilkunastu latach administracja węgierska traktowała je już jako słuszne i usprawiedliwione. Do przełomu doszło w 1859 r., gdy wdowa po Emanuelu Klementyna Homolacsowa zrzekła się wspomnianego obszaru na rzecz Palocsayów. Węgrzy zatriumfowali. Nie na długo jednak, gdyż sąd w Nowym Targu unieważnił transakcję. Na jakiś czas sprawa przycichła...

Książę Hohenlohe lubi polować

W 1879 r. tereny przylegające do Morskiego Oka nabył od węgierskich właścicieli Prusak, książę Chlodwig Hohenlohe-Schilligsfuerst, były kanclerz Niemiec, przez żonę, księżnę Sayn-Wittgenstein, właściciel olbrzymiej posiadłości ziemskiej w guberni pińskiej.

Był to człowiek wielkich wpływów, arystokrata i miłośnik przyrody. Nic dziwnego, że ocenił należycie swoisty czar tatrzańskiej krainy i postanowił stworzyć sobie tam sobie bazę myśliwsko-wypoczynkową. Rybi Staw miał być perłą w jego górskim „królestwie".

Książęcy pełnomocnik zwrócił się do rządu węgierskiego z prośbą o rychłe załatwienie sporu. Chodziło o 300 morgów gospodarstwa, właściwie ekonomicznie »

eprasa.pl 77c6269fd8

bezwartościowego. W sierpniu 1883 r. mieszana komisja graniczna spisała protokół. Uzupełnienia aktów dokonało namiestnictwo galicyjskie dopiero po siedmiu latach.

Polskie skalne Podhale w tym czasie również znajdowało się w prywatnych rękach. Madziarscy właściciele rozwinęli hutnictwo metali na niezwykłą w tamtych czasach skalę. To za ich czasów właśnie powstała kopalnia w Kuźnicach. Cóż z tego, skoro interes wkrótce zaczął podupadać. Wydawało się, że dobra zakopiańskie nieuchronnie muszą trafić w ręce księcia Hohenlohego. Przyszłość polskich Tatr zaczęła rysować się dość ponuro...

Mobilizacja polskich patriotów

Na alarm uderzyli więc członkowie Towarzystwa Tatrzańskiego. Najpierw zwrócono się do marszałka krajowego Galicji Jana Tarnowskiego o wykupienie terenu przez władze państwowe. Okazją miałby być jubileusz 40-lecia objęcia władzy przez „miłościwie panującego Franciszka Józefa". Nie uzyskawszy od władz zapewnień kupna, postanowiono zorganizować społeczną zbiórkę pieniędzy. Powołano specjalny komitet Ochrona Tatr Polskich, który rozwinął naprawdę szeroką, ogólnopolską akcję propagandową. W ciągu dwóch miesięcy uzbierano jednak raptem ok. 7 tys. zł reńskich, gdy tymczasem tylko cena wywoławcza przekraczała kwotę 380 tys. złr.

Pierwsza licytacja została unieważniona przez krakowskiego adwokata – Józefa Rettingera. Doszło więc do kolejnej aukcji publicznej. Jej przebieg opisał w prasie niejaki K. Dobrzyński. Dziś wiemy, że pod tym pseudonimem krył się nie kto inny, tylko Henryk Sienkiewicz.

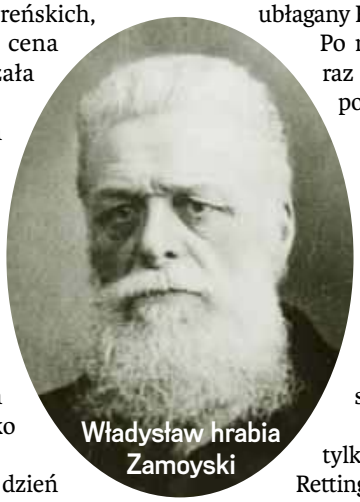
Władysław hrabia Zamoyski

„Na koniec nadchodzi dzień stanowczy. Tłumy zalegają salę. Serca biją niespokojnie. Wśród głębokiej ciszy jeden z urzędników odczytuje nazwiska tych, którzy złożyli wadium. Jest Goldfinger, jest Kolischer, rząd i Towarzystwo. Zamoyskiego nie ma. Stało się! [...] Licytanci szybko przechodzą sumę 400 000 guldenów.

Czterysta pięć tysięcy! – woła Goldfinger.

W drugiej połowie XIX w. popularne stały się wycieczki łodziami, tzw. krypami

FOT. NAC

Czterysta sześć! – odpowiada Markiewicz w imieniu Towarzystwa. [...]

Chwila milczenia!... Pełnomocnik rządu oświadcza, że ustępuje. Wrażenie pognębiające! Towarzystwo nie przemoże takich dwóch potentatów jak Kolischer i Goldfinger. [...] Wtem na sali odzywa się głos mecenasa Rettingera:

Za pozwoleniem! Składam wadium i staję do licytacji!...

Wrażenie nie do opisania. Między publicznością zrywają się szmery i cichną. Podziw miesza się z trwogą i nadzieją. [...]

Czterysta dwadzieścia pięć tysięcy! – powtarza urzędnik.

I centa – dodaje z flegmą Rettinger. [...]

Czterysta trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt!

Głos zamiera Goldfingerowi, gdy wreszcie wyrzuca z siebie słowa:

Czterysta pięćdziesiąt pięć tysięcy!

Czterysta sześćdziesiąt! – mówi nieubłagany Rettinger.

Po raz pierwszy!... Cisza. Po raz drugi. Dłonie Goldfingera podnoszą się naraz ku niebu.

Jam założył papiernię w Zakopanem – mówi głosem »kupca weneckiego« z ostatniego aktu. – *Jam zaczął eksploatować chłop... chciałem powiedzieć lasy!... i teraz... teraz... ustępuję!...*

I po raz trzeci! – rozlega się suchy głos urzędnika.

Dramat skończony. Jest tylko jeszcze mały epilog. Oto Rettinger wstaje i mówi:

»Licytowałem własne imię, obecnie oświadczam, że działałem jako pełnomocnik hr. Władysława Zamoyskiego.«

Sprawa nie mogła wziąć szczęśliwszego obrotu".

I tak naprzeciw dumnego księcia Hohenlohe stanął nie skromny kupiec z Nowego Targu, ale potomek wielkiego polskiego rodu arystokratycznego. Syn adiutanta Naczelnego Wodza polskiej armii czasów powstania listopadowego. Człowiek niezwykle pewny siebie i swych racji, który z dzieła ocalenia Morskiego Oka dla Polski uczynił pracę swojego życia. Książę Hohenlohe w końcu trafił na godnego swej osoby rywala...

„Polski władac"

„Zamoyski kupił Zakopane za centa" – wołali gazeciarze po licytacji 9 maja 1889 r. Jednak w rzeczywistości nabycie dóbr zakopiańskich było operacją kosztowną i wielce ryzykowną. Ale i nabywca był postacią szczególną. Górale mówili o nim po prostu „polski władac".

Kwotę 460 002 złr. i 3 centów Zamoyski zapłacił, zastawiając swój majątek kórnicki, a resztę pożyczył od matki. Miesiąc po licytacji Jadwiga Zamoyska zwierzała się w liście do swej siostry Elżbiety Czartoryskiej: „Dobrze, że się uratowało ten polski klejnot; myślę, że z czasem odpłaci się Zakopane za to, co się uczyniło dla ratowania go, ale obecnie jest on tylko wspaniałym kamieniem u szyi i trzeba będzie tęgo i żwawo pod wodą płynąć, ażeby z Zakopanem nie zatonąć. Nadzieja w Bogu, że pozwoli wybrnąć przyzwoicie".

Niemal nazajutrz po licytacji i objęciu majątku przez Zamoyskiego pomagierzy Hohenlohego zorientowali się, z kim mają do czynienia. Ponad Czarnym Stawem zobaczyli przybitą wielką tablicę: „Państwo Zakopane – rewir Bukowina". Ten gest był w istocie wypowiedzeniem wojny. Rok później turyści polscy udający się na szczyt Rysów tablicy już nie znaleźli. To był jednak dopiero początek. Ponad Morskim Okiem rozgorzała mała, ale jak to u górali, zawzięta wojna.

I tak, kiedy książęcy jegrzy ustawili nad Morskim Okiem słupy graniczne, hrabiowscy górale poprzewracali je. Kiedy węgierscy żandarmi próbowali zbudować budynek graniczny, zakopiańczycy porąbali go siekierami. Wystawiony w tym samym miejscu prowizoryczny szałas został spalony.

eprasa.pl 77c6269fd8

Późną wiosną 1891 r. chłopi jaworzyńscy dokończyli jednak budowę. Odtąd stał tu posterunek żandarmerii, a obok na maszcie powiewała węgierska flaga. Pewnego dnia, a był to początek jesieni, żandarmi zostali zaproszeni na wesele do wsi Białka. Polscy górale, którzy od wieków łowili ryby w stawie, nie mogli ścierpieć węgierskiej agresji. Gazda po królewsku ugościł bratanków, więc ich wizyta przeciągnęła się do nocy. „A noc była piękna, księżyc cudnie świecił nad Mnichem i widocznie zbyt dogrzewał, bo schronisko zapaliło się i zgorzało doszczętnie".

W sierpniu 1894 r. z polecenia Hohenlohego na spornym terytorium znowu zbudowano koszary dla węgierskich żandarmów. W wigilię Bożego Narodzenia budynek spłonął. Sprawców nie wykryto. Osoba bliska Zamoyskiemu wspomniała o blaszance nafty, którą pomogła hrabiemu na plecy załadować, gdy szedł do Morskiego Oka. „Do lamp w schronisku Staszica" – powiedział hrabia, widząc zdziwione spojrzenie. Później, podczas obrad sądu w Grazu hrabia – pytany, kto schronisko spalił – odrzekł: „Górale mówią, że słoneczko przygrzało".

Trybunał w Grazu

Wojna partyzancka nie mogła jednak trwać w nieskończoność. Galicyjskie sądy przyznawały przecież rację Zamoyskiemu, węgierskie znowu Hohenlohemu. Dla wszystkich było jasne, że spór może rozstrzygnąć tylko jakaś instytucja będąca ponad organami państwowymi Austrii i Węgier. A więc sam cesarz! I stary Franciszek Józef spór ten rozstrzygnął. Zadecydował o powołaniu specjalnego trybunału. W jego skład miał wchodzić przedstawiciel Węgier, Galicji i trzeci, tzw. superarbiter. Po długich korowodach z ustaleniem składu sądu arbitrażowego trybunał zebrał się w końcu w sierpniu 1902 r. w austriackim Grazu (Grodźcu, jak mówiono wówczas w Polsce, pamiętając o słowiańskim rodowodzie tego miasta). Pierwsza runda zdecydowanie należała do Polski. Polacy byli bowiem świetnie przygotowani. Oswald Balzer, ekspert strony polskiej (oficjalnie galicyjskiej), przedstawił argumenty historyczne, geograficzne i etnograficzne.

Strona węgierska pewna sukcesu nie zadała sobie nawet trudu pozbierania dokumentów z archiwów. Przedstawiciel Madziarów ograniczył się do odpisów sentencji ostatnich wyroków sądów w Lewoczy i Kieżmarku. Sędziowie nie byli jednak skłonni wydać wyroku na podorędziu. Po wizji lokalnej nad Morskim Okiem orzeczenie mogło być tylko jedno: Galicji przyznano niemal cały sporny obszar.

Zwycięstwo spowodowało radość w całym kraju. Wydawano pamiątkowe pocztówki, albumy, a moda na Zakopane jeszcze bardziej się wzmocniła.

Choć formalnie teren sporny przypadł Galicji, to jednak wszyscy doskonale rozumieli, że w istocie chodzi tu o granice Polski, przyszłej Niepodległej. Zwycięski spór o Morskie Oko dawał nadzieję, że odrodzone państwo polskie obejmie w przyszłości i inne historyczne ziemie oderwane od Macierzy w okresie upadku pod ciosami zaborców.

AUTOPROMOCJA

POLECAMY

TELEWIZJA W POLSCE PL

BARDZO WAŻNA SPRAWA

– GORĄCA DYSKUSJA, MERYTORYCZNE STARCIE ARGUMENTÓW

ŚRODA
o godz. 12.29

OGLĄDAJ TELEWIZJA W POLSCE PL W CYFROWY POLSAT NA POZYCJI 196

eprasa.pl 77c6289fd8

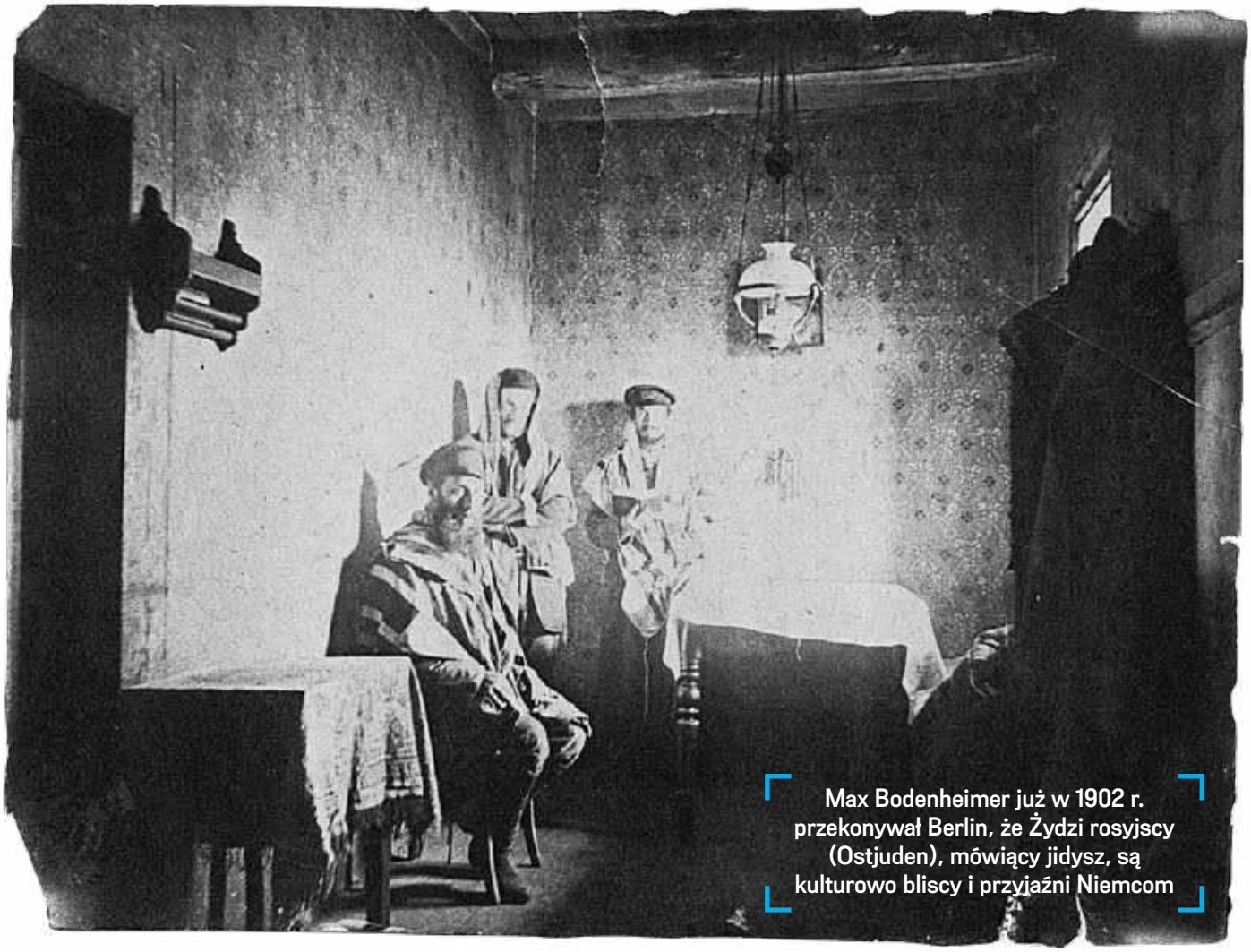

Max Bodenheimer już w 1902 r. przekonywał Berlin, że Żydzi rosyjscy (Ostjuden), mówiący jidysz, są kulturowo bliscy i przyjaźni Niemcom

JUDEOPOLONIA FAKT, A NIE MIT

W HISTORIOGRAFII KONCEPCJA STWORZENIA W XX w. W EUROPIE ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ PAŃSTWA ŻYDOWSKIEGO – OKREŚLONA POTOCZNIE MIANEM „JUDEOPOLONII" – BUDZI SKRAJNE OPINIE. NIE ULEGA JEDNAK KWESTII, ŻE PROJEKT ISTNIAŁ, PRZEZ MIESIĄCE BYŁ REALIZOWANY. BAGATELIZOWANIE GO LUB NAZYWANIE UROJENIEM JEST BULWERSUJĄCYM ZAFAŁSZOWANIEM

eprasa.pl 77c6269fd8

MACIEJ GLOGER

Jedni badacze jednoznacznie nazywają ją mitem lub teorią spiskową, u której podłoża leżą antyżydowskie uprzedzenia i myślenie paranoiczne. Drudzy przedstawiają konkretne fakty, które istnienie i próbę realizacji takiego projektu jednoznacznie potwierdzają.

Projekt stworzenia buforowego państwa między Niemcami a Rosją z dominującą populacją Żydów sformułował tuż po wybuchu I wojny światowej znaczący niemiecki działacz syjonistyczny Max Isydor Bodenheimer (1865–1940), przewodniczący Niemieckiego Towarzystwa Syjonistycznego (Zionistische Vereinigung für Deutschland) założonego w 1897 r. Był on bliskim współpracownikiem właściwego twórcy syjonizmu Theodora Herzla, który wydał w 1895 r. kluczową dla ruchu pracę „Judenstat" (Państwo żydowskie).

Warto tu podkreślić, że syjonizm miał charakter skrajnie nacjonalistyczny i etnocentryczny. Na przełomie XIX i XX w. czołowi działacze syjonistyczni prowadzili ożywioną dysputę na temat idei nowego Hebrajczyka, swoistego „Überjude". Na I Kongresie Syjonistycznym w 1897 r. Max Nordau wygłosił referat „Übermensch" opublikowany w 1900 r. na łamach wiedeńskiego dziennika „Neue Freie Presse". Inny działacz syjonistyczny Ahad Ha'am (Aszer Ginsberg) postulował, że proces odnowy i przygotowania nowego Żyda musi być zapoczątkowany w diasporze, gdzie idea państwa żydowskiego miała osiągnąć odpowiednią dojrzałość, wytwarzając struktury polityczne, społeczne, socjalne oraz kulturowe. Sugerował, że koncept nadczłowieka należy rozszerzyć na naród jako kolektywną całość – Übervolk. Koncept nadczłowieka i nadnarodu, tak jak w faszyzmie niemieckim, rozumiano jako gatunek wznoszący się ponad przeciętność, czyli jako projektowany wyższy rodzaj ludzki.

Theodor Herzl

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA (x2)

Proniemieccy syjoniści

Projekt Bodenheimera, którego autor miewał audiencje u samego cesarza Wilhelma II, zyskał życzliwe zainteresowanie niemieckich najwyższych władz politycznych i wojskowych. Rządzący w Berlinie byli przekonani o szybkim sukcesie w wojnie z Rosją, a przez to liczyli na pomoc ludności żydowskiej w opanowywaniu zajmowanych terenów. Jak przekonywał Bodenheimer już w swym memorandum do rządu niemieckiego z 1902 r., Żydzi rosyjscy (Ostjuden) posługujący się językiem jidysz są kulturowo bliscy Niemcom, gdyż jest to ludowy język bliski niemczyźnie. Dzięki tej językowej bliskości mieli być znakomitym narzędziem realizacji niemieckich wpływów zarówno w Europie Wschodniej, jak i później na Bliskim Wschodzie, gdzie planowano ich przesiedlanie, stwarzając z wolna grunt pod państwo żydowskie. Stąd też brały się intensywne kontakty polityczne syjonistów z Turcją będącą sojusznikiem Niemiec, a skonfliktowaną z Rosją. Przekonując niemieckie władze do swojego projektu, jego autor zadziwiająco trafnie ostrzegał przed niebezpieczeństwem odrodzenia się polskiego państwa na terenach zaboru rosyjskiego, co może w konsekwencji wzbudzić powstanie narodowe w Poznaniu i doprowadzić do oderwania Wielkopolski od Niemiec. Notabene w Poznaniu odbył się w 1912 r., w oddanej w 1907 r. do użytku jednej z największych wówczas synagog na świecie, kongres syjonistyczny, na którym ujawniły się radykalnie separatystyczne, także wobec Niemców, postawy wśród młodszego pokolenia syjonistów. Wzniesienie tak imponującej synagogi, która stała się do II wojny światowej dominującym elementem architektonicznym poznańskiej starówki, było elementem niemieckiego kulturkampfu, co potwierdzało znakomitą symbiozę żydowsko-niemiecką w Rzeszy.

„Judeopolonia", w której dominującą pozycję kulturalną i polityczną posiadaliby Żydzi, miała zabezpieczać solidnie niemieckie interesy na wschodzie i zapobiegać odradzaniu się separatyzmów narodowych nacji słowiańskich, w tym zwłaszcza polskiej. W interesie Żydów – argumentował Bodenheimer – będzie utrzymywanie dobrych relacji z Niemcami, którzy będą z kolei gwarantem ich dominacji w projektowanym państwie.

„JUDEOPOLONIA", W KTÓREJ DOMINUJĄCĄ POZYCJĘ POSIADALIBY ŻYDZI, MIAŁA ZABEZPIECZAĆ NIEMIECKIE INTERESY NA WSCHODZIE I ZAPOBIEGAĆ ODRADZANIU SIĘ SEPARATYZMÓW SŁOWIAŃSKICH

Siła Rothschilda

17 sierpnia 1914 r. zawiązał się w Berlinie Niemiecki Komitet do Wyzwolenia Żydów Rosyjskich. W środowiskach syjonistycznych ujawniły się entuzjazm wobec projektu i nadzieje na przełamanie wewnętrznych sporów. Udział w projekcie przyjęli także syjoniści zorientowani bardziej na państwa Ententy, tacy jak Nahum Sokołow, chociaż w swych proniemieckich i antyrosyjskich deklaracjach wykazywali się większą wstrzemięźliwością i rozwagą, słusznie przewidując, że gra na jedną kartę, gdy wojna jest w toku, może się okazać zgubna dla ruchu syjonistycznego. Powstały odezwy kolportowane na wschód, ruszyła prasa sławiąca idee wyzwolenia Żydów rosyjskich pod niemieckim protektoratem, rozpoczęła się propaganda ogólnoświatowa, z centrum na gruncie neutralnej Danii, która niestety polegała także na oczernianiu Polski, celem przekonania opinii publicznej, że ewentualne przyszłe polskie państwo będzie miało charakter opresyjny wobec »

eprasa.pl 77c6269fd8

FOT. EVERETT HISTORICAL / SHUTTERSTOCK.COM

Projektem „Judeopolonii" w 1914 r. zainteresowały się najwyższe niemieckie władze polityczne i wojskowe, łącznie z Wilhelmem II (na zdj. cesarz wizytuje oddziały idące na front)

» Żydów. Mimo całej tej propagandy, na łamach endeckiego „Przeglądu Narodowego" podkreślano w 1919 r.: „Państwo polskie w obecnej chwili urządzenia wewnętrznego stoi przed koniecznością ważnych decyzji w sprawie żydowskiej. Nie ma stronnictwa polskiego, które by nie wysuwało zasady równouprawnienia obywatelskiego i politycznego Żydów".

W 1914 r. RUSZYŁA AKCJA PROPAGANDOWA MAJĄCA NA CELU PRZEKONANIE OPINII PUBLICZNEJ, ŻE EWENTUALNE PRZYSZŁE POLSKIE PAŃSTWO BĘDZIE MIAŁO CHARAKTER OPRESYJNY WOBEC ŻYDÓW

W październiku 1914 r. Bodenheimer, wraz z innym znaczącym niemieckim działaczem syjonistycznym Franzem Oppenheimerem (1864–1943), na zaproszenie ówczesnego szefa sztabu 8. armii generała Ericha Ludendorffa wizytował linię frontu wschodniego, gdzie spotykał się ze wszystkimi honorami i debatował z marszałkiem Paulem von Hindenburgiem, dowódcą sił niemieckich walczących z Rosją. W Radomiu napotkali grupę ludności żydowskiej wystraszoną egzekucją trzech rabinów dokonaną przez Rosjan podejrzewających ich o szpiegostwo na rzecz Niemiec. Takie wydarzenia przekonały europejskie elity syjonistyczne, że projekt Bodenheimera może mieć katastrofalne skutki dla Żydów wschodnich, ściągając na masy ludności falę prześladowań. Na początku września lider niemieckich syjonistów otrzymał ostrzegawczy list od duńsko-żydowskiego bankiera Jacobusa Kanna (1872–1945), uczynionego przez niego szefem Żydowskiego Narodowego Funduszu, finansującego politykę syjonistyczną, że jego proniemiecka polityka może mieć fatalne skutki dla ruchu i jego finansów usadowionych w Hadze.

Tymczasem karta wojenna faktycznie się odwróciła i polityka syjonistyczna została szybko przekierowana na grunt neutralny, a później została związana przede wszystkim z interesami Wielkiej Brytanii, co przyniosło efekt w postaci złożenia 2 listopada 1917 r. na ręce przedstawiciela największej rodziny bankierskiej wszech czasów, finansującej od dawna ruch syjonistyczny, Waltera Rothschilda, deklaracji ministra spraw zagranicznych Arthura Jamesa Balfoura.

Tak więc w listopadzie 1914 r. projekt Bodenheimera został wycofany, a on sam, jako autor przedwczesnej i teraz skompromitowanej koncepcji, odsunięty na boczne tory polityki żydowskiej. Deklaracja Balfoura otworzyła drogę do utworzenia Państwa Izrael, tak więc krytycy proniemieckiego syjonizmu okazali się bardziej zapobiegawczy i przewidujący.

Współpraca z Niemcami

Nie zmienia to faktu, że projekt „Judeopolonii" istniał, przez miesiące był realizowany, zupełnie bez jakiejkolwiek empatii wobec polskich dążeń niepodległościowych. Bagatelizowanie tego dobrze udo-

eprasa.pl 77c6269fd8

kumentowanego projektu lub nazywanie go urojeniem jest jednym z najbardziej bulwersujących zafałszowań światowej historiografii. Koncepcja ta została wnikliwie udokumentowana choćby w pracy amerykańskiego historyka Jaya Tickera (na podstawie archiwów syjonistycznych), w której projekt scharakteryzowano wprost jako przeciwny polskim dążeniom. Jego realizacja na podstawie ówczesnego powszechnego przekonania o potędze militarnej Niemiec i Austro-Węgier oraz znakomitej pozycji Żydów w państwach centralnych (także w Austro-Węgrzech), ujawniających odważnie i z rozmachem swoje ambicje narodowe, wydawała się całkiem realna. Wysiłki żydowskie dążące do maksymalnego skompromitowania i osłabienia przyszłego państwa polskiego celem stworzenia na jego terenach możliwie największej autonomii, a wręcz, co często zauważali politycy zachodnioeuropejscy, pozycji uprzywilejowanej dla Żydów, opartej na żądaniach ustrojowych rozwiązań zupełnie niespotykanych w innych krajach europejskich, nie ustawały po 1914 r., a nawet się nasilały.

Roman Dmowski, pomawiany o judeofobię, napotykał w swych dyplomatycznych wysiłkach zupełnie niespodziewane przeszkody ze strony antypolsko uprzedzonych Żydów, takich jak pracownik brytyjskiego Foreign Office Lewis Namier vel Ludwik Bernstein, syjonistyczny aktywista, później znaczący historyk brytyjski, który robił, co mógł, aby sprawy polskie przedstawiać angielskim politykom w jak najgorszym świetle. Jego działalność okazała się szczególnie groźna w dobie wojny polsko-bolszewickiej, co opisał kompleksowo w swej znakomitej monografii „Pierwsza zdrada Zachodu. 1920 – zapomniany appeasement" (2015) najwybitniejszy obecnie polski historyk prof. Andrzej Nowak.

Amerykańskie świadectwo

Z pomówieniami dotyczącymi Polski o powodowanie pogromów i antysemityzm rozprawiła się dopiero amerykańska komisja Henry'ego Morgenthaua (seniora), Żyda z pochodzenia, której głośny raport ogłoszono 3 października 1919 r. Raport wyolbrzymiane czy fałszywie adresowane przez propagandę syjonistyczną oskarżenia przedstawił we właściwych proporcjach i kontekstach. Jeden z członków tej komisji kpt. Peter Wright raportował: „W obecnej chwili doktryną syjonistów, czyli nacjonalistów (co wychodzi na jedno), jest: my Żydzi mamy własną rasę, religię i język narodowy (choć nie wiemy na pewno, czy jest nim żydowski, czy hebrajski), przeto jesteśmy narodem. Naszym krajem jest Palestyna, lecz zanim stanie się ona naszym domem ojczystym, chcemy zorganizować się jako odrębny naród w Polsce". Pisał to polityk, który w swym wyjątkowo wnikliwym, opartym na solidnej wiedzy historycznej i kulturowej, raporcie, opublikowanym niedawno przez Łukasza Jastrzębia, równie jednoznacznie i obiektywnie opisywał stosunek Polaków do Żydów. Raport odnotowywał także niestety szeroką żydowską kolaborację w czasie I wojny: „Żydzi byli u szczytu potęgi i tryumfu w czasie okupacji niemieckiej, ponieważ są oni mocno zgermanizowani, w Polsce można z niemieckim językiem przebyć cały kraj, gdyż wszędzie spotyka się Żydów. W ten sposób Niemcy na każdym kroku znajdywali ludzi ze znajomością swego języka, chętnych do współdziałania. Właśnie przy pomocy Żydów Niemcy zorganizowali się w celu gniecenia i wyciskania z Polski wszystkiego, co się dało. Przy ich to współudziale niemieccy urzędnicy i oficerowie przeprowadzali przeróżne manipulacje i handlowe interesy w całym kraju. W każdej guberni i w każdym powiecie stali się narzędziami Niemców; niedawni biedacy wzbogacili się szybko i stawali możnymi w służbie nowych władców".

Warto przeczytać:

1. Jay Ticker, Max I. Bodenheimer: „Advocate of Pro-German Zionizm at the Beginning of World War I. Jewish Social Studies", 1981, vol. 43, issue 1, s. 11-30;
2. Maria Stecka, „Żydzi w Polsce", Warszawa 1921;
3. Łukasz Jastrząb, „Raporty o antysemickich wystąpieniach w Polsce po I wojnie światowej. Pamiętnik Biblioteki Kórnickiej" 2015, t. 32;
4. Zoltán Halasi, „The ghost of Judeopolonia or the never-existing Eastern European confederation", w zbiorze: „Understanding Central Europe", ed. by Marcin Moskalewicz and Wojciech Przybylski. Routledge, New York 2018;
5. Andrzej Nowak, „Pierwsza zdrada Zachodu. 1920 – zapomniany appeasement", Kraków 2015.

AUTOPROMOCJA

polecamy WSKLEPIKU.PL

Zajrzyj koniecznie na naszą stronę WSKLEPIKU.PL

Krótsze ramię Moskwy
Lech Kowalski

Wojskową Służbę Wewnętrzną większość z nas kojarzy tylko z kontrwywiadem wojskowym. W istocie organa WSW były typową bezpieką wojskową, policją polityczną, która na co dzień ściśle współpracowała z bezpieką cywilną. Niniejsza monografia obejmująca lata 1957–1990 wiedzie od kołyski bezpieczniackiej po resortową emeryturę, wszechstronnie dokumentując działalność wojskowych służb specjalnych Polski Ludowej.

Niechciani generałowie
Szymon Nowak

Bohaterowie i legendarni dowódcy. Po wojnie nie mogli wrócić do Polski. Wielka Brytania przestała życzliwie traktować wojennych uchodźców w mundurach. Aby utrzymać rodziny, Kawalerowie Orderu Virtuti Militari zostawali barmanami, tapicerami i nocnymi cieciami. Na londyńskiej paradzie zwycięstwa w 1946 r., w której obok Anglików i Amerykanów maszerowali nawet sanitariusze z Fidżi i oddziały robocze z Seszeli, zabrakło Polaków.

Sarmacja. Obalanie mitów
Jacek Kowalski

Czasy sarmackie – czy tylko Złota Wolność i anarchia? Czy tylko kołtuneria mimo podgolonych łbów? Czy na pewno wzrastająca nietolerancja katolickiej Sarmacji oraz Kresy, na których Rusini eksploatowani byli niczym Murzyni? I czy na pewno „sarmatyzm"? Cóż to za zjawisko, wokół którego nagromadziło się tak wiele mitów i przekłamań, iż wielu z nas sądzi, że o Sarmacji wypada mówić wyłącznie negatywnie – na wszelki wypadek nie weryfikując faktów?

Zamówienia można również składać telefonicznie pod numerem: 22 836 54 45

eprasa.pl 77c6269d8

AGNIESZKA, ŻONA WŁADYSŁAWA II

POWIĄZANIA RODZINNE AGNIESZKI BYŁY WSPANIAŁE, ALE NIE ZNALAZŁA ONA UZNANIA W POLSKIEJ TRADYCJI, ŹLE O NIEJ PISAŁ JUŻ WINCENTY KADŁUBEK. CZY JEDNAK KSIĘŻNICZKA TA RZECZYWIŚCIE ZASŁUŻYŁA NA TAK NIEPOCHLEBNĄ OPINIĘ?

MAREK BARAŃSKI

Agnieszka urodziła się ok. 1111 r. Była córką Leopolda III, margrabiego Austrii, z rodu Babenbergów, i Agnieszki, córki cesarza Henryka IV, wdowy po Fryderyku Hohenstaufie, która ze swym pierwszym mężem miała syna Konrada. Został on w 1138 r. królem Niemiec.

Agnieszka ok. 1125 r. wyszła za mąż za Władysława, najstarszego syna Bolesława Krzywoustego. Małżeństwo to było potrzebne Bolesławowi dla wzmocnienia własnej pozycji w stosunku do króla Niemiec i cesarza rzymskiego Lotara z Supplinburga. Do 1138 r., w którym zmarł Bolesław Krzywousty, Agnieszka nie pozostawiła po sobie wyraźnych śladów w źródłach. Zapewne więc pełniła wyłącznie funkcję małżonki następcy polskiego tronu, a także rodziła mu kolejne dzieci. Zdaniem opisującego tamte czasy Wincentego Kadłubka Agnieszka uaktywniła się po 1138 r.

Po śmierci Bolesława Krzywoustego na krakowskim tronie zasiadł Władysław. Jako najstarszy z synów zmarłego posiadał on władzę zwierzchnią nad przyrodnimi braćmi, a także dziedziczną dzielnicę śląską. Dwaj jego młodsi bracia, Bolesław i Mieszko, dostali, zgodnie z uchwalonym wcześniej statutem sukcesyjnym, Mazowsze i dzielnicę poznańską. Dwaj następni bracia, Henryk i Kazimierz, pozostawali pod opieką matki, księżnej Salomei. Każdy z braci Władysława czekał też na moment, w którym będzie najstarszy i obejmie Kraków wraz z senioratem.

Ustrój, jaki zapanował w Polsce od 1138 r., nie podobał się ani księciu Władysławowi, ani jego macosze, wdowie po Krzywoustym, Salomei. Zaczęła ona dążyć do wzmocnienia pozycji swoich synów. Bardzo prędko przywództwo w obozie książąt juniorów przejęli jej najstarsi synowie, Bolesław i Mieszko. Również książę Władysław szykował się do konfrontacji, dążył bowiem do samodzielnego panowania w Polsce. Wobec sprzecznych interesów obu stron już w 1142 r. doszło do pierwszego etapu wojny domowej.

W obozie książąt juniorów początkowo inicjatywa należała do ich matki, księżny Salomei. Natomiast przywódcą obozu przeciwnego był niewątpliwie Władysław. Mimo to Wincenty Kadłubek winą za wojnę domową w Polsce obciążył księżnę Agnieszkę. Pisał on, że Władysław był wprawdzie ambitny i hardy, jednak bardzo ludzki. Natomiast do wystąpienia przeciwko braciom nakłoniła go żona zwana przez kronikarza „tygrysicą". Miała ona nazywać męża „półksięciem, nawet półmężem, ponieważ zadawalając się czwartą cząstką jednego źrebia, jak niewiasta znosi [obok siebie] tylu, i to takich, co są więcej niż książętami. A ponieważ ten, co rządzi, bez trudu przekonuje [podwładnego], bardzo szybko nakłania małżonka [do swego zamysłu]".

Wojna domowa zakończyła się w 1146 r. W wyniku klęski poniesionej pod Poznaniem Władysław musiał uciekać z Polski. Agnieszka broniła jeszcze jakiś czas Krakowa, ale w końcu się poddała i wraz z dziećmi podążyła za mężem do Niemiec. Para książęca liczyła na pomoc króla niemieckiego Konrada, który był przecież przyrodnim bratem Agnieszki, jednak pomocy tej się nie doczekała. Wprawdzie Konrad wyruszył z wojskiem przeciw Polsce, ale wyprawa ta zakończyła się przed rozpoczęciem działań wojennych. Konrada zaprzątały ważniejsze dla niego sprawy niż przywrócenie swej siostrze tronu krakowskiego. Prawdziwą wojnę w interesie Władysława rozpoczął w 1157 r. cesarz Fryderyk Barbarossa. Wojska jego doszły niemal do Poznania, panujący w Polsce Bolesław Kędzierzawy i jego bracia nie mogli się im przeciwstawić. Jednak nawet ta zwycięska wyprawa cesarska nie przywróciła Władysławowi władzy w Polsce. Fryderyk, po złożeniu hołdu przez Bolesława i zapłaceniu dużej sumy pieniędzy, wycofał się z Polski. Władysław i jego żona dostali od cesarza tylko zamek Altenburg w Saksonii. Tam wiedli smutny żywot politycznych emigrantów.

Być może, że księżna Agnieszka budząc ambicję swego małżonka, przyczyniła się do wybuchu wojny domowej. Ale jeśli nawet tak było, walczyła ona przecież o wzmocnienie pozycji swego męża i o przyszłość swych synów.

eprasa.pl 77c6269fd8

Oddech tej ziemi

PIOTR SKWIECIŃSKI

Marksistowski literaturoznawca Jan Kott opisuje, jak to w okupowanej Warszawie, będąc żołnierzem komunistycznej AL, prowadził pogadankę dla młodzieży z alowskich grup dywersyjnych. Kott specjalizował się w twórczości Josepha Conrada, postanowił więc poświęcić zajęcia temu pisarzowi. Chodziło mu o zdemolowanie, przebijającej z książek Conrada, koncepcji wierności jako nadrzędnej wartości, co miało mu posłużyć do zdemaskowania, opartej na wierności, ideologii AK.

„Słuchali mnie zresztą z wypiekami i zadawali wcale dorzeczne pytania" – pisze Kott. „Ale moje wywody, że posłuszeństwo prawom historii ważniejsze jest od wierności, nie trafiały im do przekonania. Byli za wiernością i za honorem".

Byli to, przypomnijmy, młodziutcy adepci polskiego komunizmu. I myślę, że ta historyjka obrazuje coś bardzo znaczącego. A mianowicie to, jak dogłębny, przenikający i specyficzny był wpływ polskości nawet na tych, których polityczne wybory od tej polskości oddalały.

Zwróćmy uwagę na pewien fenomen. Porównajmy komunizmy polski i czechosłowacki. Przed wojną, przypomnijmy, w naszym kraju partia komunistyczna była nielegalna i zwalczana, a jej działacze siedzieli w więzieniach. Było to zrozumiałe: wszak byli instrumentem czyhającego na naszą niepodległość obcego państwa. Ale subiektywnie mieli wszelkie psychologiczne powody, żeby kiedy będą już w stanie, zacząć się mścić.

W międzywojennej Czechosłowacji było zupełnie inaczej. Partia komunistyczna była legalna, obecna w parlamencie i samorządach. O żadnych jej prześladowaniach nie było mowy, a więc czechosłowaccy komuniści nie mieli żadnych psychologicznych przyczyn, żeby jakoś strasznie nienawidzić swoich przeciwników.

Potem w obu krajach nastąpiła okupacja, a dalej władzę objęli komuniści. I rzecz zaskakująca. Oczywiście i tu, i tu zaprowadzili dyktaturę. Oczywiście i tu, i tu zapanowały terror i prześladowania. Ale w Czechosłowacji ów terror był i, według wszelkich wskaźników, większy, i przede wszystkim trwał znacznie dłużej niż w Polsce. Czeski stalinizm trwał praktycznie aż do połowy lat 60. Aż do tego momentu prześladowano kulturowe wpływy Zachodu. Analogiczne działania polskich komunistów nigdy nie osiągnęły tej skali i trwały krócej – praktycznie skończyły się niebawem po śmierci Stalina.

Bo jest coś takiego w polskości, w polskiej kulturze (mistycznie chciałoby się rzec: w oddechu tej ziemi...), co poddanych tym wpływom duchowo odwraca. Ułagadza. I nawet wrogów polskości – czyni paradoksalnie, co najmniej w części, duchowo polskimi.

POLSKIM OKIEM

W UE zaostrza się walka klasowa...

RYSZARD CZARNECKI

Niektórzy się oburzą na te porównania, ale co mi tam... Za komuny walka klasowa zgodnie z tą pokrętną ideologią zaostrzała się w miarę rozwoju komunizmu i społeczeństwa socjalistycznego. Było to nad wyraz dialektyczne. Ale doktryna obowiązywała.

Nie chcę pisać o komunie, ale owa spirala coraz bardziej nakręcającej się walki z „wrogami ludu" przypomina mi się, ilekroć obserwuję reakcje liderów Unii Europejskiej oraz wielu państw członkowskich UE na ewidentny kryzys, w którym Unia się znalazła. A o tym, że UE jest w kryzysie, jest mowa od paruna-stu lat. Tylko nazwy się zmieniają: kryzys instytucjonalny, kryzys gospodarczy, kryzys bankowy, kryzys braku zaufania do Brukseli itd., itp. I cały czas słyszę tę samą pseudoreceptę. Objawia się ona w haśle: „Więcej Europy w Europie". Gdy w drugiej połowie zeszłej dekady zauważono, że narody europejskie są coraz mniej skore do okazywania entuzjazmu unijnym strukturom, wówczas wymyślono ze śmiertelną powagą, wręcz z groteskowym zadęciem, „plan D". Przy czym owe „D" było skrótem od słowa „democracy". Że niby Bruksela od tej pory reaguje na głosy obywateli państw członkowskich uskarżających się na małą demokratyczność i przejrzystość eurostruktur i teraz będzie, a jakże, wzorem demokracji przez wielkie „D"...

O owej inicjatywie tak szybko zapomniano, jak ją – na jakimś eurokolanie – napisano. Dziś też już się nie pamięta, że w tzw. strategii lizbońskiej zakładano, iż innowacyjna, nowoczesna Europa ma się rozwijać tak szybko, że w roku 2010 (sic!) poziomem rozwoju gospodarczego ma doścignąć... USA.

Pohukiwanie Verhofstadta et consortes, że problemy Europy trzeba leczyć, zwiększając tempo integracji europejskiej, przypomina mi nie tylko komunę, ale również konia Benjamina, z powieści George'a Orwella „Folwark zwierzęcy". Gołym okiem było widać, że panzwierzęca ideologia służy tylko kaście świń i cały projekt trzeszczy w szwach, ale poczciwy koń Benjamin widząc powiększający się kryzys na folwarku, zaciskał żuchwy i składał przyrzeczenie, że będzie pracował jeszcze więcej i ciężej. Aż zdechł.

Porównania działań UE do wytycznych politbiura czy wizji Orwella to zasługa Brukseli, a nie moja. Unia na te porównania doprawdy ciężko pracuje...

eprasa.pl 77c6269fd8

OBYWATEL ZIEMSKI JÓZEF BRANDT HERBU PRZYSŁUGA

W 1915 r. EWAKUOWANY PRZEZ WŁADZE CARSKIE ZE SWOJEGO DWORU W OROŃSKU, ZMARŁ W RADOMIU WYBITNY POLSKI MALARZ JÓZEF BRANDT (1841–1915)

Józef Brandt, „Bitwa pod Chocimiem", 1867 r., fragment

reprasa.pl 77c6269fd8

JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

Mowę pogrzebową 14 czerwca 1915 r. w radomskiej farze pw. św. Jana Chrzciciela wygłosił ks. kanonik sandomierski Józef Rakoszny: „W takich czasach niedoli i bólu, poniżenia i niemocy, rozterki i zawieruchy – stajemy nad trumną wielkiego Polaka, znakomitego artysty o wszechświatowej sławie, genialnego i niestrudzonego w ciągu lat 50 pracownika na niwie malarskiej – Józefa Brandta. W czasach pokoju żegnałby go świat cały uroczyście i okazale i tryumfalnie; dziś... otacza go skromna naszego miasta i ziemi radomskiej gromada". Nie była jednak to taka „skromna gromada", skoro „Gazeta Radomska" z dnia następnego donosiła: „Mnogie tłumy zebrały się, aby oddać hołd prochom sławnego talentu. Szkoły polskie, szkółki i ochrony poprzedzały ciało, niesione kolejno na barkach obywateli ziemskich, przedstawicieli miasta i włościan. Liczne wieńce od społeczeństwa i rodziny bądź niesione poprzedzały kondukt żałobny, bądź wiezione były na wozach".

Ks. kanonik Józef Rakoszny przypominał dalej: „Brandt należy do najwybitniejszych malarzy polskich. Idea piękna rozwinęła się u niego i kształciła na gruncie ojczystym. Koń i jeździec, ruch i zgiełk wojenny – to podstawowe czynniki jego obrazów. Szły za tym najwyższe odznaczenia od instytucji, wystaw, monarchów. Skala talentu jego jest bardzo rozległa: na pierwszym miejscu trzebaby postawić jego bitwy w XVII wieku staczane na ziemiach polskich – są one głęboko odczutemi kartami historji; sceny rodzajowe: sielskie, myśliwskie, jazdy, jarmarki, napady – są pełne życia, chwytają za serce polskiego widza. Dla nas ma on tę wielką zasługę, że jeden z pierwszych wniósł u nas do sztuki pierwiastek rodzimy i rozwinął go pod względem formy i stylu tak odmiennie i tak wytwornie, że w galeriach i muzeach świata obrazy jego znamionują swą odrębność. Przedmiot tych obrazów był dla zachodu obcy i dzięki tylko wysokiej kulturze Brandta zyskały one uznanie wśród świata".

Rodzinne koneksje

Nobilitację wraz z herbem Przysługa dla rodziny Brandtów uzyskał dekretem z 8 lutego 1820 r. za wybitne zasługi naukowe dziad sławnego malarza, Franciszek Antoni, profesor medycyny na Uniwersytecie Warszawskim. Był on też współzałożycielem i pierwszym prezesem Towarzystwa Lekarskiego oraz fizykiem miasta Warszawy. Jego syn Alfons Jan, również lekarz, sprawował m.in. obowiązki naczelnego lekarza Ordynacji Zamoyskiej. W młodości należał do bliskich przyjaciół Fryderyka Chopina i Konstantego Pruszaka h. Leliwa. Ten ostatni pochodził ze znanej ziemiańskiej rodziny wywodzącej się z Pomorza, później posiadającej liczne majątki na Mazowszu, m.in. pałac w Sannikach, gdzie koncertował młody Chopin.

W siedzibie Ordynacji Zamoyskiej w Szczebrzeszynie w 1841 r. na świat przyszedł syn Alfonsa Jana i Anny Krystyny z Lesslów h. Grabie Brandtów, przyszły malarz Józef Stanisław. »

FOT. LIGIER PIOTR/MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Jego ojcem chrzestnym został Andrzej hr. Zamoyski. Po przedwczesnej śmierci rodzica małego Józefa wychowywała matka, malarka amatorka, często wraz z synem odwiedzająca ziemskie majątki rodziny. Bywała więc we dworze w Konarach p. Radomiem, dzierżawionym przez jej brata inżyniera rolnika i zapalonego koniarza Stanisława Lessla, oraz w nieodległej Grzmiącej n. Pilicą należącej do drugiego brata Artura. Wiejskie wakacje i konne jazdy pomiędzy starymi ziemiańskimi dworami Józef Brandt zapamiętał na całe życie.

Ucząc się w warszawskim Instytucie Szlacheckim, który ukończył z odznaczeniem, Józef Brandt przyjaźnił się z Aleksandrem Pruszakiem, synem Konstantego, bliskiego przyjaciela nieżyjącego już wtedy ojca. Chłopcy spotykali się nie tylko w szkole, ale też na wakacjach w Konarach lub majątku Orońsko będącym wówczas własnością wdowy po Konstantym, Amelii z Christianich h. własnego Pruszakowej. Wysłany później przez Andrzeja hr. Zamoyskiego na inżynierskie studia do Paryża, Brandt pod wpływem poznanego we Francji Juliusza Kossaka rzucił politechnikę i oddał się w pełni malarstwu. Letnie miesiące obaj artyści spędzali w Polsce, podróżując po dworach Ukrainy i Podola, co zawsze znajdowało swój ślad w twórczości malarzy. Bywał też Brandt u Aleksandra Pruszaka w Orońsku, gdzie poznał i podziwiał urodę żony przyjaciela Heleny Augusty z Woyciechowskich h. Korab, córki zamożnych ziemian z Galicji. Po boleśnie przedwczesnej śmierci właściciela i okresie żałoby Józef Brandt oświadczył się osamotnionej wdowie i został przyjęty. Wychowywał później w Orońsku, którego został gospodarzem, wraz z małżonką Heleną dwoje dzieci po śp. Aleksandrze Pruszaku i dwie córki, które urodziły się w nowym małżeństwie.

Życie w sławie

Miesiące spędzone na malarskich podróżach po kresach południowo-wschodnich, bliski kontakt z dziką przyrodą ukraińskiej przestrzeni oraz poznanie nieokiełzanych temperamentów zamieszkałych tam ludzi na stałe ukierunkowały artystyczną twórczość Józefa Brandta. Odbyte malarskie studia w Monachium oraz decyzja o stałej pracy w tym mieście niewiele zmieniły w podejmowanych przez artystę tematach obrazów.

Już pierwsze większe batalistyczne sceny Brandta zwróciły uwagę zarówno Paryża (obraz „Chodkiewicz pod Chocimiem" wystawiony na Wystawie Powszechnej w Paryżu w 1867 r.), jak i Monachium, w którym malarz stał się osobą bardzo znaną i cenioną nie tylko w szerokim polskim środowisku. Jego obraz „Powrót spod Wiednia" został zakupiony do zbiorów cesarza Austrii Franciszka Józefa.

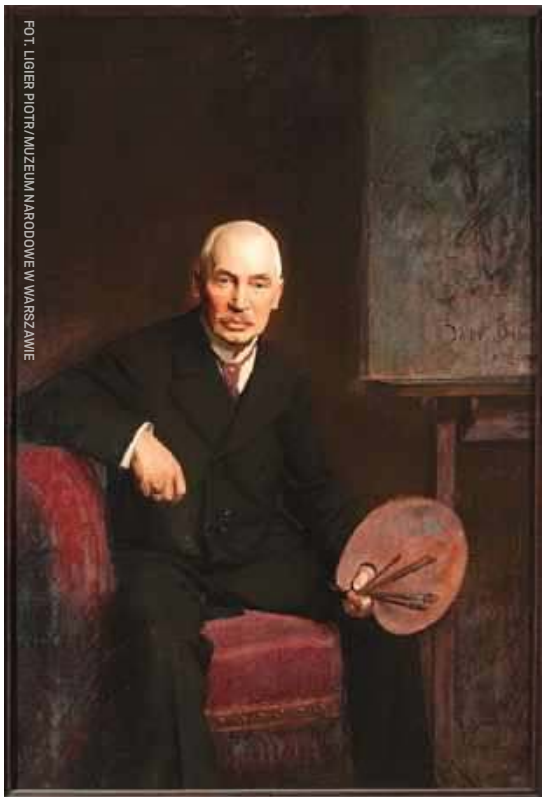

FOT. LIGIER PIOTR/MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Bolesław Szańkowski, „Portret Józefa Brandta"

Polska szlachecka z przełomu XVII i XVIII w. w twórczości Brandta przedstawiana była niesłychanie barwnie, dynamicznie i w chwilach wojennych triumfów. Takie obrazy jak „Bitwa husarii ze Szwedami" czy „Obrona dworu przez konfederatów barskich", a także liczne sceny potyczek polsko-tatarskich znajdowały zamożnych nabywców nie tylko wśród polskiego ziemiaństwa, ale też zadziwionych egzotyką tematów marszandów zza oceanu. W związku z tym dobra sytuacja materialna pozwalała Brandtowi utrzymywać w Monachium olbrzymią, kilkupokojową pracownię, w której gromadzili się uczniowie i spotykali polscy przyjaciele. A osobowość i pozycja artystyczna Józefa Brandta w Monachium, zwanego „generałem polskiej malarni", sprawiała, że do grona jego bliskich należeli tak znani polscy malarze jak bracia Maksymilian i Aleksander Gierymscy, Stanisław Witkiewicz, Alfred Wierusz-Kowalski, Józef Chełmoński, Julian Fałat.

Sukcesy artystyczne obrazów Józefa Brandta w Monachium przyniosły mu też różnego rodzaju zaszczyty. Powołano go na członka Berlińskiej Akademii Sztuki, został profesorem i członkiem Akademii Bawarskiej. Przyznano mu też w 1892 r. Order Zasługi Korony Bawarskiej, który nadawał szlachectwo królestwa Bawarii oraz zaszczytny tytuł „Rittera". Na miesiące letnie część polskich monachijskich malarzy wracała do Polski, gdzie bardzo często w swoim dworze w Orońsku z niezwykłą gościnnością podejmował ich gospodarz Józef Brandt.

Pałacyk w Orońsku

Leżąca kilkanaście kilometrów za Radomiem w kierunku Krakowa niewielka wieś Orońsko znana jest dziś z działającego tu Centrum Rzeźby Polskiej. Mieści się ono w otoczonym 13-hektarowym parkiem, zabytkowym pałacyku, w którym przez wiele lat mieszkał i pracował Józef Brandt. Klasycystyczny XIX-wieczny pałacyk przypominający trochę neorenesansową włoską willę został wzniesiony prawdopodobnie wg projektu znanego warszawskiego architekta Franciszka Marii Lanciego (1799–1875) w latach 1853–1856 dla rodziny Christianich.

Parterową prostokątną budowlę wyróżniają dwie kwadratowe, piętrowe wieże. Wejście główne do dworu ma kształt niszy z konchowym, kasetonowym sklepieniem. Nisza oflankowana jest parą kolumn, na których umieszczono alegoryczne kobiece postacie. Same zaś drzwi wejściowe zdobią płaskie pilastry oraz nadproże z kartuszem i herbem rodziny Christianich. Później, już za czasów Józefa Brandta, dobudowano od strony ogrodowej taras z portalem i parą kariatyd dźwigających żeliwny balkon. Z dawnego bogatego wyposażenia wnętrz po powojennej dewastacji pozostały tylko dwa solidne ścienne kominki – marmu-

eprasa.pl 77c6269fd8

rowy i żeliwny. Do zespołu dworskiego Orońska należą jeszcze neogotycka oficyna i oranżeria, w której znajdowała się malarska pracownia Józefa Brandta, oraz murowane stajnie, spichlerz i późnoklasycystyczna kaplica.

Józef Brandt był, jak się okazało, nie tylko arcymistrzem malarstwa, lecz też bardzo sprawnym i zapobiegliwym gospodarzem majątku ziemskiego. Jego odwieczna miłość do koni przełożyła się teraz na gospodarcze realizacje. Brandt założył hodowlę koni, rozbudował stajnie oraz takie pomieszczenia jak wozownie i kuźnie. Zajął się też hodowlą bydła rasy Simmenthal i rasowych koni półkrwi, których liczne stado znalazło się w Orońsku. Na wielu rolniczych wystawach lokalnych i ogólnokrajowych gospodarstwo w Orońsku było wyróżniane najważniejszymi nagrodami właśnie za rasowe konie i bydło. Po śmierci artysty majątek w Orońsku dzierżawił mąż Marii Anieli, córki Brandta, Aleksander Daszewski h. Junosza, ostatnim zaś jego właścicielem był wnuk malarza Andrzej Daszewski. Po wojnie majątek przejął skarb państwa.

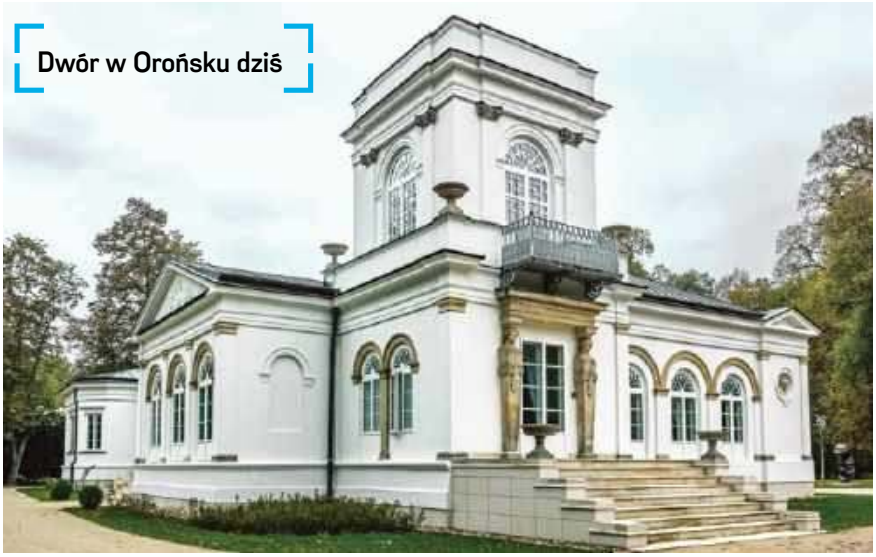

Dwór w Orońsku dziś

FOT. SHUTTERSTOCK

Pracownie malarza

Przygotowując się do malowania batalistycznych scen historycznych, Józef Brandt studiował zbroje, końskie rzędy, stroje, militaria z epoki. W jego monachijskiej olbrzymiej pracowni powstało więc prawdziwe muzeum gromadzące rekwizyty pomocne w realistycznym malarstwie, a zarazem wiele mówiące o kolekcjonerskiej pasji Brandta. Znajdowała się tam zbrojownia z historyczną bronią palną i białą, eksponowaną na specjalnych drewnianych konstrukcjach, oraz garderoba służąca do przechowywania kostiumów, rycin i książek. Ściany tych pomieszczeń zdobiły wojenne chorągwie oraz bogate tkaniny z dawnych tureckich namiotów. Nic więc dziwnego, że budząca ogólne zainteresowanie pracownia Józefa Brandta w Monachium była wielokrotnie opisywana i fotografowana. Inaczej wyglądał warsztat malarski Józefa Brandta w Orońsku. Tu przyjeżdżali i korzystali z usytuowanej w oranżerii pracowni także przyjaciele artyści, gościnny zaś gospodarz w pałacyku podejmował chętnie do niego zaglądających intelektualistów, arystokratów i okolicznych ziemian. Były też bale i szerokie towarzyskie spotkania.

Dokumentację pracowni Brandta oraz szeroką prezentację jego obrazów można do 30 września br. oglądać na wspaniałej wystawie „Józef Brandt 1841–1915" przygotowanej w Muzeum Narodowym w Warszawie.

Józef Brandt, „Potyczka ze Szwedami"

FOT. ARKADIUSZ PODSTAWKA

eprasa.pl 77c6269fd8

WIERNY POLSCE I HISTORII

ANDRZEJ WĄSOWSKI

Józef Brandt, „Odbicie jasyru", 1878, poniżej: „Pochód z łupami – powrót z wyprawy wiedeńskiej"

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE/ LIGIER PIOTR; WILCZYŃSKI KRZYSZTOF

MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE NA 100-LECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI PRZYGOTOWAŁO MONOGRAFICZNĄ WYSTAWĘ JÓZEFA BRANDTA, PREZENTUJĄC PRZEWAŻAJĄCĄ CZĘŚĆ DOROBKU MALARZA

Ponad 300 obrazów olejnych, akwarel i rysunków – to największa jak dotąd wystawa prac Józefa Brandta, który już za życia cieszył się powszechnym uznaniem. Sukcesy odnosił w kraju i za granicą, mieszkając przez ponad 40 lat w Monachium, gdzie prowadził swoją słynną pracownię. O jego pozycji świadczą medale zdobywane na międzynarodowych wystawach sztuki, sprzedaż prac do zbiorów muzealnych (głównie niemieckich) oraz zaszczyty, m.in. liczne odznaczenia, członkostwo Królewskiej Akademii Sztuki w Berlinie czy bawarski tytuł królewskiego profesora. Dlatego dzieła na warszawską wystawę zostały wypożyczone m.in. z muzeów Drezna, Triestu, Lipska i Berlina oraz od wielu kolekcjonerów prywatnych.

W galeriach Europy

Powodzenie artysty na europejskim rynku sztuki było powodem do dumy w ojczyźnie, zwłaszcza że eksponował swoje związki z Polską, a będąc sławny, sygnował prace demonstracyjnym „Józef Brandt z Warszawy". Chociaż tworzył na obcej ziemi, to tematyka jego prac prawie wyłącznie osadzona była w historii XVII-wiecznej Rzeczypospolitej lub powiązana z rodzimym krajobrazem, życiem codziennym miasteczek i wsi, zwłaszcza tych kresowych. Artysta poznał je, podróżując z Juliuszem Kossakiem m.in. na Podole. Tak dobrana tematyka współgrała z kompensacyjną funkcją sztuki w porozbiorowej Polsce w II połowie XIX w., przypominając o wielkości nieistniejącego państwa. Na wystawie zobaczymy dobrze znane obrazy historyczne Brandta, takie jak „Chodkiewicz pod Chocimiem" z 1867 r., „Odbicie jasyru/Bitwa Koniecpolskiego z Tatarami pod Martynowem" z 1878 r., „Czarniecki pod Koldyngą" z 1870 r. czy „Bitwa pod Wiedniem" z 1873 r. Swym realizmem zdradzają, że autor poprzedzał pracę nad nimi analizą dostępnych mu źródeł. Dzieła te ujawniają także zamiłowanie Brandta do kreowania z rozmachem kompozycji, dynamicznych przedstawień ludzi i zwierząt oraz wiernego oddania szczegółów. Ostatni z przywołanych obrazów, zaraz po jego namalowaniu, był ofiarowany przez szlachtę galicyjską arcyksiężniczce Gizeli Habsburżance z okazji jej zaślubin z Leopoldem Bawarskim. Do zbiorów Muzeum Wojska Polskiego został kupiony w Monachium dopiero w 1932 r. Podobnie początkowo niedostępny dla polskiej publiczności był „Czarniecki pod Koldyngą", kupiony z wiedeńskiej wystawy sztuki w 1871 r. do tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych (nabyty przez państwo polskie w 1920 r.) oraz „Odbicie jasyru", kupione w trakcie pracy nad nim przez Nationalgalerie w Berlinie (sprzedane ze zbiorów berlińskich w końcu lat 30. XX w., kupione przez Muzeum Narodowe w Warszawie w 1947 r.). Poza wielkimi tematami historycznymi można zobaczyć wiele obrazów rodzajowych, w których malarz się lubował.

Inspiracje literackie i sienkiewiczowskie natchnienie

Początkowo malarstwo Brandta wykorzystywało wątki literackie dosłownie

eprasa.pl 77c6269fd8

adaptowane na płótno (m.in. „Pochód lisowczyków” z 1863 r., oparty na pamiętnikach ich kapelana Wojciecha Dembołęckiego, „Powrót z wyprawy wiedeńskiej” z 1865 r., ilustrujący przeprawę wozu z łupami przez błotnisty teren przy użyciu zdobycznych tkanin podkładanych pod konie i koła, opisaną w „Pamiętnikach” Jana Chryzostoma Paska). Podejście to z czasem ustąpiło swobodnej inspiracji literaturą. Do takich obrazów należy „Przejście przez Karpaty” (z 1874 r.), ukazujące scenę przeprowadzania przez górski potok wozów taborowych, wracających w eskorcie chorągwi pancernych z wiedeńskiej kampanii Jana III, już luźno związane z relacją Paska. Obraz wkrótce po namalowaniu trafił do zbiorów niemieckich (wypożyczony na wystawę ze zbiorów drezdeńskich) i był przez współczesnych trafnie chwalony za dramaturgię akcji, mistrzowskie oddanie świeżości słonecznego światła w górzystym powietrzu oraz bogactwo kompozycji i ciekawy koloryt.

Nie sposób przywołać wszystkich prac rodzajowych mistrza obecnych na wystawie. Dominują jarmarki, targi, sceny przed karczmami, wyjazdy na polowanie i polowania, ujęcia w podróży, bitwy, potyczki, wizerunki żołnierzy na czatach malowane swobodną kompozycją z mistrzowskim oddaniem ruchu. Często przebija przez nie fascynacja wątkami egzotycznymi (stąd motywy kozackie), tak naturalna dla malarstwa odwołującego się do realiów wielokulturowej Rzeczpospolitej – przestrzeni, w której Wschód spotykał Zachód. Ten kreatywny wymiar twórczości Brandta oddziaływał silnie na wyobraźnię współczesnych. „[O]twarcie wyznaję, że waszemu mistrzostwu i waszemu niezrównanemu poczuciu rycerskiego i stepowego życia dawnych Polaków, zawdzięczam niejedno natchnienie, niejeden pomysł i wprost niejedną scenę w mojej Trylogii. Pomiędzy tysiącami ludzi sławiących Wasze działa, ja należę do tych, którzy je najlepiej rozumieją i najgłębiej odczuwają” – pisał w 1909 r. Henryk Sienkiewicz w liście do Józefa Brandta. Uważny widz odnajdzie obraz „Pojmanie na arkan” z 1881 r., którego wcześniejszy wariant (pod nazwą „Walka lisowczyka z Tatarem”) był inspiracją dla sceny pojmania na arkan Bohdana Chmielnickiego, otwierającej całą Trylogię.

Nieoceniona rola fotografii

Twórczość Brandta pokazano w porządku chronologicznym, od wczesnej po tę dojrzałą, ale wystawa nie jest przez to monotonna, bo obok ostatecznych prac są zestawione z nimi wcześniejsze szkice lub inne pomoce pozwalające na prześledzenie procesu twórczego. Szczególne miejsce zajmują tu odbitki fotograficzne, przeważnie pochodzące z pracowni własnej Brandta, którymi artysta chętnie posiłkował się na różnych etapach pracy. Spektrum tematyczne zdjęć jest bardzo szerokie. Obejmują one m.in. widoki, typy ludzkie oraz stroje. Zdjęcia służyły Brandtowi jako źródło inspiracji i dostarczały wzorów dla wielu motywów. Z czasem fotografia mocno ograniczyła rysunek przygotowawczy, co oszczędzało czas mistrza i pozwalało na wydajną pracę nad wieloma dziełami równocześnie. Artysta zamawiał też fotografie przedstawiające inscenizowane przez siebie sceny, które były pomyślane jako swoiste szkice kompozycyjne. Na jednym ze zdjęć z Orońska, majątku ziemskiego żony, jest widoczny sam Brandt w grupie pozujących modeli (zdjęcie do obrazu „Jarmark w Bałcie na Podolu” z 1886 r.).

Wizyta w pracowni

Wędrówkę wśród dorobku kolejnych lat twórczych mistrza przerywa ekspozycja poświęcona jego sławnej monachijskiej pracowni, której bogate wyposażenie, w tym odbitki wspomnianych zdjęć, rodzina artysty przekazała w 1920 r. Muzeum Narodowemu w Warszawie, wykonując wolę malarza. Artysta w swym atelier zgromadził liczne zabytki, m.in. broń białą, europejską i orientalną, broń palną, zbroje, rzędy końskie, namiot turecki, stroje historyczne i ludowe oraz kunsztowne tkaniny. Na wystawie jest kilkadziesiąt przedmiotów z tej kolekcji. Na jednej ze ścian umieszczono powiększone zdjęcie pracowni z końca XIX w., a przed nim część przedmiotów widocznych na zdjęciu. Sposób prezentowania reszty zabytków, nawiązujący do ich historycznego układu, też przywołuje atmosferę pracowni. Uświadamia, że atelier malarza było nie tylko miejscem pracy, a cenne przedmioty służyły za rekwizyty malarskie i źródło natchnienia, ale miało też wymiar komercyjno-reprezentacyjny. Tam Brandt wystawiał i sprzedawał swe dzieła, prezentował z dumą okazałą kolekcję zabytków oraz organizował oficjalne spotkania. Były to bowiem czasy, gdy świadomie zaaranżowane atelier artysty dżentelmena służyło za środek kreacji wizerunku i marki u odbiorców dzieł sztuki. Z drugiej strony muzealny charakter pracowni, nasyconej zabytkowymi przedmiotami, głównie militariami, przypominał wnętrza zasobnych w pamiątki przeszłości domów ziemiańskich, choćby pałacu w Podhorcach, który Brandt znał ze swych podróży na Kresy.

* * *

Na zakończenie warto wspomnieć, że obrazy Brandta są od lat cenione i poszukiwane przez kolekcjonerów. W 2009 r. jego obraz „Pochód z łupami – powrót z Wiednia” osiągnął cenę 1,2 mln zł i było to wówczas najdrożej sprzedane w Polsce dzieło malarskie. W dniu otwarcia jeden z eksponatów wystawy, wypożyczony ze zbiorów prywatnych „Powrót z targu”, nigdy wcześniej nieprezentowany w Polsce, został sprzedany za ponad 1,5 mln zł. Nie był to ostatni obraz artysty, którego miejsce przechowywania pozostawało nieznane. Dzięki towarzyszącemu wystawie rzetelnie opracowanemu, trzytomowemu katalogowi, kompendium wiedzy o życiu i twórczości Józefa Brandta, możemy też zapoznać się z obiektami, o których wiadomo jedynie z dawnych źródeł. To pozwala mieć nadzieję, że w przyszłości kolejne, odnalezione po latach dzieła mistrza, będą znów pobudzać wyobraźnię. Teraz zaś zachęcam do obejrzenia wystawy w stołecznym Muzeum Narodowym, która potrwa do 30 września br.

eprasa.pl 77c6269fd8

PIĘĆ MINUT „SKRZYDLATEGO ZWYCIĘZCY"

RENATA WĄSOWSKA

FILM „SKRZYDLATY ZWYCIĘZCA", ZREALIZOWANY Z WIELKIM ROZMACHEM W 1924 r., TO SENSACYJNE KINO AKCJI Z ELEMENTAMI SCIENCE FICTION. JEGO BOHATER, NAUKOWIEC LOTNIK, WYCHODZIŁ CAŁO Z KAŻDEJ OPRESJI. NAZYWAŁ SIĘ ORSKI, ZDZISŁAW ORSKI

Do chwili obecnej zachował się jedynie pięciominutowy, prawdopodobnie końcowy fragment filmu. Sceny nie mają spójności fabularnej, są urywane, zmieniają się jak w kalejdoskopie. Większość z nich, zwłaszcza plenery, to dokumentalny obraz Warszawy, m.in. pl. Zamkowego i pl. Teatralnego. Zaskakuje też, niespotykane w polskim kinie tego okresu, kilkanaście sekund panoramy miasta z lotu ptaka. Wiele ujęć to żywe fotografie modeli ówczesnych samolotów, sprzętu straży pożarnej oraz różnego typu pojazdów wojskowych. Dziś to bezcenny materiał dla historyków. Równie znaczące są króciutkie fragmenty fabularne. Treść jednego z zachowanych napisów wydaje się co najmniej profetyczna: „Samoloty pasażerskie, szybko zamienione na straszne narzędzie wojny, wzbiły się w przestworza, by siać śmierć i zniszczenie". A jedna ze scen może dziś uchodzić za kultową: podczas powietrznego ataku Józef Węgrzyn, grający głównego bohatera, wyrzuca bomby z samolotu gołymi rękami.

Czy chaos tych obrazów i treści da się ułożyć w jakieś wyobrażenie o „Skrzydlatym zwycięzcy"?

Ogólną fabułę z trudem można naszkicować na podstawie fragmentarycznych opisów z ówczesnej prasy. W prologu pojawia się Ikar, już po upadku, z krótką wizją życia na ziemi, w interpretacji Feliksa Parnella, znanego tancerza. A potem, jak zapewniała reklama, „widz znajdzie wszystko, co spotkać możemy w najbujniejszym i najbardziej urozmaiconym życiu – intrygę miłosną, stowarzyszenie wywrotowców, kabaret i salon, mieszkanie kokoty i gabinet ministra, a także walki powietrzne, wyścig samochodów z pociągiem, bombardowanie miasta, walkę gazową, pożary i inne grozy wojny". Nie bez znaczenia był też udział znanych artystów, m.in. wspomnianego już Józefa Węgrzyna, Aleksandra Zelwerowicza i Stefana Jaracza.

Lotnictwo ponad wszystko

W maju 1923 r. powstała Liga Obrony Powietrznej Państwa, która miała wspierać rozwój polskiego lotnictwa, także w zakresie edukacji i kształtowania społecznej świadomości. Służyły temu m.in. specjalistyczne wydawnictwa, powstanie Instytutu Aerodynamicznego przy Politechnice Warszawskiej oraz katedr lotnictwa przy innych wyższych uczelniach, a także masowe imprezy: zawody sportowe, koncerty, loterie fantowe. Film jako nowy środek przekazu mógł w tej sprawie zrobić bardzo wiele.

Trzy miesiące później, w sierpniu 1923 r., z inicjatywy władz wojskowych powstało Towarzystwo Aero-Film. Na jego czele stanął kpt. Stanisław Karpiński, utytułowany pilot i znany propagator lotnictwa. W zarządzie znaleźli się m.in. inż. Kazimierz Arkuszewski, przemysłowiec, udziałowiec spółki, która na początku lat 20. XX w. rozpoczęła w Lublinie produkcję samolotów, gen. Franciszek Krajewski oraz przedstawiciele branży kinematograficznej: Ryszard Biske, Edmund John, Włodzimierz Kirchner i Adam Augustynowicz. Celem Aero-Filmu była produkcja wysokobudżetowych filmów patriotycznych, by „obudzić społeczeństwo ze śpiączki i obojętności na sprawy narodowego lotnictwa i pod-

eprasa.pl 77c6269fd8

FOT. ARCHIWUM AUTORKI

nieść krzyk o niebezpieczeństwie, jakie grozi Polsce z tego powodu".

Propaganda na filmowym planie

Scenariusz pierwszego i zarazem ostatniego filmu Aero-Filmu napisał kpt. Stanisław Karpiński. Nie mając żadnego doświadczenia w tej dziedzinie, puścił wodze fantazji. Relacje prasowe pozwalają poznać więcej szczegółów. Główny bohater, Zdzisław Orski, jest wynalazcą „torpedy powietrznej", broni wypełnionej gazem, zdalnie sterowanej, o ogromnej sile rażenia. Powstaje instytut gazowy, w którym rozpoczyna się produkcja torped. Orski jest zmuszany różnymi intrygami do zdrady i przekazania wynalazku innemu państwu. Jego postawa jest jednak niezłomna. Wtedy sąsiednie mocarstwo postanawia zniszczyć Polskę atakiem bombowym. Orski staje na czele eskadry samolotów i odpiera powietrzny atak nieprzyjaciela.

Ta sugestywna opowieść miała zwrócić uwagę społeczeństwa i władz, że od czasu I wojny światowej nowa powietrzna broń stała się jedną z najważniejszych form obrony granic. Rozwój lotnictwa był priorytetem każdego państwa. W filmie ten akcent jest na tyle silny, że fikcja miesza się z rzeczywistością. Np. w niezachowanej scenie, w której Orski prezentuje swój wynalazek, występują autentyczne postaci, m.in. gen. Stanisław Haller, prezydent Warszawy Władysław Jabłoński, inż. Kazimierz Arkuszewski oraz wiceprezes Ligi Obrony Powietrznej Państwa Józef Zadora-Szwajcer.

Z kolei realizacja dwóch wielkich scen masowych stała się jawną agitacją na rzecz LOPP. 28 listopada 1923 r. rano na Rynku w Krakowie pojawił się olbrzymi aeroplan. Tłum ludzi gęstniał z każdą chwilą, wstrzymano ruch uliczny. „W kabinie siedzi znakomity artysta dramatyczny p. Józef Węgrzyn z towarzyszką inscenizowanej podróży p. Karpińską, żoną kapitana, autora scenariusza tego filmu. Oboje w kostiumach pilotów i charakteryzacji filmowej. P. Węgrzyn w płomiennej przemowie wzywa wszystkich do wstąpienia do Ligi Obrony Powietrza. Niebywały entuzjazm ogarnia publiczność, która współgrała z artystami, co ułatwiło niezmiernie zdjęcia".

Kilka miesięcy później, 22 marca 1924 r., olbrzymi aeroplan na pl. Teatralnym w Warszawie wywołał podobne emocje. „Zebrał się tłum publiczności, do którego przemówił prezydent miasta Władysław Jabłoński, wzywając zebranych do wydatnego popierania celów, propagowanych przez Ligę Obrony Przeciwlotniczej. Na zakończenie dokonano zdjęć kinematograficznych z udziałem Józefa Węgrzyna".

Prasa kibicowała temu przedsięwzięciu. Często publikowane hasło: „Przed lotnictwem najeźdźcy obronić nas może tylko własne, silne lotnictwo" – było nie tylko patriotycznym przekazem, ale też reklamą filmowej superprodukcji.

Bez litości

Premiera „Skrzydlatego zwycięzcy", ze względu na długość filmu, została podzielona na dwie części. Odbyła się 30 kwietnia i 15 maja 1924 r. w kinie Varsavia przy ul. Nowy Świat 19. Przez pięć tygodni film był wyświetlany z rekordowym powodzeniem.

Ówcześni mistrzowie ostrego pióra poświęcili mu sporo uwagi. Antoni Słonimski był złośliwy i konkretny: „»Skrzydlaty zwycięzca« jest gorszy od innych obrazów krajowych, bo jest dłuższy. [...] Sumy, które wydano na tę »propagandę« lotnictwa i puszczania pieniędzy, wystarczyłyby na wysłanie do Ameryki całego zespołu. Polska ocaliłaby się w ten sposób od oglądania tego filmu, a panowie z Aero-Filmu może by się czegoś nauczyli". Za błędy nie do wybaczenia uznał „brak tempa, wydłużanie niepotrzebne nic niemówiących momentów, nieznajomość charakteryzacji i efektów, które daje dekoracja na filmie, niezdarność scen zbiorowych, naiwność scenariusza i straszliwe napisy".

Karol Irzykowski szukał natomiast przyczyn tej „pięknej katastrofy": „Autor i reżyser pracowali według tej samej ideologji kinowej, jaką mają wszyscy polscy filmiarze. Dużo niepotrzebnej i natrętnej mimiki; dużo ruchliwości i ruszania się zamiast ruchu; osoby dużo ruszają ustami i co chwila coś opowiadają; korzystanie z każdej sposobności, aby pokazać pseudoruch: to tańce, to pochód wojska, wyścigi konne, latanie samolotów; pojmowanie kina jako kalejdoskopu życia. Więc właściwie byłoby niesprawiedliwością, gdyby specjalnie autorzy tego filmu mieli odpowiadać za winę zbiorową, winę złego pojmowania kina, i za ogólną polską skłonność do partactwa". Główną przyczyną klęski był, według niego, niezdarny – bo nadmiernie rozbudowany – scenariusz, w którym liczba wątków wymknęła się spod kontroli. Może rzeczywiście, jak sugerował, należało za pieniądze, „wyrzucone na sporządzenie tego filmu, kupić po prostu jeszcze jeden porządny aeroplan".

Nikt nie mógł przewidzieć, że tak skrytykowany „Skrzydlaty zwycięzca" nabierze ponad 90 lat później zupełnie innej wartości tylko dlatego, że los ocalił jego pięć minut.

eprasa.pl 77c6269fd8

RAFAŁ ŁATKA

W KRĘGU KLIO

Gustaw Herling-Grudziński, „Dziennik 1957–1958", Kraków 2018, Wydawnictwo Literackie

Gustaw Herling-Grudziński dał się poznać przede wszystkim jako twórca dwóch niezmiernie ważnych prac w polskiej literaturze, uznawanych już za klasyczne: „Innego świata" i „Dziennika pisanego nocą". Oba wspomniane dzieła cechuje niezwykła precyzja języka, spokojne, zdystansowane spojrzenie, pozostawianie własnej osoby poza pierwszym planem opowieści, staranne skrywanie uczuć. Zupełnie inaczej jest w przypadku zapisków z lat 1957–1958 odnalezionych w neapolitańskim archiwum autora przez jego córkę Martę Herling. Ten „sekretny" dziennik nie był, w przeciwieństwie do „Dziennika pisanego nocą", przeznaczony do publikacji. Widzimy w nim Herlinga-Grudzińskiego z zupełnie innej perspektywy niż w przypadku zapisków publikowanych na łamach paryskiej „Kultury". Jest to zapis nieskrywanych emocji autora „Innego świata", problemów egzystencjalnych i wreszcie problemów twórczych, z którymi się borykał w tym trudnym dla siebie okresie, gdy był już niewątpliwie pisarzem znanym, ale jeszcze dalekim od twórczego spełnienia. Jak trafnie zauważył Włodzimierz Bolecki, autor wstępu do niniejszej edycji: „»Dziennik 1957–1958« to z jednej strony autoportret pisarza, który mimo młodego wieku jest niekwestionowanym intelektualnym autorytetem dla środowiska emigrantów i pisarzy w PRL-u. A z drugiej strony – portret człowieka miotanego egzystencjalnymi wątpliwościami, przeżywającego nieustanne załamania i kryzysy twórcze, niepewnego jutra i niepewnego siebie".

U czytelników jego poprzednich dzieł zaskoczenie wzbudzić mogą dwie kwestie: emocjonalny ton oraz niedopracowanie stylistyczne niektórych fragmentów zapisków (to zrozumiałe w kontekście ich charakteru, nieprzeznaczonego do publikacji, mających często roboczy charakter). Przykładem może być zapis z 16 stycznia 1958 r.: „Nic. Nie mogłem ani pisać, ani myśleć, ani czytać. Zacząłem przed chwilą pić i pewnie nie skończę, aż mnie nie zwali z nóg. Ile bym dał za to, żeby móc z kimś pić! Żeby móc przynajmniej mówić! Nie po włosku, nie...". Nie sposób nie dodać, że jest to ton nieznany z wcześniej opublikowanych dzieł Herlinga.

Edycje zapisków z lat 1957–1958 uzupełniają wspomnienia jego żony Lidii Croce, córki Marty Herling oraz syna. Zdecydowanie najciekawsze jest świadectwo córki, pokazujące w pełni osobowość pisarza, jego tryb życia i pracy, jego zestaw zasad i celów, jakimi w swoim życiu się kierował. Najbardziej wymowny fragment warto w tym miejscu przytoczyć: „Czasami do mojego Ojca przyjeżdżali jego polscy znajomi. Znikali w jego gabinecie i rozmawiali. Ojciec stawał się ożywiony, uśmiechnięty. Dla nich był bardziej przystępny niż dla mnie. Bywało, że spotykaliśmy się we dwoje podczas posiłków. Śniadanie bez słowa, obiad bez słowa, kolacja bez słowa. Te dwa różne światy w Ojcu nie dawały mi spokoju".

Pozostaje mieć nadzieję, że w archiwum pisarza uda się odnaleźć również zapiski z innych lat (1945–1956 i 1958–1969), gdyż pomogą one nie tylko w lepszym zrozumieniu twórczości autora „Innego świata", ale również będą jak zawsze w przypadku Herlinga-Grudzińskiego doskonałą dawką literatury oraz ważnych spostrzeżeń dotyczących polskiej historii, literatury, emigracji powojennej czy życia intelektualnego zarówno w Europie Zachodniej, jak i za żelazną kurtyną.

Wspomnieć w tym miejscu należy, że równocześnie z wydaniem „Dziennika 1957–1958" ukazały się dwa kolejne tomy dzieł zebranych Herlinga wydawane przez Wydawnictwo Literackie: tom 7, zawierający pierwszą część krytycznej edycji „Dziennika pisanego nocą", oraz tom 10, na który składają się eseje publikowane przez Grudzińskiego na przestrzeni całej jego twórczości. Pierwsza ze wspomnianych edycji jest o tyle ważna, że zawiera również fragmenty zapisków Herlinga, które z różnych względów autor zdecydował się pominąć przy wcześniejszych wydaniach; zaletą drugiego jest zgromadzenie w jednym miejscu bardzo szerokiej tematycznie eseistyki Grudzińskiego.

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

eprasa.pl 77c6269fd8

Wojciech Jerzy Muszyński, „Białe Legiony 1914–1918. Od Legionu Puławskiego do I Korpusu Polskiego", Warszawa 2018, IPN

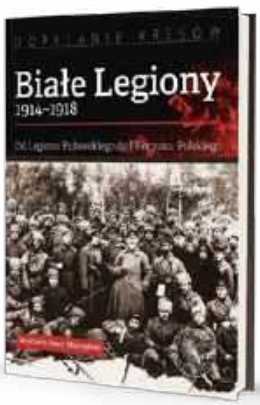

Historia polskich Legionów walczących za przyzwoleniem rosyjskim u boku Ententy na froncie wschodnim jest niemal zupełnie nieznana. Polską historiografię zdominował pod tym względem wysiłek zbrojny oddziałów polskich walczących po stronie Austro-Węgier, na czele z brygadą dowodzoną przez Józefa Piłsudskiego. Trend ten może zmienić album przygotowany przez warszawskiego historyka Wojciecha Jerzego Muszyńskiego. Autor „Białych Legionów" pokazuje, że można było być dobrym polskim patriotą, nawet walcząc pod rosyjskim sztandarem. Przywraca tym samym pamięć zapomnianych bohaterów walki o odzyskanie niepodległości w XX w. Muszyński nie tylko w rzetelny sposób odtwarza historię walk wspomnianych formacji (udział m.in. w wyzwoleniu Mińska), ale korzystając z bogatego i nieznanego materiału ikonograficznego, przybliża nam, jak wyglądał dzień codzienny, mundury, uzbrojenie i wyposażenie ich żołnierzy.

Piotr Majewski, „Czas końca, czas początku. Architektura i urbanistyka Warszawy historycznej 1939–1956", Warszawa 2018, Bellona

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Tematyka odbudowy Warszawy po II wojnie światowej wzbudzała i ciągle wzbudza kontrowersje. Do dzisiaj trwają spory, czy nie można było wprowadzić innych – w założeniu lepszych – rozwiązań, dzięki którym stolica byłaby nie tylko wizualnie piękniejsza, ale również bardziej funkcjonalna. Piotr Majewski prowadzi nas przez wszystkie spory koncepcyjne, które rzecz jasna wcale nie rozpoczęły się w 1945 r., ale znacznie wcześniej, i które w znacznej mierze wpłynęły na architekturę współczesnej Warszawy. Można zaryzykować stwierdzenie, że stała się ona swoistym kolażem różnych wizji (i możliwości ich realizacji). Autor wskazuje, że najistotniejszy wpływ na obecny kształt „miasta niezwyciężonego" miały: niezrealizowana koncepcja Dzielnicy Wielkiego Marszałka, sanacja staromiejskich murów, destrukcja wojenna, niezrealizowana wizja Macieja Nowickiego, Trasa W-Z, MDM, Pałac Kultury i Nauki, trakt Starej Warszawy. Innymi słowy, najbardziej na jej wygląd wpłynęło dziedzictwo takich postaci jak: Stefan Starzyński, Friedrich Pabst, Nowicki, Szymon Syrkus, Józef Sigalin, Jan Zachwatowicz. Autor starcie ich wizji opisał we wciągający sposób na szerokim tle dziejów Warszawy. Polecam nie tylko mieszkańcom stolicy.

Jakub Szumski, „Rozliczenia z ekipą Gierka 1980–1984", Warszawa 2018, IPN

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Dekada rządów Edwarda Gierka w PRL to okres wielkich nadziei i wielkich społecznych rozczarowań – od entuzjazmu i poparcia społecznego w 1971 r., aż do wybuchu rewolucji sierpniowej w 1980 r., skutkującej zmianą ekipy partyjnej rządzącej Polską Ludową. Jakub Szumski w swojej książce opisał, w jaki sposób z „nadużyciami" swojego poprzednika rozliczyli się Stanisław Kania i Wojciech Jaruzelski. Przedstawił nie tylko mechanizmy walki politycznej z bagażem dawnego „pierwszego", ale również nakreślił obraz nadużywania władzy w dekadzie lat 70. i reakcje społeczne na „samooczyszczenie partii". Najciekawsza wydaje mi się część druga, czyli etap rozliczeń od sierpnia 1980 r. do grudnia 1981 r., gdy istnienie „Solidarności" w istotny sposób wpływało na dynamikę działań władz podejmowanych wobec dawnej ekipy Gierka.

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Adrian Goldsworthy, „Pax Romana. Wojna, pokój i podboje w świecie rzymskim", Warszawa 2018, Rebis

Historia starożytnego Rzymu większości odbiorców prac historycznych kojarzy się przede wszystkim z dziejami wielkich podbojów Rzymian, ich sukcesów militarnych skutkujących rozbudową terytorialną imperium. Adrian Goldsworthy skupia się na zupełnie innym aspekcie historii Rzymian, tzw. pax romana. Brytyjski historyk od lat zajmujący się tą tematyką wnikliwie opisał, czy pozytywny obraz pokoju rzymskiego jest prawdziwy, dlaczego się tak skutecznie utrzymywał i jakie były jego koszty. Autor skłania się do wniosku, iż mimo że pax romana nie miał charakteru absolutnego, to był niezwykłym, do dzisiaj inspirującym sukcesem Imperium Rzymskiego.

REKLAMA

POLECAMY KSIĘGARNIĘ
W-wa ul. Marszałkowska 7
tel. (22) 405 66 30, 501 037 074
e-mail. ksiazkicomax@op.pl

31/1217/F

eprasa.pl 77c6269fd8

Wieczna chwała Armii Czerwonej

KAROL MAZUR

KINEMATOGRAFIA SOWIECKA MA OGROMNE ZASŁUGI W KSZTAŁTOWANIU MITU „WIELKIEJ WOJNY OJCZYŹNIANEJ", WEDŁUG KTÓREGO ARMIA CZERWONA ODEGRAŁA KLUCZOWĄ ROLĘ W POKONANIU III RZESZY I „WYZWOLENIU" PAŃSTW EUROPY ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ SPOD NIEMIECKIEJ OKUPACJI

„Kryptonim Gwiazda", reż. Nikołaj Lebiediew, 2002

Dziś wiadomo o wiele więcej o zbrodniach czerwonoarmistów i prawdziwych celach ich pochodu na Zachód, ale putinowska Rosja wcale nie zamierza odżegnywać się od tego heroicznego obrazu. Wprost przeciwnie, stara się ten mit podtrzymywać, wypuszczając filmowe produkcje o bohaterstwie żołnierzy sowieckich z czasów II wojny światowej. Jednym z nich jest film z 2002 r. w reżyserii Nikołaja Lebiediewa „Kryptonim Gwiazda".

Kanwą tej produkcji jest jedna z lepiej przeprowadzonych operacji na froncie wschodnim II wojny światowej, czyli operacja Bagration. 22 czerwca 1944 r. wojska sowieckie pod dowództwem marsz. Konstantego Rokossowskiego przełamały front na Białorusi. Uderzenie było dobrze przygotowane i piorunująco skuteczne. Sowieci zamknęli większość oddziałów niemieckich w okrążeniu, a inne zmusili do odwrotu. Pod koniec lipca doszli już do Wisły, co skłoniło dowództwo AK do wywołania w Warszawie powstania.

Akcja filmu toczy się jeszcze przed tą operacją. Grupa siedmiu wywiadowców Armii Czerwonej pod dowództwem młodego porucznika Trawkina dostaje rozkaz przedarcia się na tyły wroga i rozpoznania jego zamiarów. Zadanie nie jest łatwe, bo teren trudny (bagna) i wszędzie roi się od żołnierzy Wehrmachtu i SS. Dobrze przeszkoleni, lecz nieco niefrasobliwi zwiadowcy przedzierają się pod osłoną nocy przez linię frontu. Na zapleczu starają się pozyskać informacje od wyłapywanych starannie jeńców. Niemcy jednak szybko wpadają na ich trop i rozpoczynają obławę. Czerwonoarmistom udaje się ustalić, że przeciwnik szykuje się do kontrofensywy. Jednakże ich radiostacja ulega uszkodzeniu. W końcu „zdejmują" niemiecki posterunek, gdzie przejmują nadajnik, za pomocą którego informują dowództwo o planach wroga. W tym czasie są już w oblężeniu. Bronią się dzielnie w opuszczonej szopie do ostatniego pocisku i giną wszyscy po wykonaniu zadania.

Film Lebiediewa został zrobiony z rozmachem. Ma świetną scenografię, w której imponuje wojskowe wyposażenie z II wojny światowej. Ogląda się go naprawdę dobrze. Perypetie bohaterów śledzimy z napięciem i zainteresowaniem. Ich działania zostały oddane w pełnej dramaturgii i wartkiej akcji. Można odnieść wrażenie, że jest to rosyjska odpowiedź na „Szeregowca Ryana". Tak jak w produkcji Spielberga, mamy tu do czynienia z grupą żołnierzy, która ma wykonać określone zadanie. Charaktery rosyjskich wywiadowców zostały „uszyte" na miarę amerykańskich wojskowych. Zwłaszcza łudząco podobne są postacie telegrafisty szeregowca Worobiewa i tłumacza kaprala Uphama. Obaj to frontowe żółtodzioby z trudem znoszące realia wojny. Na tym jednak kończą się podobieństwa. W rosyjskim filmie nie ma miejsca na wartości ogólnoludzkie, jak chęć ratowania kolegi, który stracił już trzech braci. Liczy się przede wszystkim interes „ojczyźniany". Wszyscy bohaterowie poświęcają swoje życie, aby przybliżyć Związek Sowiecki do zwycięstwa w wojnie. To nie jest jeszcze takie złe. W końcu można zrozumieć, a nawet podziwiać rosyjski patriotyzm, zwłaszcza w okresie walki na śmierć i życie z bezwzględnym niemieckim agresorem.

Jednakże w filmie tym dostrzegam dwie kwestie, które budzą poważne wątpliwości, a jedna z nich wywołuje sprzeciw. Po pierwsze, „Kryptonim Gwiazda" jest słabo umocowany merytorycznie. W czerwcu 1944 r. Niemcy nie mieli żadnych planów ofensywnych na Białorusi. Przeciwnie, po lądowaniu zachodnich aliantów w Normandii musieli wycofać kilka elitarnych dywizji, by ratować front we Francji. Na froncie wschodnim spodziewali się zaś ataku sowieckiego na południu, z Ukrainy na Rumunię, gdzie znajdowały się pokaźne zasoby ropy naftowej, tak potrzebnej do prowadzenia działań wojennych. Historia odkrycia tajnych przygotowań do niemieckiej kontrofensywy wiosną 1944 r. wydaje się zatem mocno naciągana. Drugi mój zarzut dotyczy już kwestii fundamentalnej. W samej końcówce filmu lektor mówi, że operacja Bagration przyczyniła się do, cytuję, „wyzwolenia Polski". Współcześni Rosjanie są nadal święcie przekonani, że dzięki Armii Czerwonej, jej sile i ofierze krwi Polska została „wyswobodzona spod jarzma faszyzmu". My uznajemy, że sowieccy sołdaci przynieśli Polsce zamianę okrutnej okupacji niemieckiej na niewolę komunistycznego reżimu. Rosjanie nie rozumieją naszych starań, by usunąć tzw. pomniki wdzięczności Armii Czerwonej i kręcą takie filmy jak „Kryptonim Gwiazda", nazywając swą militarną ekspansję „wyzwalaniem" Europy.

FOT. SHUTTERSTOCK, MAT. PRASOWE

eprasa.pl 77c6269fd8

Państwowy Instytut Wydawniczy

Nadzieja słowa

PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI

Nie minęła chwila i po znakomitej, najszerszej jak dotąd, edycji dzieł Samuela Becketta PIW znów wydaje klasykę dramatu.

Od razu powiedzmy, że między wydaniem beckettowskim a tym dzisiejszym – najważniejszych i najczęściej realizowanych na scenach sztuk Moliera – istnieje pewne podobieństwo: irlandzkiego mistrza w całości przetłumaczył i opatrzył filologicznym komentarzem Antoni Libera, jeden z największych znawców autora „Końcówki", ale równocześnie teatralny praktyk, który prawdopodobnie Becketta nigdy by nie spolszczył, gdyby nie były mu znane reguły rządzące przestrzenią sceniczną i sceniczne prawa, w których zawsze musi się zmieścić słowo dramatu.

To samo dotyczy dwutomowego wydania Moliera. Przypomnijmy: Bohdan Korzeniewski (1905–1992) to mistrz polskiej frazy; we wspomnieniach ludzi teatru, i to różnych pokoleń, ktoś, kto jak nikt inny pielęgnował polszczyznę. Ale Korzeniewski to także reżyser, pedagog, w pewnym momencie kierownik artystyczny Teatru Narodowego i Teatru Polskiego. Jako reżyser zadebiutował w 1948 r., wystawiając właśnie „Szkołę żon" Moliera (co interesujące, inscenizował też pierwszą powojenną „Zemstę" Fredry). Podaję te szczegóły, by pokazać, że chyba zawsze, jeśli chodzi o dramat, najlepiej udają się te translatorskie prace, których autorzy z łatwością poruszają się we wszystkich teatralnych dyscyplinach.

W ostatnich latach ukazało się także inne znakomite tłumaczenie Moliera – wybitnego aktora Jerzego Radziwiłowicza (choć jedynie trzech tytułów). Przekłady Korzeniewskiego, mimo że przecież winny już być naznaczone mijającym czasem, w żaden sposób nie ustępują lżejszej i szybszej, współczesnej i skondensowanej frazie Radziwiłowicza. Korzeniewski lubił rozbudowywać zdania, by nie uronić najmniejszego sensu, uwielbiał również powracać do polszczyzny dawnej, ożywiać ją stylistycznie, wykorzystując język Molierowski. A jeśli ktoś lubi wchodzić w literackie zabawy głębiej, może porównać tłumaczenie „Mizantropa" Korzeniewskiego, Radziwiłowicza i Jana Kotta – bo i ten mistrz, wielki krytyk teatralny, niegdyś zostawił nam swoje spolszczenie akurat tego arcydzieła.

Wszystkich ich łączy niezwykłe wyczucie słowa, które daje nadzieję – bo słowo potrafi ratować. Dwutomowa PIW-owska edycja przekładów Bohdana Korzeniewskiego, z świetnym komentarzem historyka scen europejskich Michała Mizery, to kolejny dowód na to, jak bardzo to ważne. Nie tylko w teatrze.

Molier, „Dramaty wybrane" (tom 1 i 2), przełożył Bohdan Korzeniewski, Państwowy Instytut Wydawniczy

Tajemnica opactwa

GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

Czas wakacji sprzyja lekturze – warto więc sięgnąć po książkę wciągającą, przyjemną, a przy okazji niezobowiązująco przekazującą informacje historyczne. Taką propozycją dla młodego czytelnika może być kryminalna powieść Zuzanny Orlińskiej „Detektywi z klasztornego wzgórza".

Przyjaźń, przygoda i tajemnica – tak mogłoby brzmieć jej najkrótsze streszczenie. Pierwszoplanowymi bohaterami autorka uczyniła dwoje młodych ludzi – Jerzyka, syna miejscowego restauratora, i Bronkę, córkę konserwatora. Chłopiec to bystry obserwator, marzący o tym, by zostać w przyszłości detektywem; dziewczynki zaś wszędzie jest pełno: chodzi po drzewach, łowi ryby i nie zawsze zachowuje się tak, jak przystoi młodej damie. Łączą ich przyjaźń i wspólne przygody, które przeżywają w Czerwińsku nad Wisłą. A wszystko dzieje się w 1930 r. Ale nie tylko, bo druga warstwa opowieści odkrywa przed nami średniowieczne tajemnice czerwińskiego opactwa.

Co zatem łączy te dwa porządki czasowe? Pewna zagadka, którą próbują rozwikłać główni bohaterowie. Historia rozpoczyna się w chwili, gdy do miasteczka przybywa tajemniczy jegomość, zamieszkuje u rodziców Jerzyka i wzbudza jego podejrzenia. W walizce ma rewolwer, bardzo uważnie ogląda drzwi, zadaje się z podejrzanymi osobami, podaje się za malarza, a nie ma żadnych akcesoriów wskazujących na wykonywanie tej profesji... Śledzący go Bronka i Jerzyk zaczynają podejrzewać, że szykuje on zamach na prezydenta Mościckiego, który w owym czasie faktycznie objeżdżał Mazowsze. Poza osobą prezydenta na łamach powieści znajdujemy inne autentyczne postaci, np. Piłsudskiego, Wieniawę czy wreszcie Kornela Makuszyńskiego. Za sprawą tego ostatniego przenosimy się na chwilę do międzywojennej Warszawy i poznajemy kulturalne życie stolicy.

Jak potoczyły się losy bohaterów, kim był tajemniczy jegomość i wreszcie jaka w całej intrydze była rola Kornela Makuszyńskiego? Książka szybko wciąga, a akcja z każdą stroną nabiera rumieńców. Autorka we wstępie podkreśla, że pisząc powieść, korzystała z dzienników, wspomnień. Sięgała także do ówczesnych gazet po to, by sprawdzić np. prognozy pogody. Ta dbałość o szczegóły pozwoliła autorce na stworzenie bardzo ciekawej i spójnej opowieści.

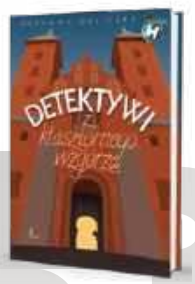

Zuzanna Orlińska, „Detektywi z klasztornego wzgórza", Wydawnictwo Literatura 2016, wiek 9+

eprasa.pl 77c6269fd8

WIĄZANIE HISTORII

Późny koniec zimnej wojny

PAWEŁ KOWAL

Zimna wojna powinna się była skończyć w Paryżu, najlepiej podczas rozmowy Wiktora Warskiego z konsulem. Jego ponowne spotkanie z Zulą Lichoń było trybutem zapłaconym potrzebie „dopowiadania" w filmie i szukania zakończenia pod publiczkę – ostatnie ujęcia były już tylko okupem dla szukających przekolorowanej sceny (choć wciąż czarno-białej). Film wytracił dużo tempa, ale i tak zostało go na tyle, by powiedzieć „świetny".

Nie powie tego sprzedawca popcornu, który stał, smętnie wyglądając chętnych na prażoną kukurydzę. Reżyser „Idy" nie zgromadził tłumów pomimo ogromnej promocji. Film jest pełen muzyki i tańca – kawałkami kamera jest prowadzona jak w „Weselu" Wajdy – ale ludzie nie ruszyli do kina. Jak rzadko widać było, jak rozjeżdżają się gusta polskiego masowego widza i z drugiej strony krytyków filmowych oraz inteligenckiej publiczności, która zajęła – powiedzmy – jedno miejsce w pierwszym rzędzie i kilka w dalszych. Zostaję przy swoim – filmowi zaszkodziło kilka ostatnich scen, ale nie zmienia to, że jest dużo powyżej średniej. I nie ta sprawa zaszkodziła kasowemu sukcesowi. Dawno w polskim kinie nie było tak prawdziwych dialogów, gry aktorskiej bez zastrzeżeń, takiej gry scenarzysty z historią. „Zimna wojna" po „Powidokach" – pożegnalnym pod kilkoma względami filmie Andrzeja Wajdy – podejmuje przecież szczególny temat relacji sztuki i artysty z totalitarnym państwem, dyskutuje o granicach kompromisu w polskiej powojennej rzeczywistości.

Nie ma jednak za wielu chętnych do debaty. Historia zespołu Mazowsze – jednego z najdziwniejszych fenomenów polskiej kultury, który szczęśliwie przetrwał (jego początki pokazane w filmie Pawlikowskiego) – nie budzi emocji.

A może ten film to kolejny dowód na to, że nie minęły pokolenia i wojna oraz stalinizm nie dają już tego wrażenia dreszczu u masowej publiczności? Może problem w tym, że nie ma na to rady, bo mijają pokolenia. Pan Bóg stworzył człowieka tak, że w ciągu dwóch–trzech pokoleń ma zapomnieć krzywdy, by móc dalej żyć. Czy to się jednak Panu Bogu na pewno udało? Czy to właśnie pamięć o wojnie i komunizmie nie trzymała społeczeństw Europy w jakimś elementarnym porządku przez dekady? A może warunki dzisiaj są inne? Może dzisiejsze doświadczenia emigrantów są odklejone od burzliwych losów Warskiego na Zachodzie? Film Pawlikowskiego definitywnie zasługuje na to, by każdy osobiście to sprawdził, zanim dzieło wejdzie już tylko dumnie do historii polskiej kinematografii.

GÓRNA PÓŁKA

Reglamentacja

ANTONI DUDEK

Jednym z najczęstszych skojarzeń, wiążących się w powszechnej świadomości z epoką PRL, niezmiennie pozostaje system reglamentacji towarów. Kartki na mięso, cukier, benzynę pamiętają wszyscy żyjący w tamtych czasach, a opowieści o nich wracają we wspomnieniach. Mimo to do niedawna brak było książki, która w sposób całościowy opisałaby, jak właściwie funkcjonował system kartkowy. Lukę tę wypełnia imponująca źródłowo praca Andrzeja Zawistowskiego.

W 1981 r. narastający kryzys gospodarczy zmusił władze PRL do objęcia systemem kartkowym kolejnych po cukrze deficytowych towarów, w tym wódki. Do czasu lektury monografii Zawistowskiego żyłem w przeświadczeniu, że każdemu dorosłemu obywatelowi PRL przysługiwało prawo do zakupu pół litra naszego narodowego trunku. Okazuje się jednak, że Ministerstwo Handlu było zdania, iż w województwie katowickim mieszkają ludzie bardziej jej spragnieni, przewidziano bowiem dla jego mieszkańców po litrze na głowę. Powód był oczywiście prozaiczny: węgiel pozostawał wówczas głównym towarem eksportowym i władze robiły wszystko, co możliwe, aby wprawić górników w lepszy nastrój.

Jednak był to zaledwie wierzchołek regionalnych zróżnicowań, jakie zrodził system reglamentacji. Władze województw, na których terenie były zlokalizowane zakłady produkujące deficytowe towary, natychmiast podjęły działania, aby jak największą ich liczbę pozostawić na swoim terenie. „Niedopuszczalne jest wydawanie przez wojewodów – głosiło zarządzenie premiera Jaruzelskiego – zakazów przewożenia żywca, innych produktów rolnych oraz artykułów żywnościowych i przemysłowych poza obszar województwa". Zarządzenie zarządzeniem, a fakty były takie, że we wrześniu 1981 r. szczęśliwy mieszkaniec województwa konińskiego mógł kupić dla swojego dziecka aż 70 dag słodyczy, a ten pochodzący z pobliskiego województwa kaliskiego – już tylko 25 dag. Jeśli jednak dziecko obywatela z kaliskiego było niemowlakiem, to otrzymywał on kartkę na zakup 15 szt. pieluch, a w konińskim przydziału na nie w ogóle nie było.

Oszczędzę czytelnikom wyliczenia, na co obywatel abstynent mógł wymienić przydziałową wódkę (a niepalący papierosy); zdradzę jedynie, że akurat w tych przypadkach mieszkać w województwie katowickim już się tak nie opłacało.

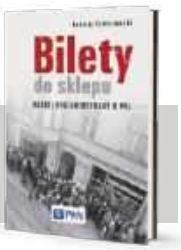

A. Zawistowski, „Bilety do sklepu. Handel reglamentowany w PRL", Warszawa 2017

eprasa.pl 77c6269fd8

Bilans zbrodni

Tym, którzy przeżyli II wojnę światową, nikt nie musiał tłumaczyć, czym tak naprawdę była niemiecka okupacja ziem polskich, jak wyglądał ogrom zbrodni, jakich nizin nieludzkiego zachowania sięgnęła „rasa panów" z Zachodu.

Potomkowie dzięki relacjom członków rodzin – naocznych świadków – mogły się dowiedzieć prawdy o tym strasznym okresie. Tym pokoleniom Polaków nikt ani nic nie jest w stanie zakłamać obrazu niemieckich zbrodni w latach 1939–1945.

Jednak historia Polski się nie kończy. Kolejne pokolenia z różnych powodów nie będą w stanie – nie tylko emocjonalnie – podejść do problemu, ale będzie im coraz trudniej dowiedzieć się, co właściwie działo się z Polakami w latach 1939–1945. Historia od lat jest w szkołach marginalizowana, a poziom przemilczeń, mitologizowania, pogardy dla prawdy i stężenia kłamstwa na temat źródeł, przebiegu i konsekwencji II wojny światowej w międzynarodowych narracjach rośnie proporcjonalnie do wydłużania się okresu, który minął od tego strasznego czasu.

Wydana przez wydawnictwo Znak książka Dariusza Kalińskiego „Bilans krzywd. Jak naprawdę wyglądała niemiecka okupacja Polski" jest przewodnikiem po czasach dramatu, który przeorał na wskroś polski naród. Jest niczym dokładnie rozpisany schemat zbrodni popełnionej przez Niemców na zimno, z nieludzkim przekonaniem, że oto nieubłagana logika historii oddała im – „teutońskim nadludziom" – w bezkarne władanie los, życie i śmierć narodu sąsiadów. Pozbawiona patosu i egzaltacji książka Kalińskiego może stać się podręcznikiem dla młodych i tych starszych Polaków, którzy chcą ten okres zgłębić. Kaliński krok po kroku, z naukową precyzją, prowadzi swoją opowieść przez najtragiczniejsze momenty czasu okupacji. Przypomina nie tylko o dotkliwych zniszczeniach materialnych, o systematycznym rabunku na niespotykaną skalę uprawianym przez Niemców, ale przede wszystkim o ludobójstwie na obywatelach Polski, odsłaniając i przypominając najczarniejsze karty zbrodni urzędników i obywateli III Rzeszy kanclerza Adolfa Hitlera.

Zabrzmieć to może jak kolejna odmiana „promowania polskiej narracji historycznej", jednak książka „Bilans krzywd" przetłumaczona szeroko w świecie, na wiele języków, byłaby dobrym narzędziem do przekazania prostego przesłania: „jak było naprawdę?". Bo mocy mackiewiczowskiej frazy, że „tylko prawda jest ciekawa", nie unieważni żadna kolejna geopolityczna konstelacja, która lekko, łatwo i nieodwołalnie rozgrzesza wczorajszych katów.

(karpo)

Dariusz Kaliński, „Bilans krzywd. Jak naprawdę wyglądała niemiecka okupacja Polski", wyd. Znak, Kraków 2018

46/0118/F

REKLAMA

CZY MOŻNA OSZACOWAĆ
SKALĘ KRZYWD
WYRZĄDZONYCH POLAKOM PRZEZ NIEMIECKIEGO OKUPANTA?

Dariusz Kaliński – autor bestsellerowej *Czerwonej Zarazy* – bez ogródek i bez obaw pisze o czasach, gdy Polak nie był dla Niemca człowiekiem. I nie boi się pytać, jaki naprawdę jest bilans wyrządzonych Polsce niegodziwości.

Książka dostępna w salonach empik i empik.com

eprasa.pl 77c6269fd8

TROCHĘ OSIOŁ, TROCHĘ LEW

KILKA LAT TEMU ZNALAZŁ SIĘ CHIŃCZYK, KTÓRY KUPIŁ PSA ZA 10 MLN JUANÓW, CO W PRZELICZENIU DAJE 1,5 MLN DOL. BYŁA TO NAJWYŻSZA SUMA, JAKĄ KIEDYKOLWIEK W HISTORII ZAPŁACONO ZA POTOMKA WILKA SZAREGO

FOT. SHUTTERSTOCK

MAGDALENA SZCZEPANIAK

Chińczycy mają fantazję, ale przede wszystkim pieniądze. Aby pochwalić się bogactwem, nie wystarczają im już luksusowe samochody i bajecznie droga biżuteria. Do najnowszych trendów, które ujawnią status i wyeksponują zamożność, należy mastif tybetański. Poprzedni rekord – 1,4 mln dol. – także dotyczył psa tej rasy, jednej z najstarszych i stosunkowo rzadkiej.

Mastif wydzielił się od wilka 58 tys. lat temu, podczas gdy większość ras ok. 20 tys. lat później. Dał początek takim rasom jak pirenejski pies górski, berneński pies pasterski, bernardyn czy rottweiler. Archeolodzy odnaleźli w Chinach szczątki potężnego psa, które datują na 1100 lat p.n.e. Pies był świetnie przystosowany do życia na Wyżynie Tybetańskiej: nie groziło mu niedotlenienie ze względu na niższy poziom hemoglobiny we krwi, podobnie jak jakom, kozicom tybetańskim, panterom śnieżnym i dzikom euroazjatyckim.

Mastify należą do bardzo inteligentnych psów stróżujących, są bardzo przyjaźnie nastawione do innych zwierząt i dzieci. Od wieków strzegły klasztorów w Tybecie oraz służyły koczownikom w Himalajach. Dni spędzały na łańcuchu, często przykute do bram budynków, a w nocy biegały luzem i pilnowały dobytku. Dlatego jeśli marzycie o mastifie, zostawianie go na noc na dworze nie jest dobrym pomysłem, jeżeli macie sąsiadów.

Mastify mogą się pochwalić wyjątkową urodą. Mają olbrzymie łby, a ich kudłata, futrzasta sierść koloru czarnego lub brązowego, którą zrzucają przez miesiąc raz w roku, sprawia, że wyglądają na jeszcze większe i potężniejsze.

Hong Dong, bo tak się nazywa nasz bohater, osiągnął swoją niebotyczną cenę także dzięki niezwykłemu kolorowi – czerwonemu, który jest uważany za szczęśliwy w Chinach. Typowy mastif waży 60–77 kg, Hong w wieku 11 miesięcy ważył 80 kg, jego dorosła masa może dojść nawet do 130 kg. Psy tej rasy osiągają dojrzałość w wieku 3–5 lat, żyją średnio 10–14 lat.

Marco Polo, wenecki kupiec i jeden z największych podróżników w historii, natknął się na te psy w Chinach, gdzie przebywał 17 lat. W tym czasie zaskarbił sobie przychylność i zaufanie Kubilaj-chana, wnuka wielkiego Czyngis-chana, władcy imperium mongolskiego. Poznał dokładnie nie tylko Chiny, ale i inne kraje Azji, do których chan wysyłał go jako swojego emisariusza. Kubilaj dokończył dzieło dziadka i Chiny były wtedy w większej części już opanowane przez Mongołów. Mastify były według podróżnika wysokie jak osły i miały głos tak potężny jak lwy.

W 1872 r. pewien pisarz dał taki ich opis: „Psy Tybetu są dwa razy tego rozmiaru, co psy z Indii, z ogromnymi łbami i futrzastymi korpusami. To potężne zwierzęta i mówi się, że są zdolne zabić tygrysa. W ciągu dnia przebywają na łańcuchu, spuszczane są w nocy, żeby chronić dom swojego pana".

Pierwszy raz opuściły granice rodzimego zamiast swojego kraju w 1847 r., kiedy namiestnik Indii dał samca o imieniu Siring królowej Wiktorii. Niecałe 30 lat później książę Walii wystawił dwa mastify tybetańskie na pokazie psów. W początkach XX w. król Jerzy V zainteresował się tą rasą i sprowadził ją do Anglii. W 1906 r. odbył się pokaz mastifów w Pałacu Kryształowym w Londynie. Niedługo jednak nadeszła Wielka Wojna, w czasie której rasa ta prawie wyginęła na Wyspach, nikt bowiem nie zawracał sobie głowy wtedy takimi błahostkami jak utrzymanie gatunku.

Po inwazji Chin na Tybet tylko kilka z tych psów przetrwało, głównie dzięki temu, że uciekły poza granice kraju lub przeżyły odizolowane w górach.

Hong Donga nabył milioner, węglowy baron z Chin. Jego dane są utajnione ze względu na ryzyko porwania psa. Część kosztów może mu się zwrócić – ocenia się, że jego pies może mieć nawet 100 partnerek w ciągu swojego życia, a za dostęp każdej z nich do Hong Donga właściciel może inkasować równowartość 5 tys. zł.

Tybetańczycy wierzą, że dusze mnichów, którzy nie zasłużyli na to, aby po śmierci ciała odrodzić się w nowym człowieku, wchodzą w psa. Może tak się narodził najdroższy pies świata?

eprasa.pl 77c6269fd8

NASTĘPCA LEGENDY

RENAULT R 35 I R 40 W LATACH 1939–1940 BYŁY PODSTAWOWYMI CZOŁGAMI SŁUŻĄCYMI W ARMII FRANCUSKIEJ

KACPER GROCHOCKI

Po zakończeniu I wojny światowej Francja była potęgą w zakresie wojsk pancernych. Przełomowa konstrukcja, jaką był Renault FT-17, stała się punktem odniesienia dla projektantów kolejnych generacji czołgów w wielu krajach. Mimo dużej liczby dobrego jakościowo sprzętu, nad Sekwaną uznano, że przyszłość jednostek pancernych będzie taka jak ich przeszłość. Oznaczało to pomocniczą rolę czołgów względem piechoty i ograniczanie ich działań na polu walki do zadań wspierających. Pogląd taki dominował we francuskiej armii do wybuchu II wojny światowej i odcisnął piętno na nowo opracowywanych konstrukcjach wozów pancernych.

W początkach lat 20. rozpoczęto we Francji prace nad nowymi modelami czołgów towarzyszących piechoty. Zaaprobowane i produkowane seryjnie projekty okazały się jednak nieudane (wozy D1 i D2). Wobec tego dowództwo francuskiej armii w 1933 r. zleciło opracowanie nowej konstrukcji, która miała nawiązywać do wysłużonego FT-17. Czołg miał być lekki, ale jednocześnie dobrze opancerzony. Na uzbrojenie główne wybrano armatę kal. 37 mm, a załogę stanowić miało dwóch ludzi. Oczekiwano również, że wóz będzie się odznaczał dobrymi właściwościami manewrowymi.

Odzew firm chcących zaprojektować następcę legendarnego FT-17 był duży – do konkursu zgłosiło się 14 zakładów. Ich liczbę sukcesywnie ograniczano, w miarę weryfikacji przedstawionych koncepcji. Ostatecznie francuskich wojskowych przekonała firma Renault, a więc konstruktor oryginału. Po testach prototypu, w czasie których wprowadzono niezbędne modyfikacje, w kwietniu 1935 r. czołg został przyjęty do służby jako „Char legre modele 1935", a jego skrótowe oznaczenie brzmiało R 35.

Wóz wyróżniał się zastosowaniem odlewanych elementów pancerza, którego grubość na większości powierzchni wynosiła 40 mm. Uzbrojenie stanowiła armata kal. 37 mm (początkowo stosowano przestarzały model z I wojny światowej) oraz sprzężony z nią karabin maszynowy kal. 7,5 mm. Całość napędzał benzynowy silnik o mocy 82 KM, który pozwalał na osiągnięcie prędkości maksymalnej niespełna 20 km/h. Zasięg maszyny wynosił ok. 140 km. Pojazd miał masę bojową 10,6 t. Załogę stanowiło dwóch ludzi – kierowca oraz dowódca będący jednocześnie strzelcem i operatorem radia (w późniejszych wersjach wozu).

Eksploatacja dość szybko ujawniła poważną wadę czołgu, którą okazał się układ jezdny. Prace nad jego przekonstruowaniem trwały aż do 1939 r., kiedy w lutym zaaprobowano model czołgu z nowym zawieszeniem. Do produkcji seryjnej wszedł w 1940 r., dlatego otrzymał skrótowe oznaczenie R 40. Łącznie powstało niespełna 1,7 tys. szt. tego pojazdu, z czego zdecydowania większość (ok. 1,5 tys.) to model R 35.

Atak Wehrmachtu na Francję w maju 1940 r. i starcia z ruchliwymi pancernymi zagonami Niemców, realizujących koncepcję Blitzkriegu, szybko obnażyły braki R 35/40 na polu walki. Największą bolączką było przeciążenie dowódcy pojazdu zadaniami. Oprócz obserwacji terenu i wydawania rozkazów zajmował się obsługą działa i kaemu oraz odpowiadał za łączność radiową. Niska prędkość czołgu sprawiała, że stawał się łatwym łupem dla artylerii przeciwpancernej wroga, a słabe zawieszenie wersji R 35 dodatkowo obniżało jego mobilność. Wóz tego typu mógł być wartościowym dodatkiem na polach bitew I wojny światowej, jak FT-17, lecz w nowych realiach spełniał tylko marginalną funkcję.

Poza Francją czołg R 35/40 użytkowało kilka innych państw, także Polska, która zamówiła u swojego sojusznika 100 szt. wozu. Ostatecznie w sierpniu 1939 r. nad Wisłę trafiło 50 tych pojazdów. Czołg używany był także w Jugosławii, Bułgarii, Turcji i Rumunii. Wiele zdobycznych sztuk weszło do służby w jednostkach Wehrmachtu i armii włoskiej, choć Niemcy użytkowali je w ograniczonym zakresie i często przebudowywali na działa samobieżne lub ciągniki artyleryjskie. Po II wojnie światowej R 35/40 brały jeszcze udział w walkach o niepodległość Izraela, będąc w służbie obydwu stron konfliktu w Palestynie.

FOT. NAC

eprasa.pl 77c6269fd8

PRZYJACIÓŁKA ORZESZKOWEJ

W TOMSKU RODZICE POTRAFILI STWORZYĆ CIEPŁĄ ATMOSFERĘ RODZINNĄ DLA SWYCH CZTERECH CÓREK: MARII, GABRIELI, JADWIGI I JUŻ TU URODZONEJ KAZIMIERY. W METRYCE NAJMŁODSZEJ SIOSTRY WIDNIAŁO ZASZCZYTNE DLA ZESŁAŃCÓW SFORMUŁOWANIE: „CÓRKA PRZESTĘPCÓW POLITYCZNYCH"

JOANNA PUCHALSKA

Przed zesłaniem na Syberię Witalis Ostromęcki pracował jak plenipotent w dobrach marszałka szlachty grodzieńskiej Kaliksta Orzeszki i gospodarował w dzierżawionym przez siebie majątku Droboty. Wśród jego najbliższych sąsiadów znalazły się rodziny Trauguttów i Pawłowskich (rodziców Elizy Orzeszkowej). Romuald Traugutt był częstym gościem w domu państwa Ostromęckich. Pewnego razu podczas takiej wizyty zjawili się rosyjscy żołnierze i zaczęli robić rewizję. Matka Jadwigi jako „ciężko chora" szybko położyła się do łóżka, a przy niej zasiadł „lekarz domowy". Gdy w trakcie przeszukiwań oficer stanął pod drzwiami sypialni, ojciec powiedział, że tam leży chora pani domu i jest właśnie badana przez lekarza. Rosjanin postąpił jak dżentelmen i nie wszedł.

Ojciec Jadwigi był zaangażowany w przygotowania do powstania, a później utrzymywał kontakty z partią Traugutta, choć sam nie walczył. Aresztowano go latem 1863 r. W grodzieńskim więzieniu przebywał razem z Piotrem Orzeszką, mężem Elizy Orzeszkowej. Po rocznym śledztwie Witalisa Ostromęckiego zesłano do Tomska. Żona zdecydowała się jechać z nim i zabrała córki, z których najstarsza miała siedem lat, a najmłodsza dwa. W Tomsku przechował się traktowany jak relikwia „koszyk Orzeszkowej", który napełniony pomarańczami pisarka przyniosła im na drogę.

Jadwiga Ostromęcka z uczennicami VI klasy, 1915 r.

Wszyscy na Sybir

W tym samym czasie przebywali tu m.in. Tomasz i Teresa Bułhakowie, zesłani po raz drugi. W ich domu, będącym ostoją dla sąsiadów współwygnańców, stale przebywał żołnierz, który pilnował „niebezpiecznego recydywisty". Widząc te tłumy Polaków przewijające się przez Tomsk, mała Jadwiga była święcie przekonana, że każdy Polak musi się znaleźć na Syberii.

Kiedy miała 11 lat, matka zachorowała i w listopadzie 1873 r. zmarła. W tym czasie ojcu pozwolono opuścić Syberię, ale bez prawa zamieszkania w kraju. Zdecydował się na Kazań i osierocona rodzina tam się przeniosła. Jadwiga ukończyła gimnazjum. Aby wesprzeć rodzinny budżet, uczyła dzieci w domu bogatego kupca. Marzyła o studiach, ale w tych czasach w Rosji uniwersytety były dla kobiet niedostępne. Ze względów finansowych nie mogła wyjechać, więc zabrała się do samokształcenia.

Jeszcze w Tomsku rodzice często wspominali Elizę Orzeszkową jako wielką patriotkę, mówiono o jej poglądach na rolę kobiety w społeczeństwie i na wychowanie dziewcząt – takie, aby przygotować je do samodzielnego życia. Młodziutka nauczycielka marzyła o poznaniu pisarki i w końcu odważyła się wysłać do niej list. Niebawem nadeszła odpowiedź i tak narodziła się ich wieloletnia przyjaźń.

W 1891 r. przypadało 25-lecie pracy Elizy Orzeszkowej. Polki z Kazania postanowiły wysłać adres do jubilatki. Jadwiga podjęła się roli posłańca. Do dworu Poniemń na Grodzieńszczyźnie, gdzie pisarka spędzała lato, zamierzała przyjechać na kilka godzin, a została przeszło miesiąc. Był to czas długich rozmów i wymiany myśli. Na pamiątkę dostała fotografię z dedykacją: „Mojej serdecznie kochanej Jadzi Ostromęckiej. Błogosławiona niech będzie zacna dusza twoja, piękna praca, droga rodzina i ta chwila, w której zeszły się drogi nasze".

Wylot z rodzinnego gniazda

Na początku lat 90. znany filozof Wincenty Lutosławski mający wykłady w Kazaniu

FOT. ZBIORY AUTORKI

eprasa.pl 77c6269fd8

Nauczyciele i uczennice pensji Antoniny Walickiej w 1917 r. Jadwiga Ostromęcka siedzi pierwsza z prawej

zaproponował Jadwidze wyjazd na rok do Londynu, by uczyć jego córki. Zgodziła się i tak znalazła się w Anglii, gdzie dużo czasu spędziła, dokształcając się w bibliotece British Museum. Po powrocie jakiś czas pracowała jako nauczycielka domowa w Świacku, po czym dowiedziawszy się w 1902 r., że poznana w Warszawie Antonina Walicka, córka znanego literata i publicysty Aleksandra Walickiego, otwiera od jesieni czteroklasową pensję żeńską, postanowiła się zgłosić do pracy. Została tam życzliwie przyjęta przez tę „inteligentną, pragnącą ideowo pracować nad kształceniem młodzieży kobietę". Do budynku przy Kruczej 44, róg Nowogrodzkiej, zawitała w końcu sierpnia 1902 r. Na pensji, a potem w gimnazjum Antoniny Walickiej pozostała do emerytury w 1935 r., realizując swoim życiem i pracą ideał z powieści Orzeszkowej – kobiety samodzielnej materialnie i użytecznej dla innych.

Jawne i tajne nauczanie

Na początku prowadziła lekcje historii w klasie III, gdyż lekcje matematyki, które pragnęła objąć, były już obsadzone. Matematyki będzie uczyć później, a na razie opowiadała dziewczynkom o życiu starożytnych ludów. Sama narysowała 25 tablic ilustrujących wykłady z historii Asyrii, Babilonii, Egiptu, Grecji, Fenicji. Z uczennicami chodziła do muzeów i na wystawy.

Opiekowała się też internatem i objęła wychowawstwo w IV klasie. Miała dobry kontakt z uczennicami. Co było dla niej trudne, to konieczność zaprzeczenia zasadzie, że prawdziwego pedagoga powinna cechować szczerość i prawda także w postępowaniu. Dla bezpieczeństwa pensji musiała bowiem kontrolować kasetki dziewczynek, czy nie ma tam nic, co by świadczyło o tym, że lekcje znacznie wychodzą poza dozwolony przez Rosjan program; historia i geografia Polski były zakazane, a nauczanie języka polskiego mocno ograniczone. Robiła kontrole w sposób delikatny i wyważony. „Pomimo przebywania niejako w ciągłej walce z wrogimi rozporządzeniami rządowymi wystrzegałam się całą siłą jednej rzeczy: nie zasiałam w żadnej z tych młodych dusz uczucia nienawiści, ucząc dziewczęta kochać to, co swoje, kochać Polskę".

Gdy Antonina Walicka nie dostała pozwolenia na utworzenie klasy V, postanowiono prowadzić zajęcia konspiracyjnie. Odbywały się na najwyższym piętrze, blisko strychu. Przy drzwiach wejściowych był zainstalowany sekretny alarm i gdy zjawiał się rosyjski inspektor, uczennice szybko pozbywały się książek i uciekały na strych. Pani Ostromęcka czuwała nad takimi akcjami i zajmowała się też przemycaniem na pensję „nielegalnych" profesorów, wśród których były takie sławy, jak Władysław Smoleński czy zaprzyjaźniony z przełożoną Ignacy Chrzanowski.

Maturzystki społecznice

Pensja – a później w latach niepodległości gimnazjum – nie tylko kształciła umysły, ale też wdrażała uczennice do pracy społecznej. Dziewczęta odwiedzały pobliską ochronkę, organizowały gwiazdkę dla ubogich dzieci, zbierały fundusze na pomoc dla rodzin bezrobotnych, a w 1918 i 1920 r. odwiedzały rannych w wojskowym szpitalu. Robiły to pod kierunkiem pani Ostromęckiej.

Natalia Belkowska-Drac, maturzystka z 1934 r., napisała: „Była to świetlana postać: ideał kobiety-pedagoga, Polki. Mądry psycholog, umiała trafić do młodzieży, uczyła nas, jak żyć. [...] Dbała też bardzo o młode dusze, rozwijając w nas najpiękniejsze cechy charakteru: patriotyzm, szlachetność, sprawiedliwość, prawdomówność, pracowitość i odpowiedzialność. [...] Wychowawczyni nasza jeździła zawsze z nami na wszystkie wycieczki, do Wilanowa, Czerska, Wilna i inne, pokazując piękno naszego kraju i przypominając naszą historię".

Inna uczennica, Leontyna Haciska, zapamiętała, że Jadwiga Ostromęcka „bywała surowa i poważna, ale jednocześnie wyrozumiała, kochająca młodzież [...], cieszyła się wielkim autorytetem wśród uczennic i nauczycieli".

Nauczycielka chętnie podpowiadała wychowankom, jak dobierać lekturę, „bo na czytanie złych książek szkoda czasu". Doradzała nie tylko pensjonarkom. W okresie międzywojennym została powołana do Komitetu Oceny Książek dla Młodzieży i wydała wspólnie z Marią Gorzechowską „Katalog podstawowy książek dla Bibljotek Powszechnych".

Przyjaźń do grobowej deski

W chwili wyjazdu na Syberię Jadwiga miała dwa lata. Nie mogła pamiętać rodzinnego kraju, a że na wygnaniu przeżyła śmierć matki, można powiedzieć, iż utraciła tu i ojczyznę, i najbliższą osobę. Nic dziwnego, że Eliza Orzeszkowa ze swoim autorytetem patriotki a jednocześnie ogromną dobrocią i życzliwością, stała się dla dużo młodszej nauczycielki wielkim oparciem w życiu.

Jadwiga Ostromęcka regularnie bywała u Orzeszkowej, często spędzały razem Boże Narodzenie, tak jak w 1906 r., gdy oglądały w teatrze w Grodnie inscenizację powieści „Bene nati". Ostatni raz widziały się w 1909 r. Orzeszkowa już czuła się niezdrowa i w maju 1910 r. zmarła. W pogrzebie wzięło udział kilkanaście tysięcy osób: Polaków, Rosjan i Żydów. Brakowało tylko młodzieży szkolnej, której władze na to nie pozwoliły.

Jadwiga Ostromęcka była jedną z założycielek Towarzystwa Przyjaciół im. Elizy Orzeszkowej. Uczennice z gimnazjum Antoniny Walickiej zapamiętały, że w swoim mieszkaniu przy ul. Słupeckiej miała fotografię pisarki, przy której zawsze stały świeże kwiaty.

eprasa.pl 77c6269fd8

DOLE I NIEDOLE RATOWNICTWA MEDYCZNEGO

NA POTRZEBY TEGO TEKSTU SPARAFRAZUJMY SŁYNNE POWIEDZENIE CHURCHILLA: ZAWSZE W DZIEJACH WOJEN I POKOJU TAK LICZNI ZAWDZIĘCZALI TAK WIELE TAK NIELICZNYM. CI LICZNI POZOSTALI JEDNAK NIEWDZIĘCZNI

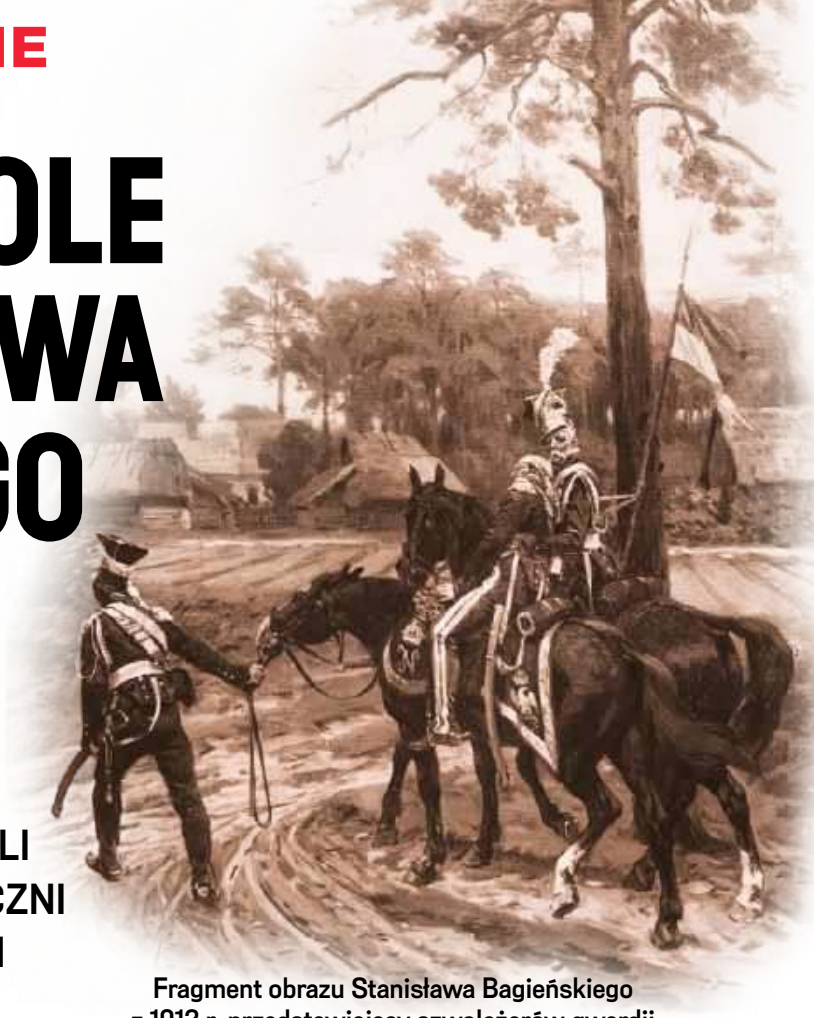

Fragment obrazu Stanisława Bagieńskiego z 1912 r. przedstawiający szwoleżerów gwardii Napoleona transportujących rannego kolegę

KRZYSZTOF ŻARYN

Przychodzi mi pisać ten tekst zaraz po dotkliwej porażce naszej reprezentacji na mundialu w Rosji. Wielu „ekspertów" dopatruje się przyczyn klęski naszych piłkarzy w nadaktywnej bytności w reklamach emitowanych w czasie poprzedzającym mistrzostwa. Moim skromnym zdaniem ma to niewiele wspólnego z rzeczywistością, ponieważ w każdym z krajów biorących udział w tym wydarzeniu panowała podobna głupawka i piłkarze poszczególnych nacji „wychodzili z lodówki" w podobnej skali... Chciałem jednak zwrócić uwagę na inną rzecz, która od jakiegoś czasu zaprząta mi głowę. Jest to mianowicie niezrozumiałe dla mnie przewartościowanie pieniądza i zawodów opłacanych nieadekwatnie do poziomu ich ważności. Umówmy się, czy Lewandowski kopnie piłkę w bramkę czy w trybuny, nie wpłynie to diametralnie na moje życie oprócz chwilowej irytacji lub zachwytu. A za takie popisy piłkarze inkasują pensje, które w liczbie cyfr przypominają mój numer telefonu. Nie chodzi o to, że żałuję komukolwiek pieniędzy. Żal mi po prostu profesji, które są dużo ważniejsze od cechów: kopaczy, aktorów, piosenkarzy, a są wysoce niedoceniane. Mam tu na myśli jedną, szczególnie poszkodowaną grupę zawodową. To ludzie, którzy na co dzień ratują nam życie oraz zdrowie, a muszą się martwić o byt od pierwszego do pierwszego. Oddając im skromny hołd za wykonywaną pracę, chciałem pokrótce przytoczyć historię ratownictwa medycznego.

Prekursor Eliasz i przywracanie oddechu

Konieczność powstania ratownictwa medycznego wiązała się początkowo z działaniem natury i wynikała z powszechnie doznawanych urazów dnia codziennego. U ludzi prehistorycznych były to głównie powstałe na polowaniach rany, które należało opatrywać. Próby ich leczenia można wiązać również z początkami nauk medycznych, rodzących się naturalnie w wyniku obserwacji ciała ludzkiego. Jedną z pierwszych godnych uwagi interwencji medycznych, które można uznać za typowe działanie ratownicze, przypisuje się prorokowi Eliaszowi. Zastosował on metodę „usta-usta", by uratować dziecko wdowy w Sarepcie. Żywot proroka datuje się na przełom IX i VIII w. przed narodzeniem Chrystusa. Zadziwiające może być to, że użył on metody, która do dziś, zaraz po masażu serca, jest głównym sposobem ratowania życia.

Jak się można jednak domyślać, nie brakowało również sposobów mrożących krew w żyłach i wywołujących głębokie współczucie wobec „ratowanych" osób. Wiele zachowanych do dziś relacji na temat akcji ratunkowych dotyczyło topielców. W starożytnym Egipcie mogły być to powszechne zdarzenia, zważywszy na duże zagęszczenie ludności przy Nilu. Opisane są przypadki, gdy wyłowionego nieszczęśnika wieszano za pięty i ściskano klatkę piersiową w celu wypchnięcia wody z dróg oddechowych. Ta metoda może się wydawać drastyczna,

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA (3X)

eprasa.pl 77c6269fd8

ale tylko do chwili, gdy dowiemy się, jak z podobnym problemem radzono sobie w starożytnej Azji. W Chinach i Japonii topielec po wyłowieniu z wody dostawał „prezent" w formie rozgrzanych kamieni na goły brzuch. Miało to przywrócić oddech nieszczęśnikowi. Gdy ta metoda nie przynosiła efektu, przewieszano jegomościa przez grzbiet idącego wołu, a jego ruch powodować miał wydostanie się wody z płuc.

W sukurs wojownikom

Rozwój ratownictwa medycznego trzeba wiązać także z rozwojem sztuki wojennej i niesieniem pomocy wojownikom rannym i kontuzjowanym na polach bitew i w trakcie potyczek. Pierwszymi, którzy zauważyli konieczność wprowadzenia oddziałów sanitarnych do armii, byli starożytni Grecy i Rzymianie. W Sparcie medycy mieli obowiązek udzielania pomocy żołnierzom z jednoczesnym zakazem noszenia broni. Nakaz ten wprowadził Likurg żyjący na przełomie IX i VIII w. przed narodzeniem Chrystusa. Później system ratownictwa na polu bitwy rozwinęli Rzymianie. W czasie walnych konfrontacji, gdzie ścierały się liczne oddziały żołnierzy i było wielu rannych rannych, stawiano specjalne lecznice. Pierwsze tego typu polowe szpitale organizowano w I w. po Chrystusie. Skupiały lekarzy różnych specjalizacji, sanitariuszy i pielęgniarzy. Tam też wykorzystano symbol, który był uważany za atrybut Asklepiosa, a który oznacza służbę zdrowia do dziś – laskę wędrowną z owijającym ją wężem. Mimo rozwoju ratownictwa na polach bitew śmiertelność wśród żołnierzy była bardzo wysoka – ok. 80 proc.

Dopiero w renesansie nastąpiła rewolucja w dziedzinie pomocy rannym. Pod koniec XV w. możemy usłyszeć o lazaretach powstających za sprawą Izabelli królowej Kastylii podczas oblężenia Grenady. Dalsze działania medyczne przejmowali sanitariusze, na których składali się klerycy lub członkowie oddziałów najbardziej poszkodowanych podczas bitwy, wspomagający osoby odpowiedzialne za ratownictwo medyczne.

Napoleońska szybkość

Przełom, który spowodował znaczne zmniejszenie umieralności żołnierzy rannych w czasie bitwy, przyniosły wojny

Emilia Sczaniecka ratująca rannych na polu bitwy w 1831 r.

napoleońskie. Sztandarową postacią tych czasów, będącą odpowiedzialną za zdrowie rannych, był Dominique Jean Larrey, mianowany w 1805 r. generalnym Inspektorem Urzędu Zdrowia Armii Francuskiej. To on wraz z innymi lekarzami określił, że najważniejszą zasadą pomocy udzielanej rannemu człowiekowi jest szybkość w podejmowaniu decyzji i wykonywaniu zabiegu. Aby wymogi naukowców mogły zostać spełnione, powstał „wynalazek", który możemy nazwać pierwszym ambulansem. Był to zwrotny pojazd o małej masie, zaprzęgnięty w jednego konia, który mógł lawirować na pobojowisku; zbierano do niego rannych i zawożono do pobliskich lazaretów. Ten dyliżans pozwalał na ratującą życie szybką interwencję lekarską oraz przewiezienie pacjenta na operację szpitalną. W czasie kampanii włoskiej powstał cały batalion sanitariuszy, który odpowiedzialny był wyłącznie za udzielanie pomocy rannym żołnierzom.

Ciężko ranny Tadeusz Kościuszko w namiocie rosyjskiego generała Fersena

Do cywila

Dalsze losy opisywanej dziedziny medycyny wiążą się z rozwojem i eskalacją przemocy w czasie konfliktów politycznych. Wraz z rozwojem przemysłu zbrojeniowego zwiększały się również: skale rażenia, liczba rannych żołnierzy i cywilów oraz stopień obrażeń. Zaczęły powstawać organizacje, które miały za zadanie dbać o zdrowie narażonych jednostek. Jedną z nich był m.in. międzynarodowy Czerwony Krzyż, który funkcjonuje do dziś. Nauka wynikająca z doświadczenia ratowania życia osobom poszkodowanym w czasie walk dała impuls, by zastosować podobne metody leczenia w życiu codziennym. Z tego względu pod koniec XIX w. zaczęły powstawać cywilne służby ratownictwa medycznego, których działalność stopniowo rozwijała się w Stanach Zjednoczonych i Europie. W Polsce pierwszy punkt powstał w 1891 r. w Krakowie. Impulsem do zorganizowania szybkiej pomocy medycznej były liczne w owym czasie pożary. Personel stanowili ochotnicy zaopatrzeni w ambulans zaprzęgnięty w dwa konie, mający do dyspozycji nosze. Finansowaniem punktu szybkiego reagowania zajmowała się rada miasta. W dalszych latach powstawały ośrodki w Warszawie, we Lwowie i w Poznaniu. Funkcjonowały dzięki darowiznom mieszkańców.

Późniejszy rozwój ratownictwa medycznego był już bardzo szybki. Jak w każdej dziedzinie medycyny to XX w. był okresem ogromnego skoku jakościowego w modernizacji leczenia. Powstały schematy przedszpitalnej pomocy medycznej, zgłębiono wiedzę dotyczącą prawidłowego udzielania pierwszej pomocy poszkodowanym. Dzięki tym osiągnięciom w dzisiejszych czasach możemy liczyć na pomoc wykwalifikowanych ratowników medycznych, którzy, niejednokrotnie w bardzo ciężkich warunkach, pozostają w ciągłej gotowości do pomocy. Niestety są to osoby niedoceniane ani przez rządzących, ani przez ratowanych. Opłacane tak nisko, że nie zawsze mogą zapewnić byt swoim najbliższym. A przecież pensja winna być odzwierciedleniem kompetencji zawodowej i jednocześnie wyrazem szacunku i uznania społecznego.

M/S „PIŁSUDSKI" NALEŻAŁ DO NAJWYŻSZEJ KLASY PRZEDWOJENNYCH LINIOWCÓW. NA STATKU ZNAJDOWAŁO SIĘ SIEDEM POKŁADÓW Z KABINAMI DLA 800 PASAŻERÓW I 350 OSÓB ZAŁOGI, SALONEM, PARKIETEM TANECZNYM, BASENEM, POKOJEM ZABAW DLA DZIECI ORAZ SALĄ GIMNASTYCZNĄ

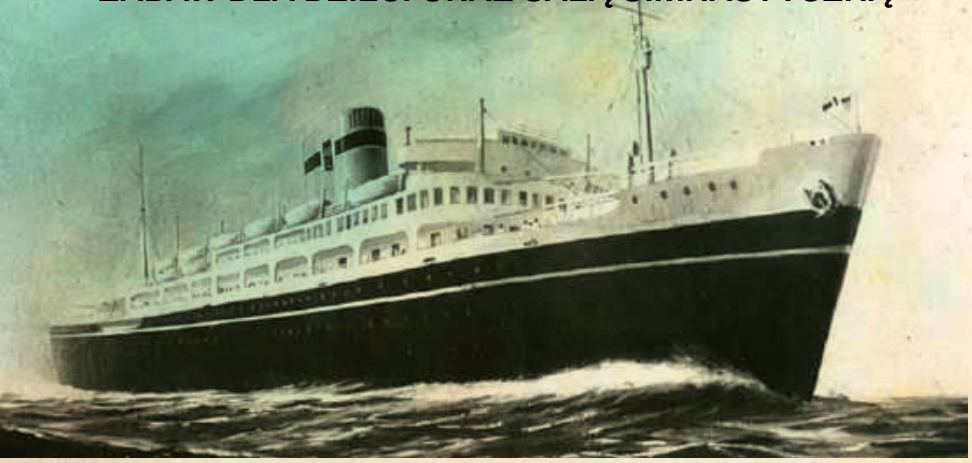

TRANSATLANTYK „PIŁSUDSKI" – NASZA DUMA NARODOWA

KATARZYNA WYSOCZYŃSKA

23 września 1922 r. Sejm RP przyjął ustawę o budowie w Gdyni portu będącego w ówczesnej sytuacji oknem na świat niepodległej Polski. Pięć lat później w porcie ładowały się już pierwsze parowce handlowe Żeglugi Polskiej oraz niewielkie statki pasażerskie. W 1930 r. uruchomiono stałe połączenie na trasie Gdynia – Nowy Jork. Wtedy właśnie zapadły decyzje o budowie polskiego transatlantyku. Statek był budowany w stoczni we włoskim Trieście, ale zadbano o jego typowy polski wystrój, czego dopilnowała komisja artystów. Nadano mu nazwę „Piłsudski", na dziobie umieszczono srebrne insygnia Marszałka oraz odznakę I Brygady.

19 grudnia 1934 r. odbyło się wodowanie statku. Na matkę chrzestną wybrano Wandę Pełczyńską – łączniczkę I Brygady Legionów oraz posłankę na Sejm. Kapitanem statku został Mamert Stankiewicz.

FOT. SHUTTERSTOCK, AAN

Archiwum Akt Nowych

Latem następnego roku transatlantyk wyruszył w swoją pierwszą podróż – najpierw do Gdyni, a później do Nowego Jorku. Podczas tego rejsu było obecnych na pokładzie wielu przedstawicieli władz państwowych, m.in. gen. Bolesław Wieniawa-Długoszowski oraz gen. Gustaw Orlicz-Dreszer.

Piękny i nowoczesny statek, pełen wygód i atrakcji dla pasażerów okazał się niestety nie dość wytrzymały na trasę, jaką miał pokonywać ok. 10 razy rocznie. Dochodziło do awarii i uszkodzeń, dlatego po roku trzeba było przeprowadzić modyfikacje konstrukcyjne.

W chwili wybuchu wojny z Niemcami zdecydowano o przerobieniu go na transportowiec do przewozu żołnierzy. „Polski Titanic", jak często się go nazywa, zatonął u wybrzeży Anglii 26 listopada 1939 r. po trzech latach służby i 35 odbytych rejsach. Do dziś nie zostały wyjaśnione przyczyny katastrofy. Teorii jest kilka, ale najbardziej prawdopodobną przyczyną było najechanie na minę lub trafienie torpedami wystrzelonymi przez u-boota.

M/S „Piłsudski" należał do floty handlowo-pasażerskiej Linii Żeglugowych Gdynia-Ameryka, które zostały utworzone w 1934 r. na bazie Polskiego Transatlantyckiego Towarzystwa Okrętowego. Osiem statków (m.in. „Kościuszko", „Pułaski", „Piłsudski", „Batory", „Chrobry", „Sobieski") obsługiwało ruch emigrancki i rejsy wycieczkowe, a także przewoziło pocztę nie tylko na trasie do Nowego Jorku, ale również do Ameryki Południowej.

Materiały przedsiębiorstwa znajdują się w zasobie Archiwum Akt Nowych.

eprasa.pl 77c6269fd8

NAC

AKCJA NA STO MILIONÓW

FOT. NAC

Działalność konspiracyjna Polskiego Państwa Podziemnego wymagała ogromnych środków finansowych. Oprócz zaopatrzenia w broń, amunicję, żywność i leki duże koszty pociągały za sobą łapówki dla urzędników administracji okupacyjnej, utrzymywanie lokali konspiracyjnych, zapewnienie bytu osobom „spalonym", niemogącym podjąć jawnej pracy.

Część pieniędzy, szczególnie bardzo poszukiwanych dolarów amerykańskich, przywozili szkoleni w Wielkiej Brytanii spadochroniarze – cichociemni. Była to jednak ciągle kropla w morzu potrzeb, szczególnie wobec nasilenia się walki konspiracyjnej w drugiej połowie wojny. Postanowiono zatem zdobyć środki u źródła, atakując transport nowo wydrukowanych pieniędzy z okupacyjnego Banku Emisyjnego w Warszawie. Zwerbowano do współpracy polskich pracowników Banku, którzy informowali o częstotliwości wysyłania konwojów przez Niemców, a także w dniu akcji mieli celowo przygotować transport z banknotów różnych serii, aby utrudnić przyszłe śledztwo. Akcja była dwukrotnie odkładana – raz z powodu aresztowania prawie całego oddziału specjalnego KG AK „Kosa" (d. „Osa") w kościele św. Aleksandra na pl. Trzech Krzyży, a następnie z powodu aresztowania komendanta głównego AK gen. Stefana „Grota" Roweckiego. Nowy komendant, gen. Tadeusz „Bór" Komorowski, polecił kontynuować przygotowania. Pierwsza próba akcji 5 sierpnia 1943 r. zakończyła się fiaskiem. Przecięcie kabli telefonicznych zaalarmowało Niemców, w dodatku nie stawili się trzej żołnierze uzbrojeni w pistolety maszynowe. Druga próba miała miejsce 12 sierpnia. Aby zmusić Niemców do przejazdu określoną trasą, ustawiono na jezdni tabliczkę informującą o robotach drogowych. Ciężarówka bankowa i samochód eskorty, chcąc ominąć zator, wjechały prosto w zasadzkę. W trwającej ledwie 150 sekund akcji wszyscy Niemcy zostali zabici, a ciężarówka wioząca 105 mln zł uprowadzona. W strzelaninie zginęło też trzech polskich pracowników banku, a rany odniosło dwóch akowców. Cenny łup został przewieziony na Wolę do gospodarstwa ogrodniczego Bronisława Ruchowskiego ps. Bratek, przy ul. Sowińskiego 47. Worki z pieniędzmi umieszczono w przygotowanych dołach, a po dwóch dniach przewieziono do sklepu przy ul. Śliskiej. Wartość zdobytych pieniędzy według czarnorynkowego kursu wynosiła ok. 1 mln dol.

Przygotowania do akcji, nazwanej „Góral" od potocznej nazwy banknotu 500-złotowego z wizerunkiem głowy górala, zajęły 14 miesięcy i była to jedna z najlepiej przygotowanych operacji polskiego podziemia. Niemieckie śledztwo nie było w stanie wskazać winnych, a prośby okupanta o pomoc skutkowały jedynie żartobliwymi „donosami", wskazującymi na świadka Zygmunta III Wazę z kolumny na pl. Zamkowym. Po tej brawurowej akcji Niemcy wzmogli ochronę transportów pieniędzy, używając w tym celu transporterów opancerzonych, a nawet czołgów.

Na zdjęciu autorstwa Grażyny Rutowskiej z 1972 r. Bronisław Ruchowski „Bratek" – podczas okupacji służący w Oddziale VII KG AK, odpowiedzialnym za finanse i kontrolę – i redaktor Eugeniusz Wołyńczyk z czasopisma „Czytaj – Informacje Społem WSS", w którym przez pewien czas zatrudniona była Grażyna Rutowska. Bronisław Ruchowski pokazuje furtkę prowadzącą z cmentarza wolskiego na teren swojego gospodarstwa, której użyli konspiratorzy podczas akcji „Góral", oraz szklarnie, gdzie ukryto pieniądze.

Bronisław Ruchowski pokazuje red. Eugeniuszowi Wołyńczykowi furtkę prowadzącą z cmentarza wolskiego na teren swojego gospodarstwa, której użyli konspiratorzy podczas akcji „Góral"; poniżej furtka na terenie gospodarstwa ogrodniczego przy ul. Sowińskiego 47 na warszawskiej Woli

ŁUKASZ KAROLEWSKI

eprasa.pl 77c6269fd8

AKCJA „ROZPOZNAJ"

MICHAŁ TOMASZ WÓJCIUK

ANALIZA MATERIAŁÓW FILMOWYCH SPRZED PONAD 70 LAT JEST JEDNOCZEŚNIE FASCYNUJĄCA I TRUDNA, ZWŁASZCZA JEŚLI PRÓBUJE SIĘ IDENTYFIKOWAĆ OSOBY I MIEJSCA NA NICH UWIECZNIONE

Akcję „Rozpoznaj" zainicjowało Muzeum Powstania Warszawskiego 6 listopada 2013 r., promując film „Powstanie Warszawskie" zmontowany z materiałów nagranych w czasie walk o stolicę. Dzięki oczyszczeniu i odrestaurowaniu ze starych kadrów wydobyte zostały niedostrzegalne dotychczas szczegóły.

Identyfikację osób i miejsc z powstańczych reportaży filmowych prowadzono od połowy lat 80. Prace kontynuuje MPW. Szeroki zasięg akcji stał się możliwy dzięki telewizji, prasie oraz internetowi. Do celów archiwizacyjnych został opracowany kwestionariusz zawierający dane zgłaszającego, personalia osoby rozpoznanej z opisem sceny, w której się pojawia, oraz opisem szczegółów z jej biografii. Od samego początku rozpoznawanie nie było celem samym w sobie, ale elementem ściśle powiązanym ze zbieraniem przez MPW danych biograficznych o uczestnikach powstania.

Pod adresem muzeum były kierowane zgłoszenia od rodzin powstańców, a także osób zainteresowanych historią. Tylko cztery osoby w trakcie akcji rozpoznały się na filmie osobiście: Maria Milbrandt (w powstaniu Bryner, ps. Marysia), sanitariuszka w szpitalu działającym w kompleksie zabudowań Pocztowej Kasy Oszczędności u zbiegu ulic Świętokrzyskiej i Jasnej; strz. Kazimierz Mikos „Bażant", ochotnik w kompanii rezerwowej Zgrupowania AK „Chrobry II"; st. strz. Aleksander Zubek „Julian", żołnierz 4. kompanii 3. Batalionu Pancernego AK „Golski", i kpr. Wojciech Luterek „Roman" z 3. kompanii Zgrupowania AK „Bartkiewicz".

Oprócz składanych kwestionariuszy w czasie akcji zarchiwizowano materiały porównawcze (zdjęcia przedwojenne, okupacyjne i powojenne) oraz dokumentację (kopie legitymacji, wspomnienia, życiorysy itp.) dotyczące ponad 60 osób. Podstawowymi problemami w identyfikacji są: podobieństwo cech fizjonomicznych wielu osób, nakrycia głowy, mało wyraźne i zniszczone kadry.

Jedną z najciekawszych identyfikacji jest rozpoznanie przez córkę Marii Dymowskiej z d. Iwińskiej i jej siostry Longiny po mężu Grzegorczyk w scenie zamiatania dziedzińca kamienicy, prawdopodobnie przy ul. Wareckiej, przez kobiety z powstańczych służb pomocniczych. Scena pojawia się na początku filmu. Maria Dymowska ma na szyi jasne korale. Z rękopisu jej wspomnień wiemy, że w pierwszych dniach powstania sformowała „drużynę" ok. 20 kobiet. Codziennie o godz. 8.00 organizowała zbiórkę swoich podopiecznych, by następnie udawać się do punktów sanitarnych, gdzie grupa pomagała przy opiece nad chorymi i w kuchni. Kobiety miały też obowiązek przenoszenia różnych rzeczy ratowanych z pożarów. Jak wspominała, polecenia otrzymywała od bliżej nieznanego oficera poległego w sierpniu 1944 r., por. „Janka". Powstańcze losy sióstr były tragiczne. Longina zmarła w niedługim czasie po nagraniu materiału w ogromnych cierpieniach na gruźlicę. Jej córka Haneczka została zastrzelona we wrześniu 1944 r. przez niemieckiego snajpera. Maria była w rozpaczy: „Sądziłam, że zaczynam dostawać pomieszania zmysłów". Przeżyła gehennę exodusu ze stolicy. Po wojnie skończyła ekonomię i pracowała w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych oraz Centrali Handlu Sprzętem Medycznym. Zmarła w 1989 r. w Warszawie.

Inne ujęcie przedstawia scenę nauki strzelania. Furażerka pokolorowana na filmie na granatowo, jak się okazało, tak jak wyglądała kilkadziesiąt lat temu, pozwoliła zidentyfikować instruktora strzeleckiego plut. Mieczysława Bartłomieja Matacza. Instruuje on mierzącego z karabinu Kar98k (Mauser) sprawozdawcę wojennego Bernarda Marwińskiego. Scenę obserwuje kilku chłopców. Niektórych udało się zidentyfikować. Osobiście rozpoznał siebie Aleksander Zubek „Julian" (wówczas 16-latek) widoczny w górnej części kadru. Po wojnie ukończył Politechnikę Warszawską, co uprawniało go do pracy na stanowiskach inżynierskich. W scenie widać patrzącego w kamerę 12-letniego Mariana Marciniuka „Orlika" w furażerce, który po wojnie osiadł w Gliwicach i pracował jako kierowca. Po lewej stronie kadru ze stoickim spokojem pokaz strzelecki obserwuje uczestnik zdobycia Poczty Głównej, żołnierz Batalionu „Kiliński", 14-letni Antoni Zbigniew Pękala „Miś" (w berecie, do klap ma przyszyte biało-czerwone naszywki). Zmarł w 1973 r. Na filmie rozpoznała go rodzina.

FOT. ZE ZBIORÓW MPW

Materiał przygotowany przez zespół Muzeum Powstania Warszawskiego

Muzeum Powstania Warszawskiego

Autopromocja

orlasa.pl/77c6269fd8

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

150 książek w prezencie

Zamów roczną prenumeratę pakietu: tygodnik SIECI i miesięcznik wSIECI HISTORII za 280 zł, a książkę „Historia USA" o wartości 99,90 zł otrzymasz gratis!

Sprawdź dostępność książek na www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 15 70 prenumerata@fratria.pl www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: Prenumerata pakiet i pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl 77c6269fd8

Na planie zdjęciowym w schronie reko.waw

Jeżeli na planie zdjęciowym pojawia się aktorka, tancerz baletu i... strażak, to można być pewnym, że sesja będzie wyjątkowa.

Tym bardziej że scenografię z najmniejszymi szczegółami przygotował w swoim prywatnym schronie pełnym kostiumów i rekwizytów Jan Nałęcz, człowiek o wielkiej wiedzy historycznej, rekonstruktor (reko.waw) i społecznik.

Wyjątkowo na zdjęciach wielką nieobecną była nasza główna charakteryzatorka Klaudyna Pabudzińska-Kossek, ciesząca się wątpliwymi urokami wakacji z dziećmi. W zastępstwie do pracy z zapałem wzięła się Joanna Wasilewska, która już nieraz udowodniła swój kunszt. Tym razem oprócz fryzury à la lata 40. musiała wykonać sugestywną ranę postrzałową w piersi powstańca, z której wyciągana jest kula.

W rolę sanitariuszki wyciągającej kulę wcieliła się młoda aktorka Adrianna Chlebicka, o której – o czym jestem przekonany – jeszcze nieraz usłyszymy. Na planie skupiona, cierpliwa, a co najważniejsze – potrafiąca sugestywnie oddać emocje granej przez siebie bohaterki. Co ciekawe, gdyby nie egzaminy, Adrianna pojawiłaby się na naszej okładce przy innym projekcie już dwa lata wcześniej. Cierpiącego podczas zabiegu powstańca zagrał z kolei Patryk Walczak, którego „odkryłem" na deskach Teatru Wielkiego Opery Narodowej podczas spektaklu baletowego „Dama kameliowa", gdzie w roli Armanda Duvala był niemożebnie targany emocjami po całej scenie. Za tę i wiele innych wspaniałych kreacji Patryk na początku lipca został podniesiony do rangi pierwszego solisty baletu, czego serdecznie gratulujemy.

Operacja bez znieczulenia wymaga żelaznego uścisku. Ten zapewnił Stanisław Świerk, student Inżynierii Bezpieczeństwa Pożarowego, wyśmienity szermierz i wicemister Warszawy. Można śmiało powiedzieć, że Staszek kultywuje rodzinne tradycje, w czasie wojny bowiem jego pradziadek działał w wileńskich oddziałach Armii Krajowej, a jego wujek Jarosław Szostko aktywnie wspiera rekonstrukcje historyczne Polaków na Litwie. Za co dziękujemy.

MICHAŁ KORSUN

Jan Nałęcz – nauczyciel historii, pasjonat rekonstrukcji historycznej, archeolog

Detale mają znaczenie

Szkic koncepcji okładki

Fotograf Andrzej Wiktor i dyrektor artystyczny Michał Korsun briefują

Charakteryzatorka Joanna Wasilewska w akcji

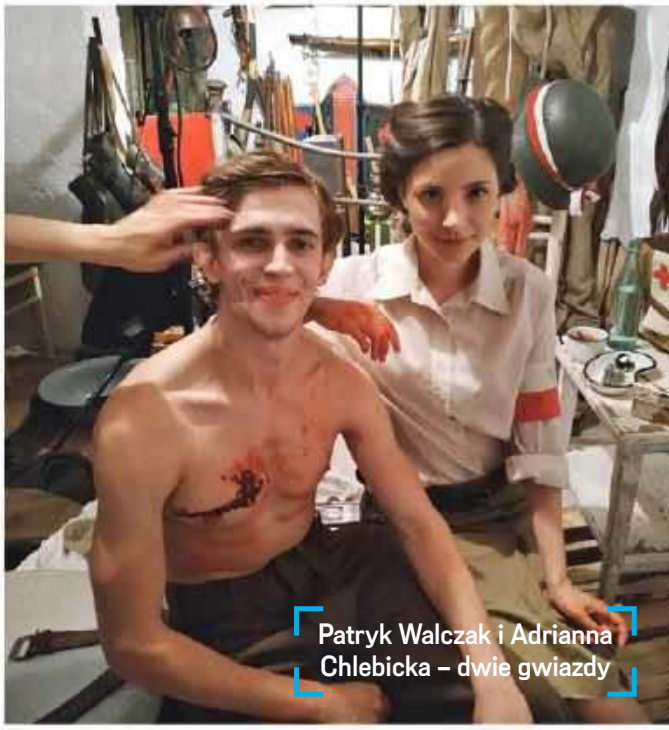

Patryk Walczak i Adrianna Chlebicka – dwie gwiazdy

Stanisław Świerk, prawnuk AK-owca z Wileńszczyzny

Michał Kępiński i jego wypożyczalnia Retro-Pasje

MIASTO POKOJU

„Kopuła bomby atomowej" – gmach przemysłowego centrum wystawowego zachowany w stanie, w jakim znalazł się bezpośrednio po eksplozji

ZDJĘCIA: ARCHIWUM AUTORA

Przerażający huk swoją siłą przygniatający do ziemi, natężeniem zdający się rozrywać ciała na kawałki, błysk zalewający oślepiającą bielą dosłownie wszystko, nawet najciemniejsze zakamarki, a potem głucha cisza.

Po kilku chwilach zmysły wracały, by ukazać sceny niczym z piekła. Morze pożarów szalejące pośród ruin miasta ciągnących się, jak okiem sięgnąć. Spalone tramwaje, w których na rusztach krzesełek siedziały zwęglone ciała, zbiorniki przeciwpożarowe wypełnione zwłokami, rzeka Ota prawie niewidoczna spod unoszących się w jej nurtach trupów. Przerażające sceny widziane jedynie w dwóch kolorach – szarym, jak pokrywający wszystko popiół, oraz bordowych odcieniach krwi i pożarów. Powracający powoli słuch przyniósł jedynie jęki i wołania o pomoc wydobywające się spod zawalonych budynków lub wydawane przez poparzone ofiary, z których dosłownie spłynęła skóra, czyniąc je zupełnie niepodobne do ludzi. Wkrótce na miasto spadły ciężkie krople czarnego deszczu – często chciwie połykane przez tych, którzy przeżyli. Nie wiedzieli, że to forma opadu radioaktywnego dosięgającego Hiroszimę.

Taki zgodny obraz wyłania się z nagranych wspomnień Japończyków, którzy przeżyli ten koszmar osobiście. Prezentowane są w Muzeum Pokoju w Hiroszimie dokumentującym historię pierwszego bojowego użycia broni atomowej.

Rankiem 6 sierpnia 1945 r. amerykański samolot B-29 Superforteca, o numerze bocznym 82, nazwany „Enola Gay" (panieńskie nazwisko matki pilota–dowódcy maszyny, płk. Paula Tibbetsa) nadleciał nad Hiroszimę. W mieście stacjonowało ok. 40 tys. japońskich żołnierzy, znajdowały się tutaj dowództwa obrony południowej Japonii oraz licznych jednostek wojskowych. Był to też ważny węzeł komunikacyjny oraz zaplecze przemysłu zbrojnego. 19 sekund po godzinie 8.15 „Enola Gay" zrzuciła bombę atomową „Little Boy", celując w most Aioi. 43 sekundy później, 580 m nad dziedzińcem szpitala Shima, 24 m na południowy wschód od celu, nastąpiła eksplozja z mocą ok. 16 kiloton trotylu. Szacuje się, że w jej wyniku zginęło 30 proc. populacji miasta – 70–90 tys. ludzi, a do końca 1945 r. zmarło w wyniku ran i napromieniowania dalszych blisko 140 tys. osób. Tradycyjna japońska, drewniano-papierowa zabudowa nie miała szans w starciu z falą uderzeniową i cieplną. Wybuch przetrwały jedynie budynki murowane, ale też zostały poważnie uszkodzone.

O tych wydarzeniach przypomina Pomnik Pokoju – gmach przemysłowego centrum wystawowego zachowany w stanie, w jakim znajdował się bezpośrednio po eksplozji (w 1996 r. wpisany na listę UNESCO), otoczony parkiem pokoju, w którym są też m.in. dzwon pokoju oraz pomnik modlitwy o pokój.

Hiroszima, naznaczona atomowym piętnem, w 1949 r. została ogłoszona przez japoński parlament Miastem Pokoju. O jej przeszłości przypominają obecne w tkance miejskiej tablice przedstawiające liczby osób, które zginęły w danym miejscu, wiele pomników pokoju oraz odbudowany w 1958 r. zamek – trudno nie zauważyć analogii z Warszawą.

ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

Zamek Karpia w Hiroszimie

Główny pomnik ofiar wybuchu bomby atomowej

WIĘCEJ ZDJĘĆ POD ADRESEM: wpolityce.pl/historia/402311-miasto-pokoju

eprasa.pl 77c6269fd8

POCZĄTEK KOŃCA – LATO 1988

KATARZYNA ADAMÓW

Na początku 1988 r., po raz pierwszy od wprowadzenia stanu wojennego, ogłoszono podwyżki cen. Wiosną wybuchły strajki w kilku miastach Polski. Oprócz postulatów ekonomicznych domagano się legalizacji „Solidarności".

Druga fala protestów zaczęła się latem. Rozpoczęli ją 15 sierpnia górnicy z kopalni Manifest Lipcowy w Jastrzębiu, a w ciągu następnych dni zastrajkowały kolejne kopalnie. 17 sierpnia wybuchł strajk w Szczecinie, stanęły port i komunikacja miejska. Trzy dni później do protestu przystąpili pracownicy Portu Północnego w Gdańsku, a 22 sierpnia robotnicy Stoczni im. Lenina i Stoczni Północnej. Chwilę później strajkowała także Huta Stalowa Wola.

W całym kraju powoływano Międzyzakładowe Komitety Strajkowe. W Stoczni Gdańskiej na czele MKS stanął Jacek Merkel. Otworzono bramy do sąsiednich zakładów. Dzięki temu robotnicy ze Stoczni Północnej i Remontowej mogli się bez problemów przemieszczać do Stoczni Gdańskiej i odwrotnie. Protestujący chętnie brali udział w takich marszach, które stały się sposobem demonstrowania przeciw władzy. Może brakowało mobilizacji i zapału, jakie towarzyszyły strajkującym w 1980 r., za to nie zabrakło fantazji. W stoczni organizowano happeningi. Oklejano wózki styropianem, kartonami i plastikami. Tak zbudowano wojskowy czołg, samochody milicyjne, a nawet działo. Organizowano potyczki z robotnikami przebranymi za zomowców. Złapanych „chuliganów" pakowano do milicyjnego stara i wywożono. Nie zabrakło inscenizacji słynnej „ścieżki zdrowia". Nie wszędzie jednak było tak wesoło.

Strajk w Szczecinie miał dramatyczny przebieg. Władze komunistyczne wprowadziły blokadę portu. Do kanałów wpływały okręty desantowe z przygotowanymi do walki żołnierzami. Nad portem latały helikoptery. Protestujących pacyfikowały prawdziwe oddziały ZOMO. Milicjanci stłumili strajk w zajezdniach szczecińskiej komunikacji miejskiej.

Z powodu rozszerzającej się fali protestów I sekretarz KC PZPR Wojciech Jaruzelski podjął decyzję o rozpoczęciu negocjacji z Lechem Wałęsą. 28 sierpnia VIII Plenum KC PZPR dało zielone światło na wstępne rozmowy z opozycją. W rocznicę porozumień sierpniowych doszło do spotkania Wałęsy z szefem MSW Czesławem Kiszczakiem. Uczestniczyli w nim również bp Jerzy Dąbrowski i sekretarz KC PZPR Stanisław Ciosek. Warunkiem postawionym przez Kiszczaka, co do dalszych rozmów, było zaprzestanie akcji strajkowej. W Stoczni Gdańskiej zapadły ostateczne decyzje przerywające strajk. 1 września robotnicy opuścili zakład i ruszyli na mszę do kościoła św. Brygidy. Dwa dni później, pomimo braku uzgodnień dotyczących spraw finansowych, postanowiono zakończyć protest także w Szczecinie i na Śląsku.

Najważniejszym skutkiem strajków z sierpnia 1988 r. była deklaracja władz komunistycznych o przystąpieniu do rozmów z opozycją przy okrągłym stole. Wspólne negocjacje otworzyły drogę do wyborów czerwcowych w 1989 r. Po ponad 40 latach społeczeństwo miało szansę oddać głos na kandydata spoza kręgu PZPR.

ARCHIWUM IPN
SEKCJA OPRACOWYWANIA DOKUMENTACJI AUDIOWIZUALNEJ

Inscenizacja starcia z milicją na terenie Stoczni Gdańskiej (sierpień, 1988). W głębi wykonana z wózka elektrycznego atrapa milicyjnej „suki"

FOT. STANISŁAW SKŁADANOWSKI, AIPN

Autopromocja x2

eprasa.pl 77c6269fd8

2018.pl

100. rocznica odzyskania niepodległości

Tak Polska dochodziła do niepodległości...

Dawne czasy

I wojna światowa

Międzywojnie

II wojna światowa

Wiek XX

Współczesność

PARTNERZY: LOTOS, PZU, niepodległa – POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

eprasa.pl 77c6269fd8